

## **Z dziejów walk o niepodległość Polski 1768–1877,**

**oprac. M. Gałęzowski**

### **Materiały dla nauczycieli, cz. I**

#### **1. „Nie uklękniemy przed mocarzy władzą”.**

[*Pieśń Konfederatów* z dramatu Juliusza Słowackiego *Ksiądz Marek* [w:] Juliusz Słowacki, *Dzieła wybrane*, red. Julian Krzyżanowski, t. 5: *Dramaty*, oprac. Eugeniusz Sawrymowicz, Wrocław–Warszawa–Kraków–Gdańsk–Łódź, Zakład Narodowy imienia Ossolińskich – Wydawnictwo, 1990]

#### **2. „...swojej ojczyźnie przysięgaliśmy i onej wierności dotrzymać powinniśmy”.**

[Z pamiętnika Karola Lubicz-Chojeckiego *Polak-konfederat przez Moskwę na Syberię zaprowadzony*, wyd. 2, Warszawa 1790, rozdział *O wyprawie polskiego niewolnika z Tobolska do Tary i o dalszym onego zabieraniu do służby wojskowej*, przedruk za: *Zesłanie i katorga na Syberii w dziejach Polaków 1815–1914*, oprac. Anna Brus, Elżbieta Kaczyńska, Wiktoria Śliwowska, Warszawa, Wydawnictwo Naukowe PWN, 1992]

#### **3. „Kto kocha Boga y Oyczyznę, niechay się zatrzyma!”**

[Z *Dyaryusza czterech pierwszych dni Sejmu Extraordynaryjnego Warszawskiego w roku 1773*, „Przewodnik Naukowy i Literacki” 1886, R. 14, cyt. za: Jarosław Marek Rymkiewicz, *Reytan. Upadek Polski*, Warszawa, Wydawnictwo Sic!, 2013]

[Henryk Rzewuski, *Pamiętki J. Pana Seweryna Soplicy cześnika parnawskiego*, (fragment rozdziału *Tadeusz Rejten*), Warszawa, Oficyna Wydawnicza Vocatio, 1997]

#### **4. „Jest broń, są mężne serca, są rady uczone!”**

[Jakub Jasiński, *Do Narodu* [w:] *idem, Wiersze i poematy. Wybór*, wybór i oprac. Roman Dąbrowski, Kraków, Towarzystwo Autorów i Wydawców Prac Naukowych UNIVERSITAS, 2002]



**5. Zdraycy targowiccy pod osłoną Rosji zajmują Wilno.**

[Z książki Władysława Smoleńskiego, *Konfederacja targowicka*, Poznań, Wydawnictwo KURPISZ S.A., 2006, reprint wydania z 1903]

**6. „Niechaj przynajmniej nigdy świat nas nie obwinia i nie przymusza naszych następców wstydzić się za nas, żeśmy podłymi byli w nieszczęściu”.**

[Z książki Władysława Smoleńskiego, *Konfederacja targowicka*, Poznań, Wydawnictwo KURPISZ S.A., 2006, reprint wydania z 1903]

**7. „N. Panie, należało Ci poświęcić siebie samego, poświęcić nas wszystkich...”.**

[Z książki Władysława Smoleńskiego, *Konfederacja targowicka*, Poznań, Wydawnictwo KURPISZ S.A., 2006, reprint wydania z 1903]

**8. Józef Conrad o rozbiorach Polski.**

[Joseph Conrad, *Zbrodnia rozbiorów*, przekład Halina Najder, Wit Tarnowski [w:] Joseph Conrad, *Dzieła*, t. 28: *Szkice polityczne*, red. i ze wstęp Zdzisław Najder, Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1996]

**9. Blaski i cienie insurekcji kościuszkowskiej.**

[Ignacy Prądzyński, „*Zaprzepaszczone szanse*”. *Wybór myśli politycznych i społecznych*, oprac. Jerzy R. Nowak, Kraków–Wrocław, Wydawnictwo Literackie, 1985]

**10. Akcja powstańcza w zaborze austriackim latem 1797 roku.**

[Marian Kukiel, *Próby powstańcze po III rozbiore 1795–1797*, Poznań, Wydawnictwo KURPISZ S.A. 2006, reprint wydania z 1912]

**11. „Jeszcze Polska nie umarła...”.**

[Szymon Askenazy, *Napoleon a Polska*, t. 2: *Bonaparte a Legiony*, Poznań, Wydawnictwo KURPISZ S.A. 2006, reprint wydania z 1918]

**12. „Jakiż był cel tej nagonki potwornej?”.**

[Wacław Berent, *Nurt. Opowieści biograficzne*, Warszawa, Czytelnik, 1958]



### **13. Decyzja Naczelnika Kościuszki.**

[Ignacy Prądzyński, „Zaprzepaszczone szanse”. *Wybór myśli politycznych i społecznych*, oprac. Jerzy R. Nowak, Kraków–Wrocław, Wydawnictwo Literackie, 1985]

### **14. Napoleon na ziemiach Rzeczypospolitej.**

[Ignacy Prądzyński, „Zaprzepaszczone szanse”. *Wybór myśli politycznych i społecznych*, oprac. Jerzy R. Nowak, Kraków–Wrocław, Wydawnictwo Literackie, 1985]

### **15. „Tracono ogromną, niepowtarzalną szansę dziejową”.**

[Jerzy Łojek, *Orientacja rosyjska w polskiej walce niepodległościowej” 1795–1917* [w:] *idem, Wybór pism. Wiek XIX*, wybór, opracowanie i wstęp Marek Kornat, Kraków, Towarzystwo Autorów i Wydawców Prac Naukowych UNIVERSITAS, 2015]

### **16. „Tak żył i umarł książę Józef Poniatowski”.**

[Z zakończenia książki Szymona Askenazego *Książę Józef Poniatowski*, Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1974]

### **17. Autonomia według wielkiego księcia Konstantego.**

[Z *Pamiętnika* Waleriana Łukasińskiego, oprac. i wstęp Rafał Gerber, Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1986]

### **18. „Ta ręka i ta głowa zostały mi w oku, I zostaną w mej myśli – i w drodze żywota, Jak kompas pokażą mi, powiodą, gdzie cnota”.**

[Adam Mickiewicz, *Dziady*, część III (fragment sceny I) [w:] Adam Mickiewicz, *Poezje*, oprac. Tadeusz Pini, Warszawa, nakładem Księgarni J. Przeworskiego, 1931]

### **19. Bracia Niemojowscy przeciw carowi.**

[Maurycy Mochnacki, *Powstanie narodu polskiego w roku 1830 i 1831*, t. 2, opracował i przedmowę poprzedził Stefan Kieniewicz, Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1984]



**20. „Polska koniecznie musi i będzie odłączona od Rosji”.**

[Z *Pamiętnika* Waleriana Łukasińskiego, oprac. i wstęp Rafał Gerber, Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1986]

**21. „Do broni, koledzy!”**

[Z opracowania Wacława Tokarza *Sprzysiężenie Wysockiego i noc listopadowa*, wyd. 2, oprac. Andrzej Zahorski, Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1980 (pominięto przypisy autorskie)]

**22. Noc listopadowa.**

[Maurycy Mochnacki, *Powstanie narodu polskiego w roku 1830 i 1831*, t. 2, opracował i przedmowę poprzedził Stefan Kieniewicz, Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1984]

**23. General Chłopicki idzie spać.**

[Z opracowania Wacława Tokarza *Sprzysiężenie Wysockiego i noc listopadowa*, wyd. 2, oprac. Andrzej Zahorski, Warszawa, PIW, 1980 (pominięto przypisy autorskie)]

**24. „...wbrew regule wszystkich powstań”.**

[Zakończenie opracowania Wacława Tokarza *Sprzysiężenie Wysockiego i noc listopadowa*, wyd. 2, oprac. Andrzej Zahorski, Warszawa, PIW, 1980 (pominięto przypisy autorskie)]

**25. „Walczmy dla wolności myślenia i wyjawiania myśli naszych!”.**

[Maurycy Mochnacki, *Odezwa do mieszkańców stolicy [w:] idem, Pisma krytyczne i polityczne*, t. 2, wybór i oprac. Jacek Kubiak, Elżbieta Nowicka, Zbigniew Przychodniak, Kraków; Towarzystwo Autorów i Wydawców Prac Naukowych UNIVERSITAS, 1996 (we wszystkich dokumentach cytowanych za tą publikacją pominięto przypisy autorów opracowania)]



**26. „Gabinet petersburski zrozumie na koniec: że ma teraz sprawę z całym narodem”.**

[Maurycy Mochnacki, *Detronizacja Mikołaja* [w:] *idem, Pisma krytyczne i polityczne*, t. 2, wybór i oprac. Jacek Kubiak, Elżbieta Nowicka, Zbigniew Przychodniak, Kraków, Towarzystwo Autorów i Wydawców Prac Naukowych UNIVERSITAS, 1996]

**27. „Wolnego ludu śpiew...”.**

[Juliusz Słowacki, *Hymn* [w:] Juliusz Słowacki, *Dzieła wybrane*, red. Julian Krzyżanowski, t. 1: *Liryki i powieści poetyckie*, oprac. Julian Krzyżanowski, Wrocław–Warszawa–Kraków–Gdańsk–Łódź, Zakład Narodowy imienia Ossolińskich – Wydawnictwo, 1990]

**28. „Bój był rozpaczny...”.**

[Juliusz Słowacki, *Duma o Wacławie Rzewuskim* (fragment) [w:] Juliusz Słowacki, *Dzieła wybrane*, red. Julian Krzyżanowski, t. 1: *Poezje*, oprac. Eugeniusz Sawrymowicz, Wrocław–Warszawa–Kraków–Gdańsk–Łódź, Zakład Narodowy imienia Ossolińskich – Wydawnictwo, 1990]

**29. „Przylączyłem się do powstania narodowego z przekonania”.**

[Józef Conrad, *Księżę Roman*, tłum. [w:] Józef Conrad, *Opowiadania wybrane*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1978]

**30. „...opłakana natura niezdecydowania”.**

[Ignacy Prądzyński, „*Zaprzepaszczone szanse*”. *Wybór myśli politycznych i społecznych*, oprac. Jerzy R. Nowak, Kraków–Wrocław, Wydawnictwo Literackie, 1985]

**31. „...pomimo męstwa okazanego przez nasze wojska, wojnę prowadziliśmy słabo”**

[Tadeusz Grużewski, *Odbudowanie Polski* [w:] *idem, Polska i Rosja. Wybór pism*, wyboru dokonał i wstępem opatrzył Przemysław Dąbrowski, Kraków, Ośrodek Myśli Politycznej, Wydział Studiów Międzynarodowych i Politycznych Uniwersytetu Jagiellońskiego, 2013]



**32. „[...] wyszkolenie, zaopatrzenie, wyposażenie i uzbrojenie wojsk polskich przewyższało bez porównania standard przeciwnika”.**

[Jerzy Łojek, *Szanse powstania listopadowego. Rozważania historyczne*, wyd. 2, Warszawa, Instytut Wydawniczy PAX, 1980]

**33. „[...] rewolucja miała na celu obalenie rządu, obalenie reżimu, a nie wojnę z Rosją”**

[Andrzej Kijowski, *Siła fatalna* [w:] *idem, Granice literatury. Wybór szkiców krytycznych i historycznych*, zebrał, opracował i wstępem poprzedził Tomasz Burek, t. 2, Biblioteka „Więzi”, Warszawa 1991]

**34. „Po cóż walczyć przeciwko mocniejszemu...?”**

[Adam Mickiewicz, *O naszych żołnierzach w Prusach i w Rosji tudzież o systemacie wojowania pożytecznego* [w:] *idem, Adam Mickiewicz, Dzieła*, t. 6: *Pisma prozą*, cz. 2, oprac. Leon Płoszewski, Warszawa 1952]

**35. „Póki Moskwa w Europie, nie masz Polski całej i niepodległej”.**

[Maurycy Mochnacki, *O charakterze naszej emigracji* [w:] *idem, Pisma krytyczne i polityczne*, t. 2, wybór i oprac. Jacek Kubiak, Elżbieta Nowicka, Zbigniew Przychodniak, Kraków, Towarzystwo Autorów i Wydawców Prac Naukowych UNIVERSITAS, 1996]

**36. „Za waszą i naszą wolność”.**

[Adam Mickiewicz, *O partii polskiej* [w:] *idem, Adam Mickiewicz, Dzieła*, t. 6: *Pisma prozą*, cz. 2, oprac. Leon Płoszewski, Warszawa 1952]

**37. Rozsądni i szaleni.**

[Adam Mickiewicz, *O ludziach rozsądnych i ludziach szalonych* [w:] *idem, Adam Mickiewicz, Dzieła*, t. 6: *Pisma prozą*, cz. 2, oprac. Leon Płoszewski, Warszawa 1952]

**38. „Niechaj nas przecie widzą...”.**

[Juliusz Słowacki, *Pogrzeb kapitana Meyznera* [w:] Juliusz Słowacki, *Dzieła wybrane*, red. Julian Krzyżanowski, t. 1: *Poezje*, oprac. Eugeniusz Sawrymowicz, Wrocław–Warszawa–Kraków–Gdańsk–Łódź, Zakład Narodowy imienia Ossolińskich – Wydawnictwo, 1990]



**39. „Niczyjej pomocy nie odrzucamy, ale w niczyją pomoc nie wierzymy!”.**

[Maurycy Mochnacki, *Pismo okólne oficerów, podoficerów i żołnierzy z zakładu Auxerre do rodaków na emigracji* [w:] idem, *Pisma krytyczne i polityczne*, t. 2, wybór i oprac. Jacek Kubiak, Elżbieta Nowicka, Zbigniew Przychodniak, Towarzystwo Autorów i Wydawców Prac Naukowych UNIVERSITAS, Kraków 1996]

**40. Egzekucja w syberyjskim Omsku**

[Z pamiętnika Franciszka Knolla (fragment *Męczeństwo księdza Sierocińskiego i współtowarzyszy*), „Goniec Wielkopolski” 1883, przedruk za: *Zesłanie i katorga na Syberii w dziejach Polaków 1815–1914*, oprac. Anna Brus, Elżbieta Kaczyńska, Wiktoria Śliwowska, Warszawa, Wydawnictwo Naukowe PWN, 1992]

**41. „Z Udyńska do Irkucka jest jeszcze wiorst pięćset”.**

[Z pamiętnika Justyniana Rucińskiego, *Konarszczyk 1838–1878. Pamiętnik zesłania na Sybir*, Lwów 1895, fragment *Pieszo etapami na katorgę*, przedruk za: *Zesłanie i katorga na Syberii w dziejach Polaków 1815–1914*, oprac. Anna Brus, Elżbieta Kaczyńska, Wiktoria Śliwowska, Warszawa, Wydawnictwo Naukowe PWN, 1992].

**42. Męczeństwo Kościoła unickiego.**

[Ze wspomnień Bronisława Zaleskiego, *Notatka o powstaniu 1863 roku* [w:] *Bronisława Zaleskiego i Kajetana Cieszkowskiego nieznane relacje o powstaniu styczniowym*, oprac. Wiesław Caban i Ryszard Matura, Kielce, Wyższa Szkoła Pedagogiczna im. Jana Kochanowskiego, 1997]

**43. Rusyfikacja ziem zabranych.**

[Z książki Bohdana Cywińskiego, *Obok Orła znak Pogoni. Wokół powstania styczniowego na Litwie i Białorusi*, Kraków, Wydawnictwo Arcana, 2013]

**44. Noc paskiewiczowska.**

[Z książki Bartłomieja Szyndlera, *Dzieje cenzury w Polsce do 1918 roku*, Kraków, Krajowa Agencja Wydawnicza, 1993]





**45. Płomień w cytadeli.**

[Mieczysław Romanowski, *Śmierć Levitoux* [w:] *Wiersze wybrane oraz Dziewczę z Sącza*, oprac. Paweł Bukowiec, Kraków, Towarzystwo Autorów i Wydawców Prac Naukowych UNIVERSITAS 2002]

**46. „Jest nas dwadzieścia milionów, powstańmy razem jak mąż jeden, a potęgi naszej żadna nie przemoże siła”.**

[*Manifest Rządu Narodowego Rzeczypospolitej Polskiej* [w:] Marian Zgórniak, *Polska w czasach walk o niepodległość (1815–1864)*, *Wielka Historia Polski*, t. 7, Kraków 2001].

**47. „W jedności i braterstwie damy sobie radę”.**

[Ludomir Grzybowski, *Opis powstania polskiego w roku 1863 i 1864 w województwie krakowskim*, oprac. Wiesław Caban, Zdzisław Jerzy Adamczyk, Kielce, Wyższa Szkoła Pedagogiczna w Kielcach, 1994 (pominięto przypisy autorów opracowania)]

**48. „Komu tu duszno? Kto tu, znużony Walką, w zwycięstwo nie wierzy?”**

[Z poezji Mieczysława Romanowskiego [w:] *Wiersze wybrane oraz Dziewczę z Sącza*, oprac. Paweł Bukowiec, Kraków, Towarzystwo Autorów i Wydawców Prac Naukowych UNIVERSITAS, 2002]

**49. W oczach zaborcy.**

[Mikołaj Pawliszczew, *Tygodnie polskiego buntu*, t. 1: *Okres manifestacji 1861–1862*, przekład i oprac. naukowe Apoloniusz Zawilski, Warszawa, Dom Wydawniczy Bellona, 2003, fragment rozdziału *Tydzień III. Od 20 do 27 listopada 1861 roku* (zachowano redakcję autora opracowania, który uzupełnił tekst wydanej w 1887 roku książki Pawliszczewa o fragmenty jej rękopisu)]

**50. „Do broni więc, Narodzie Polski, Litwy i Rusi, do broni!”.**

[*Manifest Rządu do Narodu* [w:] Marian Zgórniak, *Polska w czasach walk o niepodległość (1815–1864)*, *Wielka Historia Polski*, t. 7, Kraków 2001]

**51. „[...] nie znajdziemy nawet myśli, że należy ludzi do wojny przygotować”.**



[Józef Piłsudski, *Zarys historii militarnej powstania styczniowego. Wykład drugi*, 14 lutego 1912 roku [w:] *idem, Pisma zbiorowe*, t. 3, Warszawa 1937]

**52. „Piechoty miałem około 900 ludzi, z których strzelców było do 300, a reszta kosyniery”.**

[*Roman Rogiński powstaniec 1863 roku. Zeznania i wspomnienia*, przygotował do druku Stefan Kieniewicz, Warszawa, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, 1983; pominięto przypisy autora opracowania]

**53. Ostatnia bitwa wojsk dyktatora Mariana Langiewicza.**

[Ludomir Grzybowski, *Opis powstania polskiego w roku 1863 i 1864 w województwie krakowskim*, oprac. Wiesław Caban, Zdzisław Jerzy Adamczyk, Kielce, Wyższa Szkoła Pedagogiczna w Kielcach, 1994 (pominięto przypisy autorów opracowania)]

**54. Cień Murawiowa**

[Michał Murawiw, *Wspomnienia*, przekład Zbigniew Podgórzec, opracowanie Paweł P. Wieczorkiewicz, Warszawa, Wydawnictwa Zebra, 1990]

**55. Z bojów 1863 roku. „Bitwa pod Stefankowem była jedną z najchlubniejszych dla oręża polskiego”.**

[*Pamiętnik kapelana księdza Serafina Szulca* (w:) *Zapomniane wspomnienia*, oprac. Eligiusz Kozłowski, Warszawa, Wydawnictwo PAX, 1981]

**56. „Takie egzekucyjki zdarzały się dość często”.**

[Ludomir Grzybowski, *Opis powstania polskiego w roku 1863 i 1864 w województwie krakowskim*, oprac. Wiesław Caban, Zdzisław Jerzy Adamczyk, Kielce, Wyższa Szkoła Pedagogiczna w Kielcach, 1994 (pominięto większość przypisów autorów opracowania)]

**57. „Bić wroga wszędzie i zawsze to najlepsza dyplomacja”.**

[Z listów dowódcy Sił Zbrojnych Województwa Lubelskiego i Ziem Ruskich gen. Józefa Wysockiego do dowódcy naczelnego Sił Zbrojnych Województwa Lubelskiego gen. Antoniego Jeziorańskiego, 2 i 22 kwietnia 1863 roku [w:] *Zapomniane wspomnienia*, oprac. Eligiusz Kozłowski, Warszawa, Wydawnictwo PAX, 1981]



### **58. Kapitan Rymwid**

[Stefan Żeromski, *Echa leśne* [w:] Stefan Żeromski, *Opowiadania*, Warszawa, Książka i Wiedza, 1981]

### **59. „[...] przenigdy nie zapomnę, że byłem zesłany przez Moskali żywcem do piekła”**

[Jan Siwiński, *Katorżnik, czyli pamiętnik sybiraka*, Kraków 1905, przedruk za: *Zesłanie i katorga na Syberii w dziejach Polaków 1815–1914*, oprac. Anna Brus, Elżbieta Kaczyńska, Wiktoria Śliwowska, Warszawa, Wydawnictwo Naukowe PWN, 1992].

### **60. Księża – powstańcy 1863 roku w Tuncie**

[Stanisław Leonard Matraś, *Ze wspomnień sybiraka*, Chicago 1896, przedruk za: *Zesłanie i katorga na Syberii w dziejach Polaków 1815–1914*, oprac. Anna Brus, Elżbieta Kaczyńska, Wiktoria Śliwowska, Warszawa, Wydawnictwo Naukowe PWN, 1992].

### **61. „Syberyjski Legion wolnych Polaków”.**

[Michał Janik, *Dzieje Polaków na Syberii*, reprint wydania Krakowskiej Spółki Wydawniczej (Kraków 1928), Wrocław, Wydawnictwo Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego we Wrocławiu – Biblioteka Zesłańca, 1991]

### **62. „Salwo męczeńska! Bądź dla tych zbudzeniem, Których sumienia głos syren utula”.**

[Kornel Ujejski, *Na zgon rozstrzelanych w Irkucku* [w:] *Wybór poezji i prozy*, oprac. Krystyna Poklewska, wyd. 3 zmienione, Wrocław–Warszawa–Kraków, Zakład Narodowy imienia Ossolińskich – Wydawnictwo, 1992]



**63. „Jagmin pierwszy stanął na rosyjskim okopie i zatknął na nim sztandar z Białym Orłem...”**

[*Szturm na pozycje rosyjskie pod dowództwem majora Jagmina. Z książki Jerzego Grobickiego, Bojowym szlakiem pradziadów. Wspomnienia o żołnierzach polskich na emigracji w latach 1831–1878, Londyn, Katolicki Ośrodek Wydawniczy „Veritas”, 1956]*

**64. „W XIX wieku niepodległości nie odzyskaliśmy, bośmy się o nią faktycznie nie dobijali”.**

[Jerzy Łojek, *Szanse powstania listopadowego. Rozważania historyczne*, wyd. 2, Warszawa, Instytut Wydawniczy PAX, 1980]



## 1. „Nie uklękniemy przed mocarzy władzą”.

[*Pieśń Konfederatów* z dramatu Juliusza Słowackiego *Ksiądz Marek* [w:] Juliusz Słowacki, *Dziela wybrane*, red. Julian Krzyżanowski, t. 5: *Dramaty*, oprac. Eugeniusz Sawrymowicz, Wrocław–Warszawa–Kraków–Gdańsk–Łódź, Zakład Narodowy imienia Ossolińskich – Wydawnictwo, 1990]

Nigdy z królami nie będziem w aliansach,  
Nigdy przed mocą nie ugniemy szyi;  
Bo u Chrystusa my na ordynansach,  
Słudzy Maryi!

Więc choć się spęka świat i zadrży słońce,  
Chociaż się chmury i morza nasrożą;  
Choćby na smokach wojska latające,  
Nas nie zatrwożą.

Bóg naszych ojców i dziś jest nad nami!  
Więc nie dopuści upaść żadnej klęsce.  
Wszak póki On był z naszymi ojcami,  
Byli zwycięzcy!

Więc nie wpadniemy w żadną wilczą jamę,  
Nie uklękniemy przed mocarzy władzą,  
Wiedząc, że nawet grobowce nas same  
Bogu oddadzą.

Ze skowronkami wstaliśmy do pracy  
I spać pójdziemy o wieczornej zorzy,  
Ale w grobowcach my jeszcze żołdacy  
I hufiec Boży.

Bo kto zaufał Chrystusowi Panu  
I siedł na święte kraju werbowanie;  
Ten de profundis z ciemnego kurhanu  
Na trąbę wstanie.  
Bóg jest ucieczką i obroną naszą!



Póki On z nami, całe piekła pękną!  
Ani ogniste smoki nas ustraszą,  
Ani ulękną.

Nie złamie nas głód ni żaden frasunek,  
Ani zhołdują żadne świata hołdy:  
Bo na Chrystusa my poszli werbunek,  
Na Jego żołdy.

[Pieśń konfederatów autorstwa Juliusza Słowackiego znajduje się w I akcie dramatu *Ksiądz Marek*, którego akcja rozgrywa się w czasach konfederacji barskiej. Tytułowy ksiądz Marek Jandołowicz (ok. 1713–1799), karmelita, był kapłanem barzan. Po zdobyciu Baru przez wojska rosyjskie w czerwcu 1768 roku, został uwięziony w Kijowie. Uwolniony w 1773 roku, był później m.in. przeorem w Barze. Pieśń, chociaż nie jest oryginalnym utworem z czasów konfederacji, a melodię do niej skomponowano dopiero w latach 70. XX w. w związku z inscenizacją dramatu, współcześnie należy do najbardziej znanych utworów, związanych z pierwszym zrywem Polaków przeciw Rosji, dążącej do pozbawienia niepodległości Rzeczypospolitej. Była m.in. śpiewana przez działaczy NSZZ „Solidarność” internowanych przez komunistów w stanie wojennym].



## 2. „...swojej ojczyźnie przysięgaliśmy i onej wierności dotrzymać powinniśmy”.

[Z pamiętnika Karola Lubicz-Chojeckiego *Polak-konfederat przez Moskwę na Syberię zaprowadzony*, wyd. 2, Warszawa 1790, rozdział *O wyprawie polskiego niewolnika z Tobolska do Tary i o dalszym onego zabieraniu do służby wojskowej*, przedruk za: *Zesłanie i katorga na Syberii w dziejach Polaków 1815–1914*, oprac. Anna Brus, Elżbieta Kaczyńska, Wiktoria Śliwowska, Warszawa, Wydawnictwo Naukowe PWN, 1992]

Nigdy jeszcze tak wielkim nie byliśmy napełnieni smutkiem, jak wtenczas, gdyśmy zobaczyli jak surowe postępowanie sobie z niewolnikiem naszym, tudzież i z nami samymi niemiłosierne obchodzenie się, gdy nam całą zimę pokoju nie dano, ale pędzono coraz w dalszy kraj, a zwłaszcza gdy i ta podróż piechotą namznaczona była. Zima albowiem na Syberii nie ma tu do naszej w Polsce podobieństwa: daleko zimniejsza i mroźniejsza, a śniegi tak bywają głębokie, że na łokci dziesięć od ziemi widzieć ich można.

Wymaszerowaliśmy z Tobolska w sam najzimniejszy czas, śnieg i zawieruchę, użyliśmy wtenczas wielkiej nędzy i trudów, gdy żadnej nie było znać drogi, a w śniegu powyżej kolan brodziliśmy. Cały dzień maszerowaliśmy, a nie uszliśmy jak tylko milę jedną do wsi, do której już późno w noc przybyliśmy. Prowadził nas kapitan garnizonu tobolskiego i przy nim komenderowanych żołdatów dziesięciu. Ciepłeśmy mieli w tej wsi kwatery, w których po tak wielkim strudzeniu długo na dzień spoczywaliśmy. [...] Przybyliśmy do Tary. Zastaliśmy tam już naszych konfederatów, wprzód nas jeszcze z Tobolska przysłanych, którzy na zimową lokację stać tam oznaczeni byli. Rozłokowano nas po kwaterach, i tylkośmy przenocowali, zapowiedziano nam, że jeszcze sto siedemdziesiąt mil od miasta Tary aż do irkuckiej guberni maszerować mamy i nakazano nam, abyśmy gotowi byli wkrótce do takowej podróży.

Komendant miasta Tary był człowiek niewymownie grzeczny, naszym zaś polskim językiem tak dobrze mówił, że rodowity Polak nasz lepiej mówić nie może. Poszło nas do niego kilku, ekskuzując się aktualną słabością i upraszaliśmy go, aby nas przy tej partii, która w Tarze zimować będzie, zostawić raczył. Zbraniał się wprawdzie takowego domysłu, lecz potem przyrzekł nam takową uczynność, i tak nas od tej wyłączono partii i w Tarze zostawiono; naszym zaś, aby się zabierali nazajutrz do marszu, zapowiedziano. [...] A tak dzień jutrzejszy gdy nastąpił, rozkazano naszym wychodzić do marszu, przy których komenderowany był porucznik z sierżantem i 12 żołdatami. Wychodzili nieszczęśliwi żegnając się z nami, w nadziei więcej niezobaczenia się, i gdy już z rejestru ich obrachowano i przeczytano, ruszyli się



w tę przykrą i uciążliwą drogę. My zaś zostaliśmy się w Tarze, dane nam kwatery były i tam już przez całą zimę przy tej partii, która tam stała, zostawaliśmy.

Tara miasto dość było porządne, z drewnianych budynków złożone, w którym był wojewoda i komendant miasta osobliwy; my więc Polacy należeliśmy do władzy komendanta. Komendant miasta był człowiek wielkiej grzeczności i ludzkości. Bywaliśmy u niego dość często, któren ustawicznie czynił relacje o niektórych w Polsce miejscach, gdzie przedtem bywał i wielkie pochwały dawał krajowi naszemu, nazywając obywateli naszych polskich pełnych ludzkości i wspaniałości, a wojewoda tamtejszy to słysząc od niego, brał do nas Polaków tamże będących dość dobre serce i przywiązanie. [...] Widzieliśmy też w Tarze, w Tobolsku, w Kazaniu, także i po innych różnych miejscach wiele naszych Polaków, starych już mocno, w różnych tam stanach znajdujących się, od kilkudziesięciu lat zabranych, którzy za rewolucji Stanisława króla Leszczyńskiego [mowa o konfederacji dzikowskiej związanej w 1733 roku w obronie króla Stanisława Leszczyńskiego, którego wybór spowodował interwencję wojsk rosyjskich i osadzenie na tronie polskim Augusta III Sasa] dostawszy się w niewolę, nie mieli już swego wybawienia; przerażał nas strach nie jednego, obawiając się podobnego niebezpieczeństwa.

Gdy zaś w Tarze skończony był pomiar wzrostu naszego, nie mniej lat naszych ułożony rejestr, wyłączano w rejestrach osobliwie starych a osobliwie młodych; młodszych nas do służby żołnierskiej w polowe regimienta, a starszych w kozacką służbę zabrać udysponowano. Tak w krótkim już czasie ułożono z nas partię w sto dwadzieścia ludzi, zakazano [przygotowano] podwozy i do miasta Omska w korpus dragoński sibirski na granicy od Tatarów kirgiskich stojący, do marszu nam zabierać się rozkazano.

[...] Stał w Omsku natenczas rewelski dragoński pułk, do którego nas dziewięciu Polaków naznaczono, a drugich do innych pułków, dalej od Omska po granicy stojących, po trzynastu i dwunastu do każdego udysponowano. Nas dziewięciu w Omsku zostawiono, a resztę naszych do drugich regimentów odesłano. Zaprowadzono nas do cerkwi i rozkazano nam przysięgać na wierność służby wojskowej, ale z nas żaden przysięgać nie chciał. Namawiali nas do tej czynności oficerowie dość łagodnymi słowy, ale ich perswazje próżno u nas miały animadwersję. Wyszliśmy więc z cerkwi i zastaliśmy już paradę z kilkunastu żołnierzy złożoną, która nas otoczywszy dokoła prowadziła do aresztu. Wzięci byliśmy pod areszt i po dwóch tylko osobliwie rozsądzeni. Dzień i noc o głodzie przebyliśmy, a nazajutrz po dwóch nas tylko przyprowadzili do cerkwi i do wykonania takowej przysięgi przymuszali. Żaden z nas nie chciał się dać na to namówić; dawaliśmy przyczyny, że swojej ojczyźnie





przysięgaliśmy i onej wierności dotrzymać powinniśmy. Wyszliśmy znowu z cerkwi i już nie po dwóch, lecz po jednym, że jeden o drugim nie wiedział, gdzie siedzi, rozsądzeni byliśmy pod aresztem. Dawano nam po funcie chleba na dzień i po kubku wody, a po wyszłych dniach dwóch znowu do cerkwi po jednym przyprowadzeni byliśmy i do wykonania przysięgi namawiani. Nic z nami nie wskórali i wyszedłszy z cerkwi złączono nas razem, i do jednego już pod areszt posadzono miejsca.

Siedzieliśmy tak niedziel sześć, o wyżej tylko wyrażonym posiłku, to jest chlebie i wodzie, i codziennie namawiani byliśmy od przychodzących do nas oficerów, do zaprzysiężenia wojskowej wierności, ale ci z próżnym zawsze odchodzili od nas usiłowaniem.

Nasi też Polacy do drugich odesłani regimentów, równej z nami będąc myśli w niechęci wykonania przysięgi, choć w odległości już znacznej od nas zostawali, w podobnym byli jako i my areszcie. A po wyszłych niedzielach sześciu wyprowadzono nas spod warty, przyniesione były pałki, batoże i pletnie, którymi, gdy nas bić zaczęto, dopiero przysięgę wykonać ofiarowaliśmy się; ale w tamtych regimentach tak byli nasi zacięci, że się niemiłosiernie bić dali, bo po osiemset i po półtora tysiąca kijów w plecy odbierali, i po dwa razy takową odnosili karę, zaledwie przecie dali się przyciągnąć do wykonania tych rozkazów.

[„Ilu ich wywieziono? Ilu zginęło w otchłani?” – zapytywał najwybitniejszy historyk dziejów pierwszego polskiego powstania, Władysław Konopczyński. Najpewniej – kilkanaście tysięcy – imienny spis opracowany przez konfederata i zesłańca, francuskiego pułkownika Franciszka Augusta Thesby de Belcour, wskazał 5445 konfederatów, których poprowadzono na zesłanie do Kazania. Spis ten opublikował Aleksander Kraushar w broszurze *Konfederaci barscy na Syberii*, wydanej w 1895 roku w Krakowie, dostępnej w Cyfrowej Bibliotece Narodowej Polona. Autor powyższej relacji, Karol Lubicz Chojecki, został wzięty do niewoli przez Rosjan po kapitulacji załogi konfederackiej w Krakowie w 1768 r. Po kilku latach przymusowej służby w armii rosyjskiej wysłano go przeciw Tatarom nogajskim, których siedziby znajdowały się w pobliżu Morza Azowskiego, co ułatwiło Chojeckiemu w końcu 1776 roku ucieczkę do kraju. Jak jednak podaje, nie wszyscy mieli tyle szczęścia. Tych, którym ucieczka się nie powiodła, batożono, piętnowano i zsyłano na wieczną katorgę syberyjską. Sam Chojecki po powrocie do kraju znalazł opiekę w dobrach Jana Potockiego, autora *Pamiętnika znalezionej w Saragossie*, któremu też zadedykował swoje wspomnienia syberyjskie, chcąc „uczynić zbiór nieszczęść naszego narodu” dla współczesnych i upamiętnić je dla przyszłych pokoleń].



### 3. „Kto kocha Boga y Ojczyznę, niechay się zatrzyma!”

[Z *Dyaryusza czterech pierwszych dni Sejmu Extraordynaryjnego Warszawskiego w roku 1773*, „Przewodnik Naukowy i Literacki” 1886, R. 14, cyt. za: Jarosław Marek Rymkiewicz, *Reytan. Upadek Polski*, Warszawa, Wydawnictwo Sic!, 2013]

Przed Seymem na trzy dni znajdujący się tu w Warszawie Posłowie wezwani byli od Jaśnie Wielmożnego Jego Mości Xiędza Kanclerza Wielkiego Koronnego do siebie. Znajdowało się tam kilku Senatorów, Ministerium polskie y niektórzy urzędnicy. Tam potrzeba Konfederacyi dla wielości głosów na Seymie opowiedziana. Przytomni łatwo się skłonili, związek ten uczynili y Marszałkiem Konfederacyi w Koronie JW. Adama Ponińskiego, Kuchmistrza Wielkiego Koronnego, ogłosił; a w Litwie Xięcia Michała Radziwiłła, Miecznika Litewskiego, Posła Brzeskiego Litewskiego. W niedzielę, gdy więcej Posłów przybyło, już o ósmey godzinie wieczornej znowu zwołani przez tegoż JW. Kanclerza W.K. do siebie, aby świeżo przybyli podpisali się. Nim iednak to uczynili, dziwili się, iż podpisanym Senatorów nie widzieli. Na co odpowiedziano im, iż Senatorowie osobną Konfederacyę uczynią. Przestali Posłowie na tey odpowiedzi; niektórzy podpisali się, drudzy nie chcieli, tylko tajemnie wynieśli się.

*Dzień 19 kwietnia. Poniedziałek.*

„Godzina dziesiąta przed południem wyznaczona była ode Dworu na zaczęcie Nabożeństwa przedseymowego w Kollegiacie tuteyszej. Kazanie miał Jego Mość Xiędz Jan Aleksandrowicz dziekan Przemyński. Po Nabożeństwie Posłowie przez Senatorską Izbę udali się do swoiey Izby. JW. Poniński, nie wątpiąc o losie swoim, z miną dobrą y nawet wyniosłą, przodkował wszystkich. Stanąwszy w Izbie Poselskiej, JW. Podkomorzy Poseł Krakowski zagał Seym. Zaraz w mowie swoiey opowiedział, iż ten seym ma być pod związkiem Konfederacyi. Ale tu zaraz (naybardziej z Litwy) wołać poczęli; »iż ani słuchać o Konfederacyi chcą; iż w uniwersałach królewskich na seym wolny zwołani; iż ta Konfederacya pokrzywdzą Stan Rycerski, a JW. Podkomorzy, *Princeps Nobilitatis* będąc, ani o niey wspominaćby powinien; iż Bracia po Województwach, Ziemiach y Powiatach będący, nic o tern nie wiedzą; a zatem na tę pozwolić nie mogą. Potem, a bardziey w tem samem zakończył Podkomorzy (nie słuchając kontrydycyi) «: »iż JW. Poniński Kuchmistrz W.K. a Poseł Liwski, będąc obrany Marszałkiem Konfederackim, słuszna aby i Seymowym został«. Tu jeszcze bardziey wołać y krzyczeć Posłowie poczęli, ale tylko Litewscy y dwóch z Łęczyckiego:



JW. Dunin y JW. Kożuchowski. A w tem Jego Mość Pan Jezierski, Miecznik Łukowski, a Poseł Nurski, poszedł do JW. Podkomorzego Krakowskiego po Laskę y oddał ją JW. Ponińskiemu, a JW. Reytan, Podkomorzyc y Poseł Nowogrodzki, wyrwał z kądś podaną sobie podobną Laskę, podobieł JW. Ponińskiego na miejsce zwykłe marszałkowskie, y zasiadł, mówiąc: »iż kiedy żadney elekcji Marszałka nie masz, więc y on nim bydz może«. Y tak obydwu z Laskami będąc: Poniński na dziewiątą godzinę solwował sessyą; Reytan z swoiey strony także na dziewiątą. Wprzód iednak miał mowę od tego zaczawszy: »Kto kocha Boga y Oycyznę, niechay się zatrzyma!« (co też wszyscy uczynili, nawet Poniński, choć chciał wynieść, przed tłokiem nie mógł; ale twarz iego ukazywała, co cierpiał, ustawicznie mieniąc się, raz błąd jak chusta, drugi raz zapalony jak ogień; a cały czyli z pomieszania, które w całej izbie dosyć znaczne było, czyli z boiaźni wszystkich drżał): »Na konfederacyą nigdy nie zezwalam, Seymu nawet potrzeby nie widzę, i lubo za to zdanie życiem nawet moiem odpowiedzieć mogę, z tem wszystkiem gotów iestem. Słodko bowiem iest: za oycyznę umierać! Nic prócz głowy moiey nie stracę. Oto gotów iestem y teraz ją poddać. A ponieważ JW. Poseł Liwski nie wiem, jakim prawem solwował sessyą na dziewiątą godzinę jutro, więc y ia o teyże samey godzinie Jaśnie Oświeconych y Jaśnie Wielmożnych Waszmościów Panów y Dobrodziejów tu czekam«. Dwie tedy Laski podniesione były. iedna przed Ponińskim; druga przed Reytanem. Obydwie tak Laski aż do Senatorskiej Izby wniesione były, y tam dopiero spuszczone. W Senatorskiej Izbie, Król ani był, Senatorów tylko kilku przechodziło się. Damy w oknach były, to iest JO. Hetmanowa Branicka, JO. Xiężna Woiewodzcowa Sapieha, JW. Koniuszyna Koronna, JW. Baronowa de Stackelberg. I na tem pierwsza sessyą zakończona. – W Poselskiej Izbie Ministrowie y Generałowie wszyscy znajdowali się; podczas tey kłótni śmieli się głośno y w ręce klaskali.

[Ostatnie zdanie w diariuszu sejmowym następująco objaśnił Jarosław M. Rymkiewicz: „Ministrowie i generałowie to oczywiście trzej ambasadorzy trzech dworów: baron Otto Magnus Stackelberg, Gedeon Benoit i Karl Rewiczky (Rewitzky) oraz pruski generał Rupert Lentulus i rosyjski generał Aleksander Bibikow, dowódca wojsk rosyjskich wprowadzonych do Rzeczypospolitej. Może także dowódca wojsk austriackich generał Karl Richecourt, którego *Dyaryusz* wymienia przy innej okazji. O śmiechu i oklaskach ambasadorów trzech potencji nie mówi żadna inna ze znanych mi relacji. Niektóre relacje wspominają natomiast o wściekłości Stackelberga, gdy zdał on sobie sprawę z tego, że Poniński i jego ludzie nie potrafią poradzić sobie z Reytanem i innymi zelantami. Trzeba tu, jak to się mówi, spojrzeć prawdzie w oczy.



Prawdzie bardzo nieprzyjemnej. Ci Prusacy i Moskale, którzy śmieli się w izbie sejmowej i bili brawo nad trupem Rzeczypospolitej – bili brawo głupim Polakom, śmieli się z ich pohańbienia, z ich słabości, z ich bezradności. Kiedy Rzeczypospolitej już nie było, nie chciano pamiętać o tym, że jej upadkowi towarzyszył szyderczy chichot obcych potencji – i śmiech barona Stackelberga został zapomniany”].

[Henryk Rzewuski, *Pamiętki JPana Seweryna Soplicy cześnika parnawskiego*, (fragment rozdziału *Tadeusz Rejten*), Warszawa, Oficyna Wydawnicza Vocatio, 1997]

[...] Nareszcie rozwiązała się konfederacja barska: zbrodnia i przemoc jeszcze raz zgnięły niewinność i prawość. Zbierał się sejm, ale już było wiadomo, że się gotował przez niego okropny, a w dziejach naszych niesłychany zamach na ojczyznę. Pan Tadeusz, co nigdy o żaden urząd nie prosił i unikał nawet dotąd sejmików, podał się na posła, aby na ostatnim szanću prawa bronić sławy narodu. Polski Fawoniusz, Michał Korsak [omyłka autora – mowa o Samuelu Korsaku], został kolegą tego polskiego Katona. Zbierają się zatwardziałe lub przełękłe prawodawce w Warszawie. O dniu najhaniebniejszy, a razem najchlubniejszy dla Polski, w którym nasze nowogródzkie poselstwo usłyszało głos znieważonej i konającej ojczyzny! Wszystkie ulice miasta zalegli uzbrojeni Moskale: harmaty wystawiono naprzeciw izby poselskiej, lonty zapalone grożą śmiercią każdemu, co jeszcze ostatki sumienia nie przydusił; zniewieściał monarcha [Stanisław A. Poniatowski] idących do sali posłów ze łzami błaga, aby daremnym oporem nie gubili ojczyzny i siebie. Zbierają się posłowie: jedni jakimś dzikim uśmiechem chcą pokryć wewnętrzne pomieszenie, drudzy, zalani łzami, zdradzają i pocziwe uczucia, i słabość duszy; kilku tylko, z obliczem wypogodzonym, okazują, że wszystko oprócz Boga poświęcą, że za progami izby zostawili, co tylko do żywota przywiązać ich mogło, i że są przygotowani do wszelkiej walki i ofiary. Haniebnej pamięci kanclerz ogłasza propozycją królewską, aby zawiązać sejm pod konfederacją, i zaprasza Ponińskiego na marszałka.

– Zgoda! – odpowiedzieli (jednak głosem drżącym) zaprzędani posłowie.

– Zgoda! – jeszcze słabiej powtórzyli posłowie przełękli.

– Nie ma zgody! – odezwał się Rejten. – Na sejm walny jesteśmy zebrani, a nie na konfederację; przystąpmy do wyboru marszałka walnego sejmu.

– Tadeusza Rejtena obieramy marszałkiem! – odezwał się Korsak, Bohuszewicz i trzech innych posłów, kupiących się przy Rejtenie. Zdumieli się wszyscy. Rejten porywa łaskę i sesję zagaja. Przez chwil kilka kanclerz, Poniński i inni jurgieltnicy moskiewscy zamilkli; już większa część izby poczuła chęć do powinności wrócić; ale



z jednej strony zatwardziały zdrajce, z drugiej – przybliżające się lonty do panewek, przydusiły ten słaby płomyk. Okropny szmer powstaje, jakby na zborzyszczu piekielnych duchów.

– Nie damy się owładać przez pięciu posłów, konfederacji chcemy i Ponińskiego za jej marszałka!

Wyrodki wydzierają łaskę Rejtenowi; pięciu wszystkim się opierają.

– Nie ma zgody na konfederację! – krzyczy Rejten. – Na Boga, na rany Chrystusa, zaklinam was, bracia, nie płamcie imienia polskiego! Pamiętajcie na waszą przysięgę! Pamiętajcie, że podział kraju zaraz po zawarciu konfederacji nastąpi!

Świętokradzkie ręce biją Rejtenu i jego kolegów, a Poniński, ośmielony, już z łaską w rękę, śmie sejm zagajać. Korsak i Bohuszewicz, szamocąc się między oprawcami, krzyczą:

– Nie wyjdziem z tej izby, chyba trupami, a na zdradę ojczyzny nie pozwolim!

Ostatniego środka legalnego chwytą się Rejten: *Sisto activitatem!* [wstrzymuję czynność] – mówi. – Sejm zerwany, nie ma sejmu!

– Nie ma sejmu! – powtarzają wierne męczenniki.

– Panowie bracia – odzywa się Poniński – widać, że ci panowie zmysły mają pomieszane. Nie oglądajmy się na nich, a postępujmy w obradach naszych. Zapraszam panów do zapisania aktu konfederacji.

– Zdrajco! – krzyknął Rejten – Jak ty śmiesz marszałkiem się ogłaszać, kiedy nie ma sejmu!

Poniński, zapisawszy akt, solwował sesję na dzień pojutrzejszy, a posłowie się porozchodzili, oprócz wiernych tych sześciu, którzy się zostali dla zanieśienia manifestu. Tam trzy doby siedzieli zamknięci o głodzie, a potem nareszcie osłabionych wypuszczono. Nie było ofiar, którymi by ich nie kuszono, aby od manifestu odstąpili, a zrobili akces do konfederacji. Rejtenowi łaskę mniejszą litewską i starostwo borysowskie, Korsakowi i Bohuszewiczowi kasztelanie i intratne królewsczyzny ofiarowano; toż innych trzech wiernych posłów kuszono. Niecnota Poniński śmiał z nim o tym mówić i mógł znieść jego oblicze.

– Podły człowieku – odpowiedział Rejten – mam z sobą trzy tysiące czerwonych złotych i te ci oddam, a opamiętaj się.

Straszono ich odsądzeniem od czci i konfiskatą majątków; ale ci mężowie milczeniem pełnym pogardy odpowiedzieli. Wywieziono ich na koniec za miasto, a pan Gurowski, któremu zlecono było ich wywieźć do pierwszej poczty, dodając szyderstwo do innych pocisków, tam im powiedział:

– Bywajcie, waćpanowie, zdrowi i próbujcie nową konfederacją przeciw nam





podnieść, jeśli znajdziecie równych sobie półgłówków. Ale pamiętajcie, że Najświętsza Panna tego zmasać nie potrafi, co carowa jejmość o nas napisała.

Pan Tadeusz osiadł w Gruszwce, ale to pasowanie się ciągle a świeżo odbyte, to zranienie najdrażliwszych uczuć znacznie mu zdrowie osłabiło; tym więcej że w czasie tej rozbójniczej sesji jeden z tych potworów, wydzierając mu łaskę, silnie pięścią w ciemię go ugodził. Zawrót głowy częsty przy innych boleściach cierpiał, a w ciągłych zadumaniach nocy bezsenne przepędzał, jednak śladu nie było nadwątlenia umysłu. Ale jak doszła do niego wieść o pierwszym podziale ojczyzny za zezwoleniem jednomyślnym skonfederowanych stanów, tego ciosu wytrzymać nie mógł – i rozum jego rozbił się, przywalony sromotą publiczną. Nikomu do siebie przystępu nie dawał, każdego nazywając zdrajcą i nikczemnikiem, że nie biegnie do Warszawy ojczyzny ratować. Gdy dał się słyszeć, że sławy narodu swojego przeżyć nie chce, zaczęli bracia mieć go w pilnej straży. Całe obywatelstwo nowogródzkie biegło do Gruszwki oglądać swojego nieśmiertelnego posła na łożu boleści, z umysłem nadwerężonym w usługach ojczyzny, a pogrążonego w ostatniej rozpacz. Ale nie dał się widzieć, mówiąc:

– Ja ich nie znam. Obywatele nowogródcy są w Warszawie, oni zdrajców ojczyzny myślą rozsiekać, a nie z chorym gawędzić.

[Protest Tadeusza Rejtana, którego nazwisko pisane bywało także Reytan i – raczej mylnie – Rejten, przeciw rozbiorowi Polski, wbrew zdaniu przeważającej części posłów na Sejm, został uwieczniony przez Jana Matejkę w słynnym obrazie *Rejtan. Upadek Polski* z 1866 roku, który zainspirował z kolei Jacka Kaczmarskiego do napisania piosenki *Rejtan, czyli raport ambasadora*. Adam Poniński, o którym ambasador rosyjski mówił, że za pieniądze zrobi wszystko, w czasie Sejmu Czteroletniego stanął przed sądem sejmowym za rolę, którą odegrał podczas pierwszego rozbioru Polski. W 1790 roku ogłoszono go zbrodniarzem stanu i nieprzyjacielem ojczyzny, odebrano godności, urzędy, order, tytuł książęcy, szlachectwo, nazwisko. W ciągu 24 godzin miał opuścić Warszawę, w ciągu czterech tygodni kraj. Zaraz za rogatkami przebrał się w rosyjski mundur, ozdobiony rosyjskimi orderami, po czym udał się do Lwowa, pod opiekę zaborcy austriackiego, gdzie opublikował manifest w obronie złotej wolności. Poniński, ten faktyczny władca Polski na Sejmie rozbiorowym, po upadku Rzeczypospolitej, do którego tak waleśnie przyczynił, utonął w rynsztokowych fekaljach w Warszawie. Czy wpadł tam pijany, czy z czyjąś pomocą, nie wiadomo. Nie spełniła się więc zapowiedź Franciszka Zabłockiego z fraszki poświęconej Ponińskiemu: „Nie frasuj się o jego ostatecznym zgonie, komu jest przeznaczone



wisieć – nie utonie”.

Warto wspomnieć, że zacytowany tu, przejmujący opis protestu Tadeusza Rejtana wyszedł spod pióra Henryka Rzewuskiego, jednego z najbardziej przekonanych carskich lojalistów i przeciwników walki o niepodległość, przekonanego, że Polska upadła bezpowrotnie, czemu wielokrotnie dawał publicznie wyraz].





#### 4. „Jest broń, są mężne serca, są rady uczone!”

[Jakub Jasiński, *Do Narodu* [w:] *idem, Wiersze i poematy. Wybór, wybór i oprac. Roman Dąbrowski*, Kraków, Towarzystwo Autorów i Wydawców Prac Naukowych UNIVERSITAS, 2002]

Narodzie! niegdyś wielki, dziś w smutnej kolei  
 Wyzuty z sił, bogactwa, sławy i nadziei,  
 Co niegdyś mocą miecza i nauk wyborem  
 Postronnych byłeś dziwem, pogromem i wzorem!  
 Dziś pod jarzmem zhańbienia, klęsków i niewoli  
 Dumnych jesteś igrzyskiem i pastwą swawoli.  
 Ty, coś orężem obce przemierzał narody,  
 Patrz, co z tobą zrobiły domowe niezgody!  
 Jużes po długim smutku darem oświecenia  
 Począł wznawiać gmach silny dawnego znaczenia  
 I już widział z postrachem twój sąsiad niegodny,  
 Czym może zostać Polak, gdy wolny a zgodny.  
 Niestety! jakżeś z twoim pragnieniem się minął –  
 Błysnąłeś jako gwiazda, jak iskierkaś zginął!  
 Już więc na tyle nieszczęść byłeś potępiony,  
 By cię zdradził przyjaciel, brat, król ulubiony;  
 Czemuż ci los przynajmniej tej nie ujął męki,  
 Byś legł pod cudzym mieczem, a nie z własnej ręki.  
 Narodzie! Czas nie ufać w żadne zaręczenia,  
 W tobie samym jest zakład zguby lub zbawienia!  
 Nie dbaj na to, żeś w ciężkie kajdany się dostał,  
 Gdzie lud rzekł: »Chcę być wolnym« – zawsze wolnym został!  
 Niechaj ci w myśli stoją przykłady Zachodu,  
 Co są siły tyranów, a co moc narodu.  
 Wstań, a spróbuj swej ręki, jeśli jest w niej siła  
 Władać jeszcze tym mieczem, którym wprzód walczyła.  
 Poznasz, czegoś znać nie chciał, że na twą obronę  
 Jest broń, są mężne serca, są rady uczone!  
 Lecz to wiedz, że nim wyrok powstać ci naznaczy,  
 Potrzeba wiele zgody, a więcej rozpaczy.



Ten, co włada losami narodów i ludzi,  
Jeszcze raz promień światła dla ciebie obudzi;  
Jeśli raz jeszcze stracisz porę korzystania,  
Niegodnym będziesz łaski, niegodnym powstania.  
Oto już dwa narody, godne siebie dusze,  
Łączą serca braterskie na wieczne sojusze,  
Wnet dadzą światu poznać przez dzielne zapędy,  
Co może światło prawdy, a co złość i błędy.  
A ty jeszcze tymczasem pod ustronną władzą  
Czekasz, aż z miłosierdzia rękę ci podadzą,  
I będąc jeszcze w stanie szczątków sił twych użyć,  
Wolisz wziąć to z litości, co mógłbyś zasłużyć!  
Ojczyzno! kraju drogi, czy liż już dla ciebie  
Nie ma szczęścia na ziemi i litości w niebie?  
Czyliż wiecznie zgnębiony pod groźnym toporem  
Już Polak nie potrafi też umrzeć z honorem?  
Przebóg, czy to sen miły, czyli już na jawie  
Widzę broń w dłoni polskiej ku wielkiej wyprawie!  
Idźcie, mężni młodzieńce, pełni świętej cnoty,  
Mścić się naszych ucisków i naszej sromoty;  
Idźcie, ojczyzna żąda, by wasz miecz wygładził  
Razem tego, co naszedł, i tego, co zdradził!  
Próżno was dusza chytra niemocą zastrasza.  
Jedno was zgubić może – to jest litość wasza.  
Wiedźcie, iż cnota sama, gdy nie jest w swej porze,  
Równie was zhańbić zdoła, jak zbrodnia w honorze.  
Ty, Ojczyzno wielkiej prawdy, Ojczyzno twoich dzieci,  
Kiedyż nam dzień twój wielki pierwszy raz zaświeci?  
Czas, by już palce twoje ściśnione ku dłoni  
Nas wyrwały z tej hańby, a naród z tej toni.  
Niech już twój święty odgłos od nieba i ziemi  
Da nam znać, czym jesteśmy i co potrafimy.  
A ty, co na nas czekasz, ojczyzno strapiona,  
Wiedź, że wnet nie masz dzieci lub jesteś zbawiona.

[Wiersz *Do narodu* został napisany krótko przed wybuchem insurekcji



kościuszkowskiej. Jego autor, Jakub Jasiński (1761–1794), poeta, generał Wojska Polskiego, po wybuchu powstania rozpoczął walkę na ziemiach Wielkiego Księstwa Litewskiego, opanował Wilno, a następnie dowodził wojskami powstańczymi na Litwie. Był jednym z najofiarniejszych i oddanych sprawie walki o niepodległość Rzeczypospolitej oficerów polskich. Poległ w obronie Pragi przed wojskami rosyjskimi, w czasie osławionej rzezi tej części miasta, 4 listopada 1794 roku].



## 5. Zdrajcy targowiccy pod osłoną Rosji zajmują Wilno.

[Z książki Władysława Smoleńskiego, *Konfederacja targowicka*, Poznań, Wydawnictwo KURPISZ S.A., 2006, reprint wydania z 1903]

[...] W poniedziałek (25 czerwca) rano biskup [Józef Kossakowski] był z wizytą u generała [Kretecznikowa], a na godzinę jedenastą wojsko rosyjskie w paradyzie uszykowało się przed kościołem św. Jana. Cechy się zebrały w paradyzie, akademja w togach swoich (bo im pogrożono) i kapitularni też zjechali się do kościoła. Nadjechał i Kreczetnikow z mnóstwem generałów i oficerów. Z obywatelstwa znajdowali się tylko: podkomorzy kowieński Kossakowski, Rudnicki, Manuzziowie, Szweykowski, sędzia Gorski i Starski zakordonowy... Po mszy czytanej przeczytał z ambony ksiądz list do obywatelstwa i akt konfederacji generalnej litewskiej... Potem zaśpiewał biskup inflancki Te, Deum, Laudamus. Nastąpił wielki obiad u biskupa, gdzie Kreczetnikow z wielu generałami, pułkownikami i innymi oficerami znajdował się, ale z obywatelstwa tak mało, jak i onegdaj. U stołu zdrowie najpierwej pił biskup N. monarchini, a nawzajem generał pił zdrowie rzeczypospolitej skonfederowanej. Potem biskup zdrowie Kreczetnikowa i generalitetu, a nawzajem generał zdrowie biskupów, osobnym kielichem generała [Szymona] Kossakowskiego [...].

Konfederacja generalna wielkiego księstwa litewskiego, podobnie jak poprzedzające ją powiatowe, przezwala się »wolną«. Przyjęła dosłownie akt konfederacji generalnej koronnej [czyli targowickiej] z 14 maja, który zaopatrzyła tylko wstępem okolicznościowym. Na marszałka zapraszała nieobecnego w Wilnie kanclerza Sapiehę, na jego zastępcę – bawiącego w Warszawie Józefa Zabiełłę, łowczego wielkiego litewskiego, krewniaka Kossakowskich. Na wodza wojsk powołała Szymona Kossakowskiego, generała porucznika rosyjskiego, którego skonfederowane województwa i powiaty ogłosiły już regimentarzem. [...]

Nazajutrz po opublikowaniu aktu konfederacji generalnej, 26 czerwca, „z ogłoszenia narodu hetman polny wielkiego księstwa litewskiego” wydał dwa uniwersały. W jednym rejestrował swe zasługi dla ojczyzny i wyrażał zapatrywania polityczne, w drugim zachęcał wojsko dołączenia się z konfederacją.

„Nie używam chlubnych dla siebie wyrazów! Jak wiek mój cały naznaczyć bym mógł gorliwą z azardem życia posługą ojczyźnie”. Takim frazesem zagaił Kossakowski uniwersał, w którym rekomenduje się narodowi i wyklada swój pogląd na stronnictwo konstytucyjne. „Taż gorliwość czysta skłoniła mój umysł, ażebym nabierał więcej zdatności w służbie wojska, zawsze zwycięskiego wielkiej



monarchini, dla wysługi pożytecznej w własnym kraju, którego bym za mój już znać nie chciał, jeżeliby rząd republikański, prawa święte ojców naszych i wolność, równie z życiem miła, były nam odjęte... Służąc wielkiej monarchini, służę oraz najszlachetniej mojemu krajowi”. Zdaniem Kossakowskiego, wszystko narodowi odjęto „w narzucie gwałtownym nowej reformy i nieznajomej ani ze swojego składu, ani z stosunków, ani zgodnej z polityką ustawy rządu sejmu teraźniejszego... [...] „Nie widzę i nikt dostrzedz nie może ogólnego szczęścia kraju naszego, tylko w poważaniu tego sąsiedzkiego mocarstwa ogromnego, mającego własny interes widzieć nas rządnych i szczęśliwych; jako w osobie, którą wieki następne między cuda natury i wielkości kłaść będą – N. imperatorowej całej Rosyi. Nie masz, pani, wyżej umiejącej cenić prawa ludzkości i prawa rozsądnej wolności i sprawiedliwości: doświadczać i kosztują narody, berłu jej poddane, darów, kładąc i wielbiąc ją rządne przymiotów bóstwa. Doświadczała i doświadczała sami nieprzyjaciele i zawojowane kraje przyjemniejszego i wspanialszego z sobą obejścia się, jakiego nie kosztują w samym pokoju. Możemyż my niepokładać zupełnej ufności? Możemyż wątpić, ażeby chciała dopuścić jakiegokolwiek plamy na świetnej karcie panowania swojego, zawsze najchwalebniejszego, z narodu naszego i z nas, niemogących kłaść się nigdy na szali w powadze jej sławy? [...]

[Autor manifestu, hetman Szymon Kossakowski za zdradę Rzeczypospolitej został powieszony 25 kwietnia 1794 roku w Wilnie, w czasie insurekcji kościuszkowskiej. „Ciało, które nosiło kontusz, mundur barski, strój turecki, kurtę chłopską, wreszcie uniform generała rosyjskiego, zawisło w żółtym szlafroku na szubienicy wystawionej na wileńskim placu Ratuszowym” – pisał w biogramie Kossakowskiego w *Polskim słowniku biograficznym* wielki polski historyk Władysław Konopczyński. W anonimowym *Nagrobku Kossakowskiego hetmana litewskiego* z tego czasu czytamy:

„Przechodniu, wstrzymaj twe modły!

Bóg je za prawych odbiera.

Jam ojczyzny zdrajca podły,

Jak kto żyje, tak umiera.

Straciłem życie i sławę,

Niż pierwsze, ostatnie wprzodu,

Sam sobie dałem buławę,

Stryczek był z woli narodu.



Śmierć mą nie głosiły dzwony,  
Wyrok słuszny dni mych przerwą.  
Jam tu został pogrzebiony  
I tu ginie moje ścierwo.

(*Nagrobek Kossakowskiego hetmana litewskiego* [w:] *Poezja polskiego Oświecenia. Antologia*, oprac. Jan Kott, Warszawa, Czytelnik, 1956)

Jego brat, biskup inflancki Józef Kossakowski, również gorliwy targowiczaniec, o którym poseł Katarzyny II, Jakub Sievers, pisał, że „uchodził za najnikczemniejszego człowieka na Litwie, jeżeli go w tym hetman [czyli Szymon Kossakowski] nie wyprzedzał [...]. Biskup miał ciągle na ustach imię Katarzyny i nazywał się jej najpoddanym służką”, został powieszony 9 maja 1794 roku przy kościele Bernardynów na Krakowskim Przedmieściu w Warszawie].



## 6. „Niechaj przynajmniej nigdy świat nas nie obwinia i nie przymusza naszych następców wstydzić się za nas, żeśmy podłymi byli w nieszczęściu”.

[Z książki Władysława Smoleńskiego, *Konfederacja targowicka*, Poznań, Wydawnictwo KURPISZ S.A., 2006, reprint wydania z 1903]

[...] Podobnie jak nowogrodzcy, dygnitarze, urzędnicy i obywatele grodzieńscy 19 czerwca w stolicy swego województwa spisali akt, przedstawiający zuchwałstwo konfederatów i opłakane skutki najazdu rosyjskiego. „Pełne są miasta, wsie i domy nasze krwi i łez, gwałtownością rosyjskiego żołnierza wyciśnionych; pełno jęków pojmanej w niewolę szlachty, których dom własny stał się więzieniem, a stałość przy najlepszym rządzie i najdobrowolniejszej przysiędze – występkiem. Sieje żołnierz rosyjski niebezpieczeństwa, groźby i gwałty, przynaglać obywatelów, aby swego i następców szczęścia w zaprzysiężonym rządzie odstępowali; wybiera furazę i prowianty, pędzi przy obozach tysiącami podwody; słowem, województwa i powiaty niszczy i pustoszy. W dalszych częściach naszej prowincji litewskiej, których jeszcze natarczywość wojsk rosyjskich nie dosięgła, widzimy pełne gościńce, miasta i wsie obywatelów, którzy z żonami i rozkwilonem potomstwem od potwornej i obrzydłej mniemanej konfederacji bardziej, niż od wojsk rosyjskich, uchodząc, opuścili swe domy i majątki, tułackie obrali życie, nie tak srogiego lękając się nieprzyjaciela, jako raczej wywartego przymusu do podpisu fatalnego aktu, świętą 3 i 5 maja ustawę znosić usiłującego. Wszyscy ofiarujemy osobistą obronę i jej wsparcie w niezliczonych składkach; żadnej jeszcze z tych drogich ofiar nie widzimy poświęconej od nikogo dla mniemanej okropnej konfederacji, która, z swobodami niby ojczystymi do nas odzywając się, ze wszystkich najprzyjemniejszych człowiekowi i obywatelowi własności nas wyzuwa i ojczyznę zgubić stara się... Już prawie z ostatnią rozpaczą w sercach naszych wołamy do Boga, mściciela niesprawiedliwości; do narodów, rządów i mocarstw! Niech widzą boleści, któremi tak niewinnie uciśnieni jesteśmy; a w miarę naszego cierpienia niech sądzą, jak nam ustawa rządowa jest miłą, jak jej szczęśliwych dla narodu zamiarów, znając pożyteczność, światłem i cnotą naszą czcić i cenić dobro szacowne jedyne na świecie rządu chcemy i umiemy. Niechaj przynajmniej nigdy świat nas nie obwinia i nie przymusza naszych następców wstydzić się za nas, żeśmy podłymi byli w nieszczęściu, żeśmy przez nie odstąpili szczęścia, które sławna wiekami do końca świata ustawa rządowa na Polskę zlała...” [...]





## 7. „N. Panie, należało Ci poświęcić siebie samego, poświęcić nas wszystkich...”

[Z książki Władysława Smoleńskiego, *Konfederacja targowicka*, Poznań, Wydawnictwo KURPISZ S.A., 2006, reprint wydania z 1903]

[...] W obszernym liście Stanisław August przystąpienie swoje do konfederacji usprawiedliwiał motywami, na które powoływał się na posiedzeniu rady 23 lipca. „Zawiadamiają mnie – pisał – że jeżeli nie będę powolny życzeniom imperatorowej, zostanę złożony z tronu. Nie wstrzymywałoby mnie to od dalszej wojny, gdyby można było uratować konstytucję; ale jak mnie złożą z tronu, konstytucja i tak runie i na kraj spadną większe nieszczęścia. Potrzeba więc, żebym poświęcił moją miłość własną, przystępując do konfederacji. Mam różne powody do tej nadziei, że im mniej stawiać będę trudności w przystąpieniu do konfederacji, tem więcej będę miał w niej wpływu i uratuję znaczną część urzędzeń, zaprowadzonych przez sejm. *Mon cher Pepi!* Rozumiem i czuję, że cię to zasmuci; ale wierzaj, że dla mnie to jeszcze smutniejsze, a jednak to czynię jedynie, aby oszczędzić swemu narodowi większych nieszczęść i uratować tę armję dzielną i wierną, której zguby nie zdołałbym przecierpieć”. Do listu dołączony był rozkaz natychmiastowego zaniechania kroków wojennych i przystąpienia całej armii do konfederacji.

Książę Poniatowski spełnił rozkaz królewski i tegoż samego 25 lipca przez adjutanta swego, Chomentowskiego wysłał do Kachowskiego list Bułhakowa w sprawie przerwania kroków wojennych. [...] Spełniając rozkazy, książę Poniatowski nie omieszkiał jednocześnie wyrazić królowi swego zapatrywania na akces do konfederacji. „N. Panie! – pisał – gdyby się mogły znaleźć wystarczające wyrazy na odmalowanie WKMości rozpacz, w której dusza moja jest pogrążona, użyłbym ich wszystkich w tej chwili, kiedy z własnego listu WKMości dowiaduję się, że się łączysz z ludźmi, którzy miłości własnej zaprzędali krew współobywateli swoich; gdy się dowiaduję, że odtąd tacy ludzie wspólnie z WKMością dawać będą prawa tym, którzy, za szczęście sobie mając tysiąc ofiar z życia swego uczynić, nie oddychali tylko chwałą WKMości, szczęściem i sławą narodu. Rzekłem sam w sobie: Wielki Boże! Czemużem przed tym dniem nieszczęśliwym na polu bitwy nie zginął? Mógłżeś, N. Panie, wahać się w wyborze i nie przenieść raczej chwalebnej śmierci, godnej Ciebie; śmierci ze sławą nad resztę panowania nad resztą narodu, upodłonego intrygą, zdradą, nierządem i słabością. Tak jest!, N. Panie; należało Ci poświęcić siebie samego, poświęcić nas wszystkich. Co za okrutna litość, której okupem



wstyd i hańba! Wielhorski i Mokronoski oznajmują WKMości sentymenta swoje, we wszystkim zgodne z moimi. Szanować będziemy króla i prawo, a w cichości ubolewać nad tem, że się już mieścić nie możemy w liczbie Jego obrońców. Powiedzą o nas: potykali się z honorem, rozeszli się bez hańby i zgryzoty”.

Z okazji raportu z 25 lipca, przybycia do Warszawy Wielhorskiego i Mokronoskiego [Mokronowskiego], oraz odpowiedzi księcia na list i ordynans, wywiązała się pełna dramatyczności korespondencja pomiędzy stryjem a synowcem. Po dwóch gońców dziennie przebiegało drogę pomiędzy Warszawą a Kurowem. „Przybycie IMCPanów Wielhorskiego i Mokronoskiego – pisał król 26 lipca – ile mnie w pierwszym momencie uradowało, tyle zasmuciło, skoro tylko przeczytałem raport Waszej Książęcej Mości. Zaklinam Waszą Książęcą Mość i całe pod komendą jego zostające wojsko na tę wierność, której daliście mi tyle tak chwalebnych dowodów, abyście mnie osobiście, a co większa – całej ojczyzny nie podawali w największe niebezpieczeństwo, a raczej w ostatnią nie wtrącili zgubę, sprzeciwiając się temu, com ja już przyrzekł, tj. że przestaniemy wojować i że wraz zemną wojsko Rzeczypospolitej przystępuje do konfederacji, powagą i interesowaniem imperatorowej zaszczyconej. Jest nieodbita potrzeba, aby rozkazy moje były wykonane nieodwołalnie. Inaczej podpadłbym plamie złej wiary, a zemsta zniszczeniem kraju i osobistą zgubą zostałaby oznaczoną”.

„Ja nie zdołam przeżyć tego, gdy mnie odstąpisz – pisał król z rozpaczą; a obok tego dodawał – pamiętaj, że przede wszystkim trzeba zapłacić moje i twoje długi!”.

[Książę Józef Poniatowski nie uległ szantażowi swojego stryja, króla Stanisława Augusta Poniatowskiego i podtrzymał decyzję o dymisji ze stanowiska dowódcy armii koronnej. Bił się następnie w insurekcji kościuszkowskiej, w 1807 roku został wodzem Armii Księstwa Warszawskiego, którą poprowadził do zwycięskiej kampanii z Austrią w 1809 roku, później zaś wziął udział w wyprawie cesarza Francuzów Napoleona I Bonaparte na Rosję. Poległ 19 października 1813 roku w bitwie pod Lipskiem, bijąc się przeciw wojskom wszystkich trzech zaborców Polski (zob. tekst nr 16). Przystąpienie króla do konfederacji targowickiej nie uratowało konstytucji, zniesionej przez targowiczán, a Rzeczypospolitej przed II rozbiorem, dokonany przez Rosję i Prusy w 1793 roku].



## 8. Józef Conrad o rozbiorach Polski.

[Joseph Conrad, *Zbrodnia rozbiorów*, przekład Halina Najder, Wit Tarnowski [w:] Joseph Conrad, *Dziela*, t. 28: *Szkice polityczne*, red. i ze wstęp Zdzisław Najder, Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1996]

W końcu osiemnastego wieku, kiedy rozbiór Polski stał się faktem dokonany, świat określił go natychmiast jako zbrodnię. Owo surowe potępienie wyszło oczywiście z Europy Zachodniej; trudno się było spodziewać, aby państwa centralne, Prusy i Austria, przyznały, że ich grabież należy do kategorii czynów moralnie nagannych i noszących znamię winy wobec ludzkości. Co zaś do Rosji, trzeciego uczestnika zbrodni i inicjatora jej planu, nie posiadała ona wówczas sumienia narodowego. Wola władzy była tam zawsze uważana przez lud za wyraz wszechmocy pochodzącej wprost od Boga. Najlepsze uzasadnienie rozbioru, aktu zwykłego podboju, polegało po prostu na tym, że był akurat możliwy; oto był łup i oto nadarzała się okazja, aby go zagarnąć. Katarzyna Wielka spoglądała z cynicznym zadowoleniem na takie powiększenie swoich terytoriów. Jej argumentacja polityczna – że zagłada Polski oznacza stłumienie idei rewolucyjnych i powstrzymanie ekspansji jakobinizmu w Europie – była charakterystycznie bezwstydnym pretekstem. Być może zdarzali się wśród Rosjan ludzie, którzy rozumieli lub tylko przeczuwali, że przez zabór większej części Rzeczypospolitej Polskiej Rosja zbliża się do grona przestrzegających zasad współżycia narodów i przestaje być, przynajmniej terytorialnie, państwem azjatyckim.

Dopiero po rozbiorze Polski Rosja zaczęła odgrywać ważną rolę w Europie. Jej ówczesnym mężom stanu ów akt rozboju musiał się wydawać natchniony wielką mądrością polityczną. Król pruski, wierny wyznawanej zasadzie swojego życia, chciał po prostu poszerzyć obszar swojego władania znacznie mniejszym kosztem i o wiele mniejszym ryzykiem, niżby tego mógł dokonać, działając w którymkolwiek innym kierunku. Polska była bowiem wówczas całkowicie bezbronna w sensie fizycznym i bardziej chyba niż kiedykolwiek skłonna do pokładania wiary w humanitarne złudzenia. Rzeczpospolita znajdowała się wówczas w stanie duchowego fermentu i wynikłej zeń słabości, która tak często towarzyszy okresom reform społecznych. Zebrane przeciw niej siły były właśnie w tym okresie przytłaczające; mam na myśli stosunkowo uczciwe (bo widoczne) siły wojskowe. Jednakże Fryderyk Pruski, zapewne ze spontanicznej skłonności do zdrady, zechciał odegrać rolę fałszywą i obłudną. Występując na scenę jako przyjaciel, świadomie zawarł przymierze z Rzeczpospolitą, a następnie, zanim atrament wysechł na pergaminie, zerwał je



z beczelną pogardą dla najzwyczajszej przyzwoitości – co musiało być ogromnie miłe jego wrodzonym upodobaniom.

Co do Austrii, roniła ona dyplomatyczne łzy nad tą transakcją. Nie można ich nazwać krokodylimi, ponieważ w pewnej mierze były szczere. Wpływały z żywego poczucia, że przyznana Austrii część łupu nie będzie w stanie zrównoważyć wzrostu siły i obszaru dwu pozostałych mocarstw. W istocie Austria nie chciała rozszerzać swego terytorium kosztem Polski. Nie mogła liczyć na to, że polepszy tym samym swoje granice, gospodarczo zaś nie potrzebowała Galicji, prowincji o niewykorzystanych bogactwach naturalnych i której kopalnie soli nie budziły zachłanności Austrii, bo miała własne. Nie można wątpić, że demokratyczny ruch instytucji polskich ogromnie był niemiły konserwatywnej monarchii; austriaccy mężowie stanu rozumieli wówczas, że prawdziwe niebezpieczeństwo dla autokracji wyłania się na Zachodzie, we Francji, i że wszystkie siły Europy Środkowej będą niezbędne do jego stłumienia. Jednakże nacisk ze strony Rosji i Prus w kierunku *partage* był zbyt silny, aby mu się oprzeć, i Austria musiała za ich przewodem wziąć udział w zniszczeniu państwa, które wolałaby była zachować jako możliwego sprzymierzeńca przeciwko pruskim i rosyjskim zakusom. Można bez przesady powiedzieć, że zniszczenie Polski zapewniło bezpieczeństwo Rewolucji Francuskiej. Kiedy bowiem w roku 1795 dokończono zbrodni, rewolucja okrzepła już i była w stanie bronić się przed siłami reakcji.

W drugiej połowie osiemnastego wieku istniały na kontynencie Europy dwa ośrodki idei liberalnych: Francja i Polska. Przyjrawszy się bezstronnie, można nie popadając w przesadę stwierdzić, że Francja była wówczas równie słaba jak Polska, a może nawet i słabsza. Jednakże położenie geograficzne Francji czyniło ją o wiele mniej narażoną na niebezpieczeństwa. Nie miała u swoich granic potężnych sąsiadów: rozkładająca się Hiszpania na południu i zlepek ksiąstewek niemieckich na wschodzie przypadły jej szczęśliwym losem. Jedynymi państwami, które obawiały się zarazy nowych zasad i miały dość siły, by z nią walczyć, były Prusy, Austria i Rosja, a te musiały się zająć innym siedliskiem zakazanych idei, bezbronną Polską, niechronioną przez przyrodę i zapewniającą natychmiastowe zaspokojenie ich chciwości. Dokonały wyboru i nieopisane cierpienia narodu, który nie chciał umrzeć, były ceną wyznaczoną przez los za triumf idei rewolucyjnych. [...]

[Szkic Józefa Conrada *Zbrodnia rozbiorów*, wraz z trzema innymi, został usunięty przez peerelowską cenzurę z 21 tomu dzieł zebranych pisarza, które ukazały się w latach 1972–1974. Opublikowano je po raz pierwszy dopiero w niepodległej Polsce].



## 9. Blaski i cienie insurekcji kościuszkowskiej.

[Ignacy Prądzyński, *„Zaprzepaszczone szanse”. Wybór myśli politycznych i społecznych*, oprac. Jerzy R. Nowak, Kraków–Wrocław, Wydawnictwo Literackie, 1985]

[...] Polska daleko mniej rozległa, bardziej zaludniona i nie tak dzika, jak była naówczas Ameryka, nie była wcale tak mało przystępną, a zwłaszcza dla Moskali, którzy już od całego stulecia byli się w niej zagnieździłi, i nawykli w niej się uważać jako w domu własnym. Nie było już w Polsce zakątka, co by rosyjskim władzom nie był równie dobrze znajomym jak i samymże Polakom. Fatalniejsze daleko jeszcze były związki, jakie ich polityka zawsze szatańska, ale zręczna, była pozawiażywała z niegodnymi synami ojczyzny.

Gdy Kościuszko podniósł sztandar wolności, Moskwa już się była w Polsce mocno zagnieździła; a wszakże jest dostatecznie wiadomo i pewnie nie potrzebuje dowodzenia, że daleko jest łatwiej utrzymać rolę w czystości, aniżeli wykorzenić z niej zakorzenione chwasty. Dalej, Moskwa nie była tam gdzieś za morzem, ale i owszem, jej granice na ogromnej przestrzeni stykały się z polskimi, co ją stawiało w możności podsycania wojny codziennymi nadsyłkami, których nie były w stanie zrównoważyć straty, o jakie by ich przyprowadzić mogła wojna urywkowa ze strony Polaków.

Dalej jeszcze, wojsko polskie było wprawdzie nowej formacji, nieliczne, przecież zanadto było dobre, aby je szarzać i marnować wojną drobiazgową, urywkową; wszystko nakazywało Polakom prowadzić wielką wojnę wedle wiekuistych zasad sztuki. Jak dalece Kościuszko odpowiedział temu powołaniu, okaże nam dalszy rozbiór jego czynów. Tutaj nadmienimy jeszcze, że pod względem osobistego charakteru byłoby pożądanym w Kościuszcze mniej słodyczy, a więcej energii. Było w nim, jeżeli się nie mylę, cokolwiek miękkości, która i na czynach jego się odbiła. Wszakże, jeżeli to było błędem, było błędem narodowym; bo narodowi polskiemu w ogólności słusznie zarzucać można brak energii i wytrwałości, a nadmiar słabości i miękkości.

Kampania Kościuszki w roku 1794 nosi w ogólności cechę braku fundamentalnego planu i miękkości w dokonywaniu powziętych zamiarów, co, jak się już powiedziało, było po części błędem epoki. Pierwsze wystąpienie Kościuszki z świetną bitwą pod Racławicami zdeterminowało powstanie narodu, ale kto wie, czy w dalszych następstwach nie wywarło szkodliwego wpływu. Odniesione albowiem to zwycięstwo mniejszymi siłami i złożonymi po większej części z krakowskich kosynierów dało Kościuszcze zaufanie, do którego wypadek ten pojedynczy nie mógł jeszcze dawać





dostatecznego prawa. Ten przypadek przywiódł go podobno do wdawania się następnie w walne bitwy z mniejszymi siłami, rachując na tych kosynierów nad ich rzeczywistą wartość. Huk dział racławickich odbił się w Warszawie i wywołał w niej powstanie, a drugie w Wilnie. Były to przeważne zwycięstwa, bo one zamieniły bunt Madalińskiego na powstanie narodowe, dawały temuż powstaniu porządną rząd i podstawę działań. Ale zaraz po Racławicach widać w działaniu wojennym Kościuszki brak gruntownego planu i wahanie się w egzekucji. Już nadmieniliśmy, że pomyślne wypadki na wojnie mogą tylko być osiągnięte za pomocą działania zaczepnego, sprężystości przeprowadzonego. Tymczasem Kościuszko wiele czasu traci bezczynnie w obozie pod Połańcem, czekając na przybycie wojska stojącego w Lubelskiem. Za którego połączeniem z nim posuwa się ku Szczekocinom i wydaje tam walną bitwę Prusakom, ale i to nie zaczepnie, tylko biernie, odpornie.

[...] Wypadało rzucać się kolejno i obcesowo całą, ale zawsze jedną masą, na wojska nieprzyjacielskie, w miarę jakby się jednym lub drugim brzegiem Wisły zbliżały. Jest to jedna z głównych zasad w prowadzeniu wojny, iż nie należy się upierać w obronie i utrzymaniu wszystkiego, bo się wszystko naraża, wszystko się traci. [...] Obrona Warszawy jest czynem wojennym uświetniającym imię Kościuszki jako wodza i przynoszącym jak największy zaszczyt wojsku polskiemu i ludności warszawskiej. Przecież zbawić Polski nie mogła, bo była dziełem czysto biernym, a jak się to już powiedziało, jedynie przez ruch tylko, przez działanie sprężyste, zaczepne, stanowcze i ostateczne wypadki wywołane być mogą. Król pruski oporem Warszawy i powstaniem Wielkopolski zdemoralizowany ustępuje od Warszawy i cofa się w głąb Kaliskiego, straciwszy potrzebne mu amunicje, przez powstańców pod Włocławkiem zatopione. Korpus posiłkowy rosyjski pod generałem Fersen[em] odłącza się od niego i dąży przepłynąć się przez Wisłę w okolicy Puław, ażeby się połączyć z Suworowem, nadciągającym po tamtej stronie Wisły z Ukrainy, bo Rosjanie chcą teraz wojnę na własny rachunek prowadzić i skończyć. Położenie kościuszkowskiego powstania stawało się pomyślniejsze, niż kiedy dotąd było. Obronienie Warszawy, ten znamienity wypadek wojenny podniósł otuchę w narodzie i wyegzaltował obrońców Polski do nowych czynów. Niejeden obojętny dotąd, bo mu brakowało wiary w sprawę, nabierał jej i gotował się zapomóc siły narodu. Ale szczególnie sprzyjający był stan rzeczy pod względem strategicznym. Nieprzyjaciele Polski zajmowali peryferią ogromnego koła, którego wielkości i rozległości kraju, na którym działać mieli, nie odpowiadały wcale ich siłom. Król pruski z główną swoją armią już był swoją kampanią na ten rok skończył. Były to jeszcze czasy, że wojska zachodniej Europy po ukończonej kampanii brały koniecznie zimowe leże. W takowych już się



rozkładało wojsko pruskie ponad granicami Szląska; dla niego już kampania była skończoną, tym bardziej że wypadki warszawskie czyniły wojsko to niezdolnym do działań, których wypadek w Polsce dostatecznie zniechęcił Fryderyka Wilhelma, pozbawionego wszelkiej wytrwałości. Rosyjskie siły przeciw Polsce użyte rozłączone były pomiędzy sobą ogromnymi rozległościami i wielkimi przeszkodami natury. Fersen, mający główną siłę w piechocie, od Suworowa nadciągającego z konnicą rzeką Wisłą; Suworow znowu od wojska na Litwie działającego i zdobywającego Wilno szerokim pasem Prypeci z wszystkimi jej napływami i bagnami. Każdy z tych trzech oddziałów sam przez się nie był dość mocny, ażeby zadać insurekcji polskiej stanowczy cios. Uskutecznienie połączenia zaś tych trzech korpusów było rzeczą nader trudną i niebezpieczną. Musieli jednakże przedsięwziąć takowe połączenia, chcąc się postawić w możliwości dalszego prowadzenia wojny skutecznie. Zupełnie więc racjonalną była przeprawa Wisły przez Fersena i nieodzowną, jakkolwiek hazardowną.

W takim stanie rzeczy Kościuszko był panem Warszawy i zajmował centralne stanowisko, co mu pozwalało połączyć wojsko do woli, bez trudności, częściowo lub całkowicie dla przedsięwzięcia działań na podzielonego nieprzyjaciela. Była to jedna z owych wielkich okazji, jakie rzadko nastręcza sprzyjająca fortuna, ale którą tylko wyższe umysły wojskowe pochwycić umieją. Objawiła się wprawdzie myśl w naczelnictwie polskim, spoczywająca na zasadach sztuki wojennej, korzystania z swego położenia i niedopuszczania połączenia się sił rosyjskich, walcząc nasamprzód z Fersenem, bo on znajdował się najbliżej, a po uskutecznionej przeprawie Wisły musiał przyjmować walkę z tą rzeką za plecami, przez co byłby musiał ulec zupełnemu zniszczeniu w razie powodzenia ze strony Polaków. Na nieszczęście wykonanie nie odpowiedziało temu pomysłowi, i tak jak było uskutecznione, nie mogło się skończyć jak tylko śmiertelną katastrofą. Nasamprzód, jeżeli nieprzyjaciel, którym teraz w tej chwili byli jedynie Moskale, był podzielonym, tedy siły polskie widzimy jeszcze bardziej rozdrobnione i rozrzucone na oddzielne korpusy, bojujące bez żadnego między sobą związku, pod Dąbrowskim, pod Wielhorskim, pod księciem Poniatowskim, pod Sierakowskim, Ponińskim, na koniec pod samym Kościuszką. Siła Fersena, którego przez tyle tygodni pod Warszawą naokoło miano, nie mogła być nieznaną z wszelką dokładnością; wynosiła ona 12 000 z okładem. Polski Naczelnik w zamiarze wrzucenia go do Wisły, jak wtedy w Warszawie mówiono, zjawia się w jego obliczu w kilka tysięcy, i to tego samego wojska, które pod naczelnictwem Sierakowskiego klęską dopiero pod Krupczycami i pod Terespołem poniesioną już było wielce zdemoralizowane i w owej potrzebie pyszną swoją artylerią królewskimi





cugami zaprzęzoną utraciła. Zawsze na wojnie siły nasze powinny być odpowiednie zamierzonemu przedsięwzięciu. Czyliż Naczelnik mógł rozsądnie przypuszczać, że ową garstką zdemoralizowanego wojska podoła korpusowi Fersena? Toteż stanąwszy w jego obliczu, musiał to sam poznać; zastanowił się i zrzec się musiał wszystkich korzyści, jakie zapewnia inicjatywa. Okopuje się i nie on Fersena, ale Fersen jego atakuje, skoro spostrzegł, jak słabego ma przeciwnika. Wypadek nie mógł być wątpliwy. [...]



## 10. Akcja powstańcza w zaborze austriackim latem 1797 roku.

[Marian Kukiel, *Próby powstańcze po III rozbiore 1795–1797*, Poznań, Wydawnictwo KURPISZ S.A. 2006, reprint wydania z 1912]

[...] Dwustu insurgentów co najwyżej wzięło udział w owym najeździe na granice wielkiej potencji. Podzieleni na oddziały po dwadzieścia kilka koni pod dowództwem Deniski, Ilińskiego, Rzodkiewicza, Berezowskiego, Przybyłowskiego i innych, napadli na czartaki strażnicze, komory [celne] i wioski w Trupczynie, Witkowcach, Olchowicach w obwodzie zaleszczyckim, a w Toporowcach i Dobronowcach na Bukowinie; przyszło do utarczek z różnym wynikiem; zostawili powstańcy paru zabitych i rannych; ciężką ranę odniósł Berezowski; rozbroili paru żołnierzy austriackich, podpalili parę czartaków; wreszcie cofnęli się wszędzie na terytorium tureckie. Nazajutrz napadli na komorę w Onucie, usiłując na próżno zdobyć pieniądze skarbowe, które potrafił ukryć jakiś urzędniczyna. Odczytano tu publicznie odezwę powstańczą, chłopom obwieszczono wolność od wszelkich powinności pańszczyźnianych i obiecano opiekę naczelnika Deniski.

Jakim był taktyczny cel całej owej akcji, trudno powiedzieć; okazał się Denisko szalonym może straceńcem, ale dowódcą złym. Sądząc, jak się zdaje, że rozprasza uwagę nieprzyjaciela i siły jego rozdrabnia, w istocie ostrzegł go tylko, wzmógł jego czujność, przyspieszył akcję odporną. [...] Tymczasem oddziały powstańcze zapadły znów w lasy. Denisko usiłował zebrać całą swą zbrojną siłę. Zebrało się według relacji austriackiej – 160 konnych i 32 pieszych żołnierzy. Podzielił ich brygadier na oddziały; pierwszy prowadził sam, drugi oddał porucznikowi Ilińskiemu; nad piechotę miał komendę były major gwardii koronnej, jeden z twórców i bohaterów powstania stołecznego w roku 1794 [w czasie insurekcji kościuszkowskiej], dzielny Fryderyk Melfort. Powiedział podobno Denisko swym podkomendnym, że teraz mają przebić się do Galicji, że, gdy dotrą do Horodenki zastaną już wszystko przygotowanym na ich przyjęcie i w liczniejszym towarzystwie pociągną na Lwów. Kasę konfederacką i papiery wieziono za oddziałem przez Dobronowce, gdzie spodziewali się mieć do czynienia z 25 dragonami; nie wiedział Denisko, że w nocy z 29 na 30 czerwca nadszedł tam komendant pogranicza major Novack, z pół-kompanią piechoty, trzema plutonami dragonów i jednym działem. Wieczorem 30 czerwca nastąpiło starcie. Wynik był fatalny. Zachwiali się podobno dwukrotnie dragoni austriaccy pod szarżą konnicy powstańczej. Jednocześnie śmiały atak Melforta rzucił podobno popłoch między piechotę austriacką – byli to, jak się zdaje, plajasz. Nie wytrzymali



jednak wolontariusze Deniski uporczywej walki z regularnym żołnierzem; konnica złamała się i pierzchła. Dowódca jej, Iliński z trudem zdołał wyrąbać się spośród dragonów. Ranny był późniejszy generał, Julian Sierawski, Rzodkiewicz dostał siedm cięć pałasza i pchnięcie bagnetem; uniesiono go z placu boju. Pozostała piechota. Melfort, ciężko ranny był już jeńcem. Żołnierze bronili się po bohatersku i wyginęli wszyscy pod cięciami pałaszów. Brygadier uszedł wraz z konnicą, porzucając kasę i papiery. [...]

Dnia 10 lipca, o godzinie 10 rano powiedziano siedmiu powstańców i przewodnika ich, chłopu mołdawskiego na sąd doraźny; jako ustawowe miejsce przestępstwa upatrzone miejscowość w pobliżu Toporowiec – wioski na północny wschód od Czerniowiec, blisko dwie mile od miasta – gdzie odbyła się w dniu 26 czerwca jedna z potyczek. Wieczorem zjechał sędzia kryminalny *cum suis*, i starosta v. Balsch wraz z tłumem ciekawych. Przez całą noc trwały badania; zakończono je dopiero następnego dnia po południu; o 4 godzinie odczytano podsądnym wyrok śmierci; o piątej rozpoczęła się egzekucja. Przerwana jak się zdaje, przez burzę i deszcz ulewny, wlokła się parę godzin. „Ponieważ mistrz Grün nie przybył ze Lwowa – pisze jeden z komisarzy policji do swego kolegi – podjął się dozorca więzienny Garsky ekspedycji i, jak słyszę, wywiązał się ze swego zadania, jak na początkującego, wcale dobrze i pozostanie chyba katem”...

Pierwszy zawisł na szubienicy ów chłop-przewodnik, Iwan Serbu, zraniony i pojmany 26 czerwca pod Toporowcami. Był najęty za 15 guldenów przez powstańców. Uznano go najmniej winnym i od niego rozpoczęto trącenie. Drugim był pięćdziesięcioletni szlachcic z Podola, Tomasz Ordyński, ranny i pojmany 30 t[ego] m[iesiąca] pod Dobronowcami. Trzecim Józef Kamieński z Szarogrodu na Podolu, szlachcic, w wieku lat 54, ujęty pod Toporowcami 26 czerwca, czwartym ośmnastoletni Wołyniak, szlachcic, nazywał się Stefan Narodosławski. Dostał się do niewoli 30 czerwca pod Dobronowcami. Piątym był 22-letni Antoni Dobrowolski, z Przasnysza, szlachcic, pojmany 30 czerwca. Szóstym Tomasz Bazyli Jaśnicki z Włocławka, lat 26, pojmany między Onutem a Czernym Potokiem 26 czerwca. Siódmym Jan Lesięcki, 27-letni, szlachcic z województwa bractawskiego, jeniec z 30 czerwca.

Ósmym był Fryderyk Melfort, potomek hrabiowskiej rodziny angielskiej, która z Jakubem Stuartem opuściła ojczyznę; urodzony w Warszawie, był major przy gwardii koronnej, pod Dobronowcami miał nad strzelcami komendę. Jako najciężej winny, bo jeden z dowódców, patrzeć musiał na zgon wszystkich towarzyszy. Na niego zwrócone były oczy całego tłumu. Zachowywał się mężnie. Dopiero, gdy



ujrzał, że siódmego powieszono, dreszcz przeszedł ręce i nogi skazańca; zbladł śmiertelnie. W tej chwili spoczęły na nim ręce kata. Przyszedł do siebie i patrzył przez chwilę spokojnie na widzów. Po chwili tragedia dobiegła końca. Władze pozostały na miejscu do następnego rana, czekając zapewne na zdjęcie i zakopanie trupów.

[Przywódcą tej pierwszej, zakończonej klęską, akcji powstańczej po III rozbiorze Polski był Joachim Denisko, uczestnik insurekcji kościuszkowskiej w stopniu brygadiera. Po kilku miesiącach od egzekucji swoich podwładnych uzyskał łaskę cara i przeszedł na służbę rosyjską. Zmarł w Petersburgu, przypuszczalnie w roku wyprawy cesarza Napoleona I Bonaparte na Rosję. Wymieniony w tekście Julian Sierawski (1777–1849), oficer w powstaniu kościuszkowskim, po katastrofie akcji powstańczej Deniski służył w Legionach Dąbrowskiego, uczestniczył w wojnach napoleońskich, był pułkownikiem w armii Księstwa Warszawskiego, uczestnikiem wojny z Austrią w 1809 roku i wyprawy Napoleona na Rosję w 1812 roku – odznaczył się m.in. w bitwie pod Borysowem i był ranny nad Berezyną. W czasie powstania listopadowego w stopniu generała dowodził dywizją, bez powodzenia uczestnicząc w działaniach na Lubelszczyźnie przeciw Rosjanom. Po powstaniu przebywał na emigracji we Francji, gdzie zmarł].



## 11. „Jeszcze Polska nie umarła...”

[Szymon Askenazy, *Napoleon a Polska*, t. 2: *Bonaparte a Legiony*, Poznań, Wydawnictwo KURPISZ S.A. 2006, reprint wydania z 1918]

[...] Wszyscy prawie przytomni wtedy w Medyolanie skupiali się ściślej pod Dąbrowskiego przewodem. Garnęli się do niego i przeciwnicy, uprzedzony Niemojewski lub zrażony Kosiński, „fraternizował” nawet zawzięty Sułkowski. Gorączkowe oczekiwanie i ufność radosna do prostego zstępowały żołnierza. Oporządzali się gorączkowo do boju legioniści. Wybierali się w pochód, przez góry i rzeki, poprzez niewolące ich do niedawna armie cesarskie, na utęsknioną ziemię rodzinną, dokąd pono aż zza morza cudem ocalony podąży Kościuszko; dokąd pospołu utorują drogę dzielne „Mazurki”, jak galicyjska wiara legionowa przezwiała żwawych z mazurska Francuzów; dokąd prosto powiedzie mądry „Bartek”, jak ulubionego, czule o nią dbałego, przezwiała Dąbrowskiego; dokąd trafić nauczy i pomoże przede wszystkim ów niepokąźny „mały kapral”, co to już po tylekroć nienawistnych kajzerlików bez pardonu łupił, najsroższych obersztów, najstarszych generałów cesarskich, ba nawet feldmarszałków w niewolę imał jak maku, najdosłojniejszego roznosił arcyksięcia, do samego Najjaśniejszego się dobierał, najmędrzy i najmożniejszy „Bartek Starszy”, jak z upodobaniem przezwiała Bonapartego. „Zgoła, któż wszystkie cuda opisz?... nie kręci Ci się w głowie, to czytając? – pisał z Medyolanu Wielhorskiemu do Bologni porwany uniesieniem Wybicki – mnie się zda jak w malignie, że lecę przez tysiące stopni gdzieś tam na dno... Wszak my i do Kościuszki różnego gatunku popisali inwitacje... Więc wszystko się dopełnia... Bonaparte znowu troskliwie pytał o Małachowskiego... Wiadomości wszystkie wróżą nam wojnę. Piszą z Wiednia, że tam przygotowania największe...

Cieszymy się choć temi snami; milsze one jak na jawie smutki... Bonaparte, mogę mówić, więcej ma szacunku dla Dąbrowskiego, jak miało wojsko i rządy nasze dla niego... Ja w tem tryumfuję, bo zawsze byłem za Dąbrowskim, tak jak teraz za jego legionami, w których zbawienia naszego szczególną zakładam nadzieję. Szanowni wybawiciele nasi, gotujcie się odbierać te laury, które Wam wdzięczna ręka uwije...”

Z takiego nastroju wtedy, latem 1797 roku, wystrzeliła jasną iskrą pieśń wojenna legionów, odtąd narodowa Polski. Przyszła sama, bo była potrzebna do podniesienia ducha, wysłowienia popędu, uzmysłowienia celu tej dziwnej, jedynej w swoim rodzaju, zbrojnej drużyny tułaczey, poszukującej w tych stronach dalekich swego prawa do wolnej ojczyzny. Legionowemu ludowi polskiemu, śpiewnemu z natury



w zwykłej doli na swoim zagonie, trzeba było tem bardziej dzielnej pieśni żołnierskiej na odbywanej teraz po obcych niwach twardej orężnej wędrówce. [...]

Pobudki trzeba było, swojskiej, jędrnej a prostej, ujmującej treść najistotniejszą, przepełniającą serca legionowe polskie. Dało ją, jak na zawołanie, w chwili niniejszej, bardzo proste, bardzo polskie serce Wybickiego. Na widok pozornych w tej chwili „cudownych” znaków jutrzni wojennej i narodowej, uniesiony zapałem Wybicki, w kilku zwrotkach, powstałych bądź pod koniec lipca przed wyjazdem z Reggia, bądź też w pierwszych dniach sierpnia 1797 roku w Medyolanie, stworzył pieśń legionów. Ogłaszała ona tę prawdę niewzruszoną, iż nie umarła jeszcze Polska, póki wierni jej żyją synowie. Zapowiadała rychły jej odbój z bronią w rękę, w marszu pod Dąbrowskim, z obczyzny włoskiej, przez Wisłę i Wartę, do siedzib rodzinnych, do ojców i niewiast, zostawionych w domu i tęsknie wyglądających nadejścia swych zbawców. Przypominała sławny ongi Czarnieckiego powrót przez morza i przyrzekała podobny zza morza powrót Kościuszki. Nawoływała do zgody w imię świętej wspólnej sprawy. Zaś walną porękę powodzenia ukazywała w wielkim opiekunie legionów i Polski, w zwycięzcy Bonapartem. Nie było w tem co prawda ponurej mocy słów groźnych i dźwięków marsowych światoburczej Marsylianki, ani wściekłego impetu *Ça ira*. Była ochocza tężyzna czysto polska, rozpromieniona wiarą serdeczną, niesiona dziarskim rytmem mazurskim. Proste wyrazy i prosta nuta swojska trafią od razu do duszy nie tylko legionistów, lecz całego narodu i wryją się tam na zawsze. Zagrzmią one kiedyś, po wielu leciech, i starego legionistę, dyktatora Chłopickiego, ocucą z odrętwienia pod Grochowem.

Aliści zawsze jednym z najcelniejszych Bonapartego pozostanie zaszczytów, iż imię jego po wszystkie czasy skojarzyło się z nieśmiertelną pieśnią narodową obcego wielkiego ludu.



## 12. „Jakiż był cel tej nagonki potwornej?”

[Wacław Berent, *Nurt. Opowieści biograficzne*, Warszawa, Czytelnik, 1958]

Ten jedyny generał powstania kościuszkowskiego zwyciężał zawsze. To rozdrobniając swe siły na dawne podjazdowe komuniki wojny szarpanej, to skupiając je niespodzianym zaskoczeniem boju walnego, bił, doprowadzał do wyczerpania i dezorientacji najświetniejszą podówczas i niezwalczoną armię pruską. Nie wódz powstania niestety, nie dyktator, jak biadał generał Kołaczkowski, nie bohater narodowy za życia – odmówiła mu natura i w zewnętrznym wyglądzie, i w całym trybie oraz wysławianiu się wszystkiego, co działa na wyobraźnię ludzką – lecz po prostu żołnierz udały dźwigał zwycięsko cały ciężar działań wojennych na zachód od Wisły. „W klęsk potopie on jeden zbierał wojenne wawrzyny” – przyznawała mu nawet niechęć zawistna.

Po poddaniu się Warszawy i ogólnej kapitulacji radoszyckiej został przez Suworowa otoczony szczególnymi względami – oficerom sztabu pruskiego na złość i nieustanne jątrzenie ich pychy. Wódz rosyjski wychwalał przed nimi z upartą dokuczliwością „wysoce interesującego człowieka, generała polskiego Dąbrowskiego, który tak dał się wam we znaki” – lub innym razem wręcz: „który was bił i zwyciężał zawsze”. To przekorne honorowanie Dąbrowskiego – a było i publiczne, właśnie na bankiecie wydanym na cześć sztabowców pruskich – wydało rezultat zdumiewający: list Fryderyka Wilhelma do Suworowa, w którym król pruski w nieprawdopodobnie brutalnej formie oskarża „eks-generała” i „rewolucjonistę” Dąbrowskiego o... kradzież dworskiej porcelany z Bydgoszczy. Starannie zachował Dąbrowski w swych papierach to niebywałe oskarżenie łącznie ze swą odpowiedzią, dostatecznie wzgardliwą. Suworow bowiem odesłał mu ten list dla osobistego załatwienia tej błażej dlań sprawy. [...]

Wygląda ona istotnie na delację rosyjską o niewyszukanej treści, celem ostatecznego uniemożliwienia jakichkolwiek porozumień się rządu pruskiego z Dąbrowskim. Równocześnie bowiem proponował mu wódz rosyjski służbę w sztabie swoim, łudzając go dla zachęty równie niewiarogodną, jak nieponętną nadzieją tworzenia jakiegoś nowego wojska polskiego pod egidą Katarzyny. Ten „eks-generał” a żołnierz zawodowy w trzecim już pokoleniu (po ojcu i dziadzie), od dziecka prawie wychowanec najlepszej podówczas wojskowej szkoły saskiej, uczeń, z czasem adiutant słynnego wówczas stratega Bellegardy, w końcu generał polski, mógł być dla obu najeźdźców czymś więcej niżli wysoce interesującą osobistością. Zastanawiał ich





nie tylko swą głęboką wiedzą wojskową i ogólną, lecz doznanymi tak dotkliwie przez Prusaków talentami wodza w polu. Niepokoić zaś mógł nade wszystko zdolnościami organizatora: – wszakże to żołnierzem na poły nowozacieżnym, któremu zbywało na wszystkim, kompromitował on najświetniej wyćwiczoną i zasobną armię pruską. Ten człowiek mógł każdej chwili zamienić się w wojsko bitne. (Jakoż w ciągu życia wyrastało ono pod nim nieraz, a zawsze „jak spod ziemi”). Należało go czym prędzej zjednać, by w rychłej może już potrzebie wygrać przeciw sprzymierzeńcowi w tych nieustannych tarcjach z bronią w ręku.

Przekreślając tedy swe kramarzenie się o porcelanę, wszczynął król pruski targi inne: o duszę wodza polskiego. A przesadził niebawem i Suworowa w zabiegach o pozyskanie „rewolucjonisty” dla swej armii. Że w obecnych okolicznościach nie mógłby korzystać sam z tej łaski królewskiej – brzmiała odpowiedź Dąbrowskiego na osobistą propozycję Fryderyka Wilhelma w Berlinie: – „Gdy król pruski ogłosi się królem polskim, natenczas Dąbrowski stanie na czele wojska narodowego”. Wysłuchano tego bez najlżejszego gestu sprzeciwu, lecz w głuchym milczeniu.

Ile okazał tu Dąbrowski godności osobistej i narodowej (nawet w zewnętrznym wystąpieniu), zaświadczył niespodzianie czujny świadek z ubocza: poseł francuski w Berlinie w swych tajnych i zdumiewająco szczegółowych raportach do Dyrektoriatu.

Tych reminiscencji historycznych nie podobna było tu ominąć. Bez nich niepojęte wręcz stawały się najtragiczniejsze właśnie przeżycia Dąbrowskiego ani ta potworna nagonka, jakiej tyloletnim celem był bohater polskiego hymnu narodowego. Z tej bowiem jego „konduity” w „konszachtach” z zaborcami uwarzyła dlań zawiść przeraźliwie jadowitą cykutę. Jej ciemna struga przelewa się nieustannie po papierach sztabu legii włoskiej, czerni najbielsze karty samozaparcia i poświęcenia się Dąbrowskiego, a z ust najbardziej mu oddanego Wybickiego wyrывa się raz w liście ten krzyk rezygnacji, by „zejść z gościńca” straszliwych zawiści polskich.

Sentyment narodowy wybaczal Kościuszce wszystko – a czyni to po dziś dzień – ile że był on nawet w słabościach swych kością z kości, krwią z krwi rodaków swoich – a stał się słusznie najczystszy sztafandem wiekowego w Polsce kultu ofiarności klęskowych. Tamten „Niemiec” natomiast miał mało wspólnego z sentymentem swych ziomków rodowych, a najmniej z kultem klęski. Był po prostu żołnierzem zakamieniałym z jego niestrawionym optymizmem. „Teraz właśnie – głosił na ruinach – nastała pora wykazania największej energii”.

[...]

W roku VII ukazało się w Paryżu czernidło niejakiego Neumana, emigranta z Wielkopolski, informujące Francuzów, jak to Dąbrowski, zaledwie przybywszy



z Saksonii, przyłączył się do Targowicy i, jako narzędzie Sieversa, denuncjował przed nim swych niedawnych towarzyszy broni. Miecz sprawiedliwości zawisł od razu nad głową nikczemnika, ale znaleźli się tacy, którzy go osłonili przed zemstą narodową. (To o Wybickim). Z równą perfidią kontynuował swą karierę: przekupywany stale przez Prusaków, dał im się bić na każdym kroku. (Tak o jedynie zwycięskim wodzu powstania kościuszkowskiego, pogromcy armii pruskiej pod Bydgoszczą itd.). [...] Tak szumnie wywodził w paryskim „Journal des hommes libres” były dependent jakiegoś adwokata z Poznania, kończąc swą anatemę rewolucyjną denuncjacją publiczną, że, przekupiony z kolei przez Suworowa, zawiązał Dąbrowski legiony w tym jedynie celu, by wnieść destrukcję i zdradę w armię francuską.

Ów paszkwil Neumana, odbity w licznych ulotkach, „rozrzucono między członków ciała prawodawczego i po klubach” – powiadamia Dąbrowskiego Kniaziewicz z Paryża. [...]

Groźne mimo to stawały się podobne paszkwile dla samego bytu legionów. A uprawiał je Neuman już wcześniej z równie płomienną wymową rewolucjonisty. I rozsyłał pilnie odbitki tych paszkwilów oficerom legionowym. [...] „...Za pierwszym postawieniem stopy na ziemi ojczystej wołać będę do współbraci o ukaranie... tego hipokryty jaszczurczego plemienia... tej najpryncypialniejszej przyczyny nieszczęść naszych” – grzmi oto w liście kasztelan Mniewski, magnat-warchoł, który utrzymywał w Paryżu głównych prowodyrów owej czeredy. Tak więc jeśli nie gilotynę na placu Bastylli, to szubienicę na rynku Starego Miasta w Warszawie obiecywali Dąbrowskiemu jakobini polscy.

[...] Najczerwieńszych jakobinów polskich z Dmochowskim i Szaniawskim na czele wymiotło niebawem z Paryża z powrotem do Warszawy – na bytowanie najlojalniejsze pod twardym kułakiem pruskim. Ta przede wszystkim szkoła przekształci ich obu w statecznych konserwatystów, odmieniając zaciekle rewolucjonizm „obywatela Kalasantego” z klubów jakobińskich Paryża w niemniej zażarte potem jego służalstwo Moskalom w Warszawie.

Neumana przyjaciel, obywatel Turski, nie czekał aż na Królestwo i Konstantego; został szpiegiem rosyjskim nad ludźmi Księstwa Warszawskiego. Odmieniłże się tak bardzo rewolucjonista?... Nie trzeba tu było aż metamorfozy. Wierny swej naturze szakala, powłókł się za nienawistnym cuchem zwierza grubszego. I trafił przypadkiem na żerowisko. Tropił więc przywódców Polski ówczesnej w ich niedosięgu, kluczył po zakolu ich działań, pasł się żołdem szpiega – i wył pewnie *modo russo* duszy nieukoje.

Bardziej obchodzi nas tu główna sprężyna tej kompanii całej. Luminarz polski,



czołowa postać emigracji pierwszej, za Księstwa Katon, był Szaniawski w Paryżu jeśli nie wręcz autorem, to bezpośrednim suflerem wszystkich paszkwilów i oszczerstw na Dąbrowskiego.

Jakiż był cel tej nagonki potwornej?

Groteskowych imion – generał Amilkar i obywatel Kalasanty dorywali się kolejno do władzy. A nie daj Boże, gdy próżności takie oćmi szął chwały. Szło o władzę nad legionami. Oświadczyli to bez ogródek „filozof” Szaniawski, „ksiądz” Dmochowski i kasztelan Mniewski; obwieścili to imieniem „Delegacji patriotów polskich” w swej „Odezwie do rodaków”, pióra Szaniawskiego: „Przykro było Republikanom widzieć na czele legionów człowieka bez duszy, bez principów, bez charakteru, przykrzej jeszcze widzieć w ręku jego złożoną, despotyczną władzę nad wolnymi Polakami... Żądaliśmy i żądamy, aby legiony spod arbitralności jednej osoby wyjęte były, i pragniemy, aby zostały zorganizowane w sposobie prawdziwie republikańskim”.

Tak od duszy, charakterów i principów odsądzał Dąbrowskiego przyszły cenzor rosyjski, pod którego „obuchem” zamarło ostatecznie w Warszawie oświecenie polskie – wskrzeszane po rozbiorach szablą i duchem legionów. [...]



### 13. Decyzja Naczelnika Kościuszki.

[Ignacy Prądzyński, *„Zaprzepaszczone szanse”. Wybór myśli politycznych i społecznych*, oprac. Jerzy R. Nowak, Kraków–Wrocław, Wydawnictwo Literackie, 1985]

Klęska maciejowicka, lubo przez część tylko Polski poniesiona, naprawioną już być nie mogła; pozbawiła Polaków albowiem ubóstwianego Naczelnika. [...] Bitwa pod Maciejowicami zakończyła zawód polityczny i wojskowy Kościuszki. Odtąd już się nie wdawał do wypadków, które Europę tak gwałtownie wstrząsały, przez ciąg życia jeszcze długiego [...]. Przekonań swoich nie zmienił ani nie zmodyfikował wobec największych wielkości świata; nie uległ ani potędze, ani prawdziwej wielkości, ani jakimkolwiek widokom własnej korzyści, ani niebezpiecznej ułudzie pochlebstw cesarzów: Pawła, Napoleona, Aleksandra; a ponieważ opór stawiony tym potentatom opierał się na mocnym przekonaniu, zasługuje na uszanowanie. Ale czyli Kościuszko na tej drodze działał zawsze w interesie Polski, dla której żywot swój poświęcił? Czy w dalszym życiu swoim zrobił to wszystko, co zrobić, a przynajmniej tentować mógł? Czy nie mógł jej lepiej usłużyć, jak zasklepiając się w martwą beczynność? To znowu inne pytanie, nad którym chcę się cokolwiek zastanowić.

Że nie przyjął świetnych propozycji cesarza Pawła lub dar jego zwrócił, było z jego strony pięknie, jakkolwiek tego wymagało utrzymanie osobistej godności i dowiodło wzniosły jego charakter. [...] Co innego za Napoleona. Napoleon po bitwie pod Jeną, zabierając się wkroczyć do Polski, zwrócił swoją uwagę na Kościuszkę, chcąc w widokach swych użyć go za narzędzie do poruszania Polaków przeciw Rosji, i z jego polecenia minister Fouché odbył z Kościuszką negocjację.

Lecz Kościuszko, niegdyś podwładny Washingtona, uczestnik wojny amerykańskiej, a teraz obywatel owego kraju, w ścisłych był związkach z niektórymi osobami wychodzącymi z tej szkoły, mianowicie z La Fayette'em i dzielił ich widoki polityczne, republikańskie; był zatem razem z nimi systematycznym przeciwnikiem Napoleona. Kościuszko należał do owej szkoły, co to istnienia Polski nie umiała odłączyć od formy jej rządu, a ten chciała mieć koniecznie liberalnie-konstytucyjny. Napoleon przeto był w oczach jej zwolenników despotą, wrogiem wolności. Owa szkoła w późniejszych jeszcze czasach, bo aż do powstania w roku 1831, miała swoich zwolenników, których opinie wiele złego narobiły, a co mówili: niechaj nade mną Moskał, Żyd panuje, abym ja tylko miał wolność, tej zaś nie może być, tylko w rządzie liberalno-konstytucyjnym. Była to mania, szal, prawdziwe obłąkanie zmysłów – i potrzeba było gorzkich doświadczeń późniejszych czasów, ażeby nas



z tej prawdziwej choroby uleczyć. Zajmowanie się formą rządu dla jakiego kraju, zanim istnienie jego niepodległe jest zapewnione, jest to zaczynać budowę gmachu od dachu, zapomniawszy o fundamencie.

O, dla Boga! zaniechajmyż raz dzielić się pomiędzy sobą tak czcziymi, bo przedwczesnymi kwestiami. Wszystkie siły narodowe niechaj połączone będą i zmierzone ku jednemu a wielkiemu celowi – odzyskania bytu politycznego; inne zajęcia mogą nas tylko osłabiać i oddalać. Odzyskawszy ten byt i utwierdziwszy go na niezachwianych zasadach, wtedy dopiero zajmujemy się kwestiami polityki wewnętrznej, formą rządu, i jeżeliby to już bez tego być nie mogło, wadźmy się nawet między sobą. Wtedy nawet najkrwawsza wojna domowa nie będzie dla ojczyzny tak okropną, jak jest dzisiaj stan jej potworny.

Kościuszko pokazał niezawisłość charakteru, a nawet i nowy rodzaj odwagi, nie ulegając urokowi, jaki podówczas Napoleona otaczał. Żadnego od niego nowego udziału w powstaniu Polski nie chciał brać, jak tylko pod pewnymi warunkami, a tymi były: ażeby Napoleon uroczyście zagwarantował niepodległy byt Polski w dawnych granicach, jako też razem formę rządu liberalno-konstytucyjną. Podnosić wtedy tę ostatnią kwestię było rzeczą zupełnie przedwczesną, było niepotrzebnym komplikowaniem i utrudnianiem rzeczy już i tak dość trudnej i drażliwej. Nawet bytu Polski Napoleon nie mógł gwarantować, bo ten zależeć musiał od wypadków wojny niebezpiecznej, którą Napoleon prowadził. Nie mógł on rozsądnie wiązać losów Francji i swojej egzystencji ze sprawą polską, która w oczach jego była podrzędną. Jeżeliby wypadki tej wojny były pomyślne, tedy żadnej nie mogło być wątpliwości, że z niej wyniknie odbudowanie Polski; w przeciwnym razie nic by nie były pomogły gwarancje Napoleona; byłyby tylko mogły skompromitować jego samego i zgotować mu wielkie kłopoty.

Zresztą Napoleon nie był to człowiek, aby sobie był dał narzucać warunki, najmniej ze strony pojedynczego człowieka, zwolennika La Fayette'a i francuskich republikanów. Tymczasem wypadki szły dalej w locie. Napoleon wkraczał do Poznania; to, co tutaj zobaczył, dało mu przekonanie, że się bez Kościuszki obejdzie i że się nawet obejdzie bez niego do pobudzenia Polaków do nadzwyczajnych wysiłków. Rzecz cała więc skończyła się na niczym. Kościuszko został w swoim ustroniu, a wypadki szły dalej bez niego.



## 14. Napoleon na ziemiach Rzeczypospolitej.

[Ignacy Prądzyński, *„Zaprzepaszczone szanse”. Wybór myśli politycznych i społecznych*, oprac. Jerzy R. Nowak, Kraków–Wrocław, Wydawnictwo Literackie, 1985]

[...] Wkroczenie Napoleona do Polski było okazją dla narodu do powstania, jaka się dwa razy w życiu nie zdarza. Obowiązkiem więc było dla wszystkiego, co ma krew i serce, chwycić się oręża i skupić się pod sztandar białego orła, przez Dąbrowskiego z przyzwoleniem Napoleona w Poznaniu najprzód podniesionego. Tu nie był czas ani położenie po temu, ażeby żądać warunków i gwarancji. Myśmy dla Napoleona byli jedynie narzędziem, więc też i my nie powinniśmy go byli uważać jak za narzędzie, ale nas łączył wspólny interes, na tym było dosyć. Naszym było zadaniem: skupić wszystkie wysilenia nasze, ażeby jak najprędzszym wystawieniem siły poważnej pozyskać stanowisko potęgi i zmusić przez to tak przyjaciół, jako i wrogów do uważania nas za takową, jako fakt istniejący.

Zobaczmy w dalszym rozbiorze, jakie by były mogły skutki nastąpić z takiego pojmowania rzeczy. Tymczasem my sami, Polacy, czy pojęliśmy ówczesne położenie?

Czy umieliśmy z nadarzonej pory korzystać i nie zasłużyliśmy na żadne zarzuty w oczach następnych pokoleń? Z boleścią przychodzi wyznać, że nie.

Jedna tylko Wielkopolska, której środek Poznań, a którą Napoleon przy wstępie do Polski najprzód napotkał, poznała i sownie wykonała stan rzeczy i swoje powołanie. I przez to okazała, że z całej Polski tam była oświata prawdziwa, najdalej posunięta i prawdziwie dobrze zrozumiany patriotyzm.

Tam nie robiono warunków Napoleonowi, o nic się nie targowano; jednogłośnie wołano tylko: Do broni! bracia, do broni! – i chwytala ją nie sama tylko szlachta, ale popęd patriotyczny ogarnął nawet i chłopstwo. Ten patriotyzm wzrósł pod Wisłę i Pilicę, ale nie dalej.

Nawet w Warszawie już się pokazał słabszym aniżeli w Poznaniu. Tam zaszedłszy, Napoleon wnet poznał za pierwszymi spotkaniami z Rosjanami nad Narwią, szczególnie zaś w bitwie pod Eylau [Iławą], że nad Wisłą, gdzie tak daleko był od swojej głównej podstawy działań, Renu, a zatem stosunkowo słabszym, inne go wcale trudności czekały w prowadzeniu wojny tak ze strony ostrzejszego klimatu, jako też z powodu rzadko rozsianej ludności aniżeli w zamożnych i ludnych ziemiach Germanii i Italii; że rozprawy z Rosjanami, zwłaszcza bliżej ich granic, wcale innej były natury aniżeli dotychczasowe jego wojny z Austrią i Prusami. Położenie Napoleona w owej zimowej kampanii stało się nader drażliwe, a znaleźli się w Warszawie tak





nazwani patrioci polscy, którzy jeszcze je utrudzali, wskrzeszając mu trudności pod pozorem opieki nad krajem od wymagań francuskich.

To powodem pierwszym podobno było ostudzenia Napoleona względem sprawy polskiej, bo ten brak rozumu politycznego wzbudził w nim posądzenie o zbutwiałość narodu polskiego w dokonanej nieufności do odzicia politycznego. Osądził zaś, i to bardzo słusznie, że bez rozwinięcia na wielką skalę sił narodowych polskich Polska odbudowaną być nie może, że nie zasługuje na to, aby się Francja poświęcała i rzucała w otchłań to, co on uważał za najgłówniejszy interes dynastii. Był to, moim zdaniem, pierwszy zaród wahającej się polityki Napoleona względem Polski, zaród błędów, które względem niej popełnił, a które wpłynąć musiały tak stanowczo na jego zgubę własną i na upokorzenie Francji, jak to później wykazać się spodziewamy.

Gdyby ruch Wielkopolski był się mógł rozszerzyć od razu na całą dawną Polskę, gdyby zwłaszcza tak nazwany zabrany kraj był to zrobił, czego w roku 1831 dokonał, nie wątpię, iż przy działaniach Napoleona byłby zmusił Rosjan do odstąpienia za Dźwinę, a wtedy sam postęp insurekcji polskiej byłby zmusił Napoleona do zajęcia się od razu i stanowczo odbudowaniem Polski, a której odbudowanie byłoby go kosztowało mniej ludzi, skarbów i pracy aniżeli wojny hiszpańskie, w które się tak nieszczęśliwie wdał, a dla których rozpoczętą robotę w Polsce odroczył. Ale cała Litwa i Ruś zachowały się beczynnie. Kilku tylko patriotów, poświęciwszy swoje majątki na łup Moskwy, przedzierało się do Księstwa Warszawskiego. Litwę i Ruś paraliżował wpływ kilku magnatów stojących w szeregach rosyjskich. Masa Polaków napępiała szeregi wojsk rosyjskich we wszelkich stopniach, administrowała krajem na rzecz rosyjską, pracowała nad tym, ażeby Polsce nie dać powstać. Cała także Galicja była martwa, prócz kilku patriotów, co się przez Pilicę przekradali, a wszystkie jej przychody szły do skarbu austriackiego; ludność jej zasilala szeregi austriackie, gotowe walczyć za, jak i przeciw interesowi Polski, wedle woli tego rządu. Zapęd tedy patriotyczny ograniczył się na tę część kraju, co jest zawartą między Prusami, Wisłą i Pilicą; ale na tym kawałku okazał się cudnym. [...]





## 15. „Tracono ogromną, niepowtarzalną szansę dziejową”

[Jerzy Łojek, *Orientacja rosyjska w polskiej walce niepodległościowej” 1795–1917* [w:] *idem, Wybór pism. Wiek XIX*, wybór, opracowanie i wstęp Marek Kornat, Kraków, Towarzystwo Autorów i Wydawców Prac Naukowych UNIVERSITAS, 2015]

[...] Sytuacja roku 1797 została na ziemiach polskich doszczętnie zdruzgotana przez Napoleona. Wkroczenie wojsk francuskich na ziemie polskie jesienią 1806 roku było zasadniczym przełomem w dziejach narodu polskiego. Społeczeństwo polskie znalazło się w sytuacji wyjątkowej, po dzień dzisiejszy unikalnej. Na ziemie polskie wkroczyła armia kraju będącego ówczesnie największym mocarstwem świata, dowodzona przez człowieka, który uchodził za największy geniusz militarny w historii ludzkości. Armia kraju, którego interesy polityczne wiązały się ściśle z odbudową niepodległej Polski. Lecz ta odbudowa była uwarunkowana przede wszystkim rozmiarami i natężeniem własnego czynu polskiego w tych nowych, tak sprzyjających warunkach.

Istniała już wówczas konkurencyjna wobec francuskiej polska orientacja na Rosję. Wynikła ona z przemian wewnętrzno-politycznych na dworze rosyjskim. W roku 1801 ofiarą skrytobójczego zamachu padł car Paweł I, a na tron Rosji wstąpił Aleksander I. Jednym z jego bliskich przyjaciół był młody, później znany i wsławiony dyplomata polsko-rosyjski, książę Adam Jerzy Czartoryski.

Jak wiadomo, Czartoryski był przez kilka lat ministrem spraw zagranicznych dworu rosyjskiego i rozwijał w gronie osób ze sobą związanych koncepcję odbudowania państwa polskiego, które byłoby związane z Rosją wspólną osobą monarchy. Wtedy właśnie, między rokiem 1801 a 1804, zaczęła kiełkować idea Polski autonomicznej, związanej z Rosją unią personalną, wewnętrznie w miarę samodzielnej, ale na zawsze stanowiącej część Imperium Rosyjskiego i pozbawionej własnej polityki zagranicznej. Owa idea Polski autonomicznej w związku z Rosją utrzyma się do roku 1917. Jej długotrwałość i żywotność są bardzo zastanawiające. Idea rozwiązania sprawy polskiej w duchu polsko-rosyjskim przechodziła znaczne przemiany, podejmowana była przez rozmaite siły polityczne w kilku kolejnych pokoleniach, upadała i znowu się odradzała. Pożywką dla niej było przekonanie znacznej części społeczeństwa, przede wszystkim warstw uprzywilejowanych, że wizja odbudowy zupełnie udzielnego i niepodległego państwa polskiego jest nieprawdopodobnym marzeniem bez szans na realizację. Dominowało wśród klas uprzywilejowanych przeświadczenie, od roku 1815 po rok 1917, że państwo polskie jako zupełnie niepodległe nigdy już powstać



nie może. Mogło się najwyżej ukonstytuować u boku Rosji, jako autonomiczna część imperium carskiego, związana ściśle z Rosją, chociaż korzystająca z dość znacznych swobód narodowych.

Starcie się dwóch orientacji: koncepcji Czartoryskiego i koncepcji Księstwa Warszawskiego, reprezentowanej przez ludzi związanych z Napoleonem, było źródłem klęski sprawy polskiej w okresie konwencji zawartej w Tylży w 1807 roku. Poprzedziła tę konwencję nadzwyczaj ciężka kampania zimowa roku 1806–1807, w czasie której armia francuska poniosła na ziemiach polskich ogromne straty. Prawda: ponosiła te straty także odbudowywana armia polska. Lecz armia polska walczyła na własnej ziemi o interesy własnego kraju, natomiast armia francuska wykrwawiała się na terytorium kraju obcego o cele, które były na pewno celami mocarstwowymi Francji, lecz nigdy celami narodowymi społeczeństwa francuskiego. Stanowisko Napoleona wobec sprawy polskiej zależało, rzecz jasna, od rozmiarów własnego wysiłku polskiego w walce przeciwko najgroźniejszemu z zaborców. Niestety, społeczeństwo polskie zachowało ówczesnie tak wielką rezerwę wobec Francji, oczekując od Napoleona decyzji przesądzających pozytywnie losy przyszłego państwa polskiego, a wkład Polski w decydującą kampanię roku 1806–1807 okazał się wielokrotnie mniejszy niż pozwalały siły społeczeństwa i stan gospodarczy kraju. To właśnie przesądziło o połowicznym tylko załatwieniu sprawy polskiej w Tylży.

Napoleon domagał się od społeczeństwa polskiego poparcia i współdziałania jak najintensywniejszego. Miał prawo tego oczekiwać, gdyż od jego sukcesu zależały przede wszystkim losy Polski. Żądał dostaw materiałowych i żywnościowych, zaopatrzenia jego armii. Także formowania przez Polskę własnych wojsk. Społeczeństwo zdobyło się na pewien wysiłek i rzeczywiście, to, co uzyskały w czasie tej kampanii wojska francuskie na ziemiach polskich, wydaje się znaczne. Twórcą czynu polskiego w roku 1806–1807 był Józef Wybicki, który ujawnił znakomity talent organizacyjny i potrafił wykarmić z zasobów Polski kilkuset tysięczną armię francuską. Lecz społeczeństwo polskie w rzeczywistości czekało, nie próbując włączyć się wszystkimi siłami w rozgrywkę, od której zależały losy kraju. Opozycja wobec orientacji francuskiej była znaczna. Łudzono się, że – może – w Petersburgu zrodzą się koncepcje bardziej szczerze i dla Polski korzystne. Czyn polski pozostawał ciągle w stanie potencjalnym, nie rzeczywistym. Tracono ogromną, niepowtarzalną szansę dziejową. Napoleon nie wygrał tej kampanii tak zdecydowanie, jak mógł być wygrać przy nieograniczonym współdziałaniu polskim. Nie był zwycięzcą w bitwach pod Pruską 11awą i pod Frydlandem, w których padło łącznie około 100 tysięcy żołnierzy francuskich. Nie mógł ryzykować więcej. Wyjściem z tej sytuacji



był po prostu kompromis. Jego wynikiem było utworzenie w Tylży „tylko” Księstwa Warszawskiego, złożonego z ziem drugiego i trzeciego zaboru pruskiego.

Społeczeństwo polskie ogromnie się rozczarowało. Tylko Księstwo Warszawskie, nawet nie Wielkie Księstwo, a choćby Królestwo Polskie czy wręcz Rzeczpospolita. Napoleon zdradza Polaków! Mało komu przychodziło do głowy, że lepsze dla sprawy polskiej rozwiązanie zależało tylko od uprzedniego znacznie większego **czynu** polskiego. A czynu tego w dostatecznym wymiarze zabrakło... wskutek wahań, oportunistów, lenistwa i pseudorealistycznego krytycyzmu.

Jeszcze generał Ignacy Prądzyński w pierwszej połowie XIX wieku wskazał, że społeczeństwo polskie przegrało w roku 1807 swoją największą szansę dziejową. Litwa, która okazała ogromny zapał patriotyczny i wielką ofiarność w wojnie 1792 roku i w insurekcji 1794 roku, w czasie kampanii roku 1806–1807 pozostała w stanie absolutnej martwoty. Nie zareagowała na wezwanie do powstania, które mogło wybuchnąć na pograniczu działań kilkuset tysięcy armii francuskiej. [...]

Po dziś dzień nie jest w pełni jasne, dlaczego Litwa, tylekroć (1792, 1794, 1831, 1863) skłonna do walki niepodległościowej, powstrzymała się od czynu właśnie w momencie najbardziej decydującym: 1807. Wydaje się, że miejscowe społeczeństwo uległo mirażowi orientacji rosyjskiej, wizji rozwiązania sprawy polskiej w myśl ówczesnych koncepcji Czartoryskiego: Polska mniej więcej zjednoczona na obszarze swego dawnego terytorium historycznego, rzecz jasna – z Litwą, co prawda z carem rosyjskim jako królem polskim na tronie, lecz z osobną zupełnie administracją państwową, własną konstytucją, przypominającą trzeciomajową, z wolnym sejmem, z silną armią narodową... Było to lansowane na Litwie sposobami propagandowymi jeszcze prymitywnymi, ale – jak się okazało – dość skutecznymi. Napoleon wydawał się okazją niepewną, a w istocie swojej groźną, panowanie jego wyrosło bowiem z rewolucji francuskiej. Był jeszcze moment dodatkowy, który rzadko jest doceniany: ówczesna postawa Tadeusza Kościuszki. Jak wiadomo, Kościuszko przebywał we Francji i był kuszony przez Napoleona widokami dla sprawy polskiej. Mógł ówczesnie wielce się przyczynić do odzyskania przez Polskę całkowitej niepodległości – przez rzucenie swego autorytetu na szalę rozgrywek wojennych i politycznych po stronie Napoleona. Uchylił się od tego całkowicie, odrzucił sugestie cesarza – tak kategorycznie, że po dziś dzień budzi to zastanowienie. W oczach Kościuszki Napoleon był zawsze tyranem, dyktatorem, a nade wszystko uzurpatorem. Sędziwy naczelnik nie dopatrywał się tych cech w osobie cara rosyjskiego. Lecz nie to decydowało. Kościuszko przez całe swoje życie był człowiekiem Czartoryskich. Rzecz to udowodniona ponad wszelką wątpliwość. Jeszcze przed konfederacją



barską wyjechał na stypendium zagraniczne za pieniądze Czartoryskich, od nich otrzymał subwencje, gdy udawał się do Ameryki. Był nadal związany z Czartoryskimi po powrocie do Polski. W roku 1792, gdy gościł u nich w Sieniawie po akcesie króla do Targowicy, właśnie Czartoryscy załatwili ogromną akcję propagandową, która rozślawiała imię Kościuszki i wskazała go jako jedyne kandydata na wodza przyszłego powstania. Gdy Czartoryscy związali się całkowicie z nową orientacją rosyjską (1801), Kościuszko nadal otrzymywał od nich sugestie i rady polityczne. To jedynie tłumaczy jego fatalne posunięcie w roku 1807: odrzucenie propozycji Napoleona i postawienie na orientację rosyjską.

Tak więc zamiast odrodzonej Rzeczypospolitej powstało w roku 1807 tylko Księstwo Warszawskie. Powiększyło się po kampanii roku 1809. Mimo wszystko miało to decydujące znaczenie dla losów sprawy polskiej przez następnych lat sto kilkanaście, do roku 1918. Księstwo Warszawskie było fundamentem przyszłego Królestwa Polskiego, utworzonego na kongresie wiedeńskim 1815 roku. Był to już nikły szczątek dawnej Rzeczypospolitej, który miał jednak tytuł państwa polskiego, a którego udzielność (a więc tylko odrębność prawnopaństwowa, nie niezależność czy niepodległość) była jednak gwarantowana umową międzynarodową. W ten sposób przekreślony został petersburski układ tajny z 26 stycznia 1797 roku.



## 16. „Tak żył i umarł książę Józef Poniatowski”.

[Z zakończenia książki Szymona Askenazego *Książę Józef Poniatowski*, Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1974]

[...] Po drugiej stronie, jak zwykle, straż tylną pod czuwającym noc całą Poniatowskim trzymali Polacy. Wstał zimny, wietrzny, pochmurny ranek 19 października [1813 roku]. Siwa, gęsta mgła podnosiła się z bagnistego nadrzecza, rozkładała po ogromnej równinie, przesyciła oparami świeżej krwi, łączyła i z mżącym gdzieś, przejmującym do szpiku jesiennym deszczem, z dymem palących się przedmieść lipskich i nieustających salw armatnich i karabinowych, tak gęsta, że o kilkadziesiąt kroków trudno było widzieć. Już cała prawie armia na drugą stronę przeszła, kiedy wtem, po 11 z rana, przedwcześnie wysadzony został w powietrze przez saperów francuskich most na Pleissie. Ks[iążę] Józef, mając przy sobie kilkuset ledwo ludzi, nagle został odcięty. Wycofywał się on właśnie z zachodniego przedmieścia lipskiego, Borny, na czele szczupłej eskorty kirasjerów i krakusów, szarżując raz po razie nacierających rojami tyralierów nieprzyjacielskich. Wtedy po raz trzeci otrzymał postrzał w rękę, lecz, owinąwszy ją chustką, na koniu pozostał. Otaczający go sztab, generałowie Małachowski, Grabowski i inni, wobec odciętego odwrotu i niemożności dłuższej obrony błagali go, aby się poddał, osobę swoją dla kraju zachował. On nie słuchał. Oczy miał krwią nabiegłe, twarz nienaturalnym palającą rumieńcem, znużony był, wyczerpany śmiertelnie, osłabiony od ran, zgorączkowany, na wpół przytomny; odpowiadał na wszystko: „Trzeba umrzeć mężnie”, *il faut mourir en brave*. Rzucił się wpław do Pleissy, ale już koniem kierować niezdolny, porwany był siłą prądu. Wpadł za nim do rzeki młody kapitan francuski, Bléchamp, w chwili gdy uwalniał się od tonącego konia i wydobył na brzeg przeciwny. Ruszył Książę dalej pieszo do Elstery przez błotniste ogrody, już wszędy napełnione tyralierką nieprzyjacielską. Tutaj po raz czwarty odebrał kulę w bok; słaniając się, padł w objęcia paru dotrzymujących mu jeszcze kroku oficerów. Po chwili odzyskał przytomność, dosiadł z trudnością podanego świeżego konia, ale chwiał się na siodle. Ociekał krwią, był już zapewne ranny śmiertelnie, śmierć miał w spojrzeniu i wyrazie; ale na ponawiane błagania towarzyszy nie odpowiadał już wcale, tylko coś z gniewnym uniesieniem mówił bez związku o Polsce i o honorze. Wtem na widok nadbiegającej nieprzyjacielskiej piechoty porwał się raptem sił ostatkiem i skoczył z koniem do Elstery. Tu ostatnią kulę odbiera w lewą pierś, przeszyty na wylot, osuwa się z konia i po krótkim pasowaniu się – znika pod wodą. Tak żył i umarł książę Józef Poniatowski.





## 17. Autonomia według wielkiego księcia Konstantego.

[Z *Pamiętnika Waleriana Łukasińskiego*, oprac. i wstęp Rafał Gerber, Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1986]

Na drugim sejmie też same zatargi odnowiły się jeszcze z większą mocą i już zmusiły cesarza pokazać swoje nieukontentowanie, chociaż w umiarkowanych wyrazach; tak sejm potem przez 5 lat zwołanym nie był. Niespokojności w Europie także wiele przyczyniły się do tego. Te dwa sejmy położyły fundament wszystkich” nieszczęść i długich cierpień, któreśmy znosili; przekonały nas, że pod rządem ruskim nie możemy spodziewać się żyć spokojnie, i zmusiły nas z rozpaczą prawie powstać z bronią w ręku. Przyczyną tego jest widoczna niezręczność ministrów, ale nie można tego przypuścić, żeby oni byli do tego stopnia nierozsądni, dlatego w osobnej uwadze ja wyjaśnię skrytą przyczynę ich działania, o której, ile ja wiem, nikt nie pisał. Tak ja ciągnę opowiadanie postępów rządu kierowanego przez w. księcia Konstantego i Nowosilcowa.

Zniechęciwszy cesarza z pomocą niedołęжных, lecz lubiących władzę ministrów i może nadto gorliwego i rozjątrzonego sejmu, w. książę Konstanty zrobił się samowładnym monarchą, senator Nowosilcow jego pierwszym ministrem, prawdziwi ministrowie jego pokornymi sekretarzami, a nieszczęśliwy i godny litości starzec Zajączek, osłabiony fizycznie i umysłowo, przyjął rolę być maszyną do podpisowania, co mu tylko przedstawiono. Czegóż można było spodziewać się od podobnego rządu? Ministrowie, po drugim sejmie oswobodzeni wcale od bezskutecznych wyrzutów i skarg sejmu, ograniczyli się zasługiwać łaską w. księcia Konstantego d. Nowosilcowa, wypełniając i uprzedzając nawet kaprysy i dzikie urojenia pierwszego i pozwalając kraść i sprzedawać urzędy drugiemu. Pod cieniem ich powagi mogli sobie drzymać w swoich krzesłach, pewni będąc, że ich nikt nie przebudzi. Tymczasem złe pomnażało się codziennie. Szpiegostwo i donosy tak zagęściły się, że nikt nie był spokojnym wewnątrz swojej rodziny. Nieufność była wszędzie. Maksyma tyranów: „Divide et impera”, była godnie naśladowana przez w. księcia Konstantego; Polaków ostrzegano pod ręką: „Strzeżcie się Ruskich, oni [na] was donoszą”, a Ruskim toż samo mówiono o Polakach; jednym słowem, dawna nieprzyjaźń dwóch narodów, żyjących teraz razem i mających codziennie między sobą stosunki, nie tylko nie zmniejszyła się, ale zamieniła się w nienawiść. Czternaście rodzajów policji tajnych i jawnych liczono w samej Warszawie. Jawna policja, rozumie się, pod podobnym rządem była kłótniwa i niespokojna, mieszała się we wszystko i przed jej szperaniem trudno się było ukryć.





Najmniejsze zdarzenia, niewarte nawet żadnej uwagi, były donoszone w. księciu Konstantemu, który chwalił się tym przed wszystkimi tak dalece, że mnie powiedział rozmawiając ze mną: „Ty nie ukryjesz się przede mną ze swoimi postępkami, ja wiem, co ty jadasz na obiad”. Tak w samej rzeczy on nie znał o utworzonej rewolucji 1830 roku ani nawet przedtem o Wolnomularstwie Narodowym. Karmiono go tylko fraszkami i on był dowolny, myśląc, że wie o wszystkim.

W. ksiązę Konstanty był oszczędny i nawet skąpy dla nadgród, a nawet użytecznych dzieł, lecz nie żałował wydatków, chociaż bardzo znacznych, dla dogodzenia momentalnym kaprysom. Co się tycze kary, to on w tym szczodrością przechodził wielu monarchów. Sto kijów za najmniejsze uchybienie to była zwyczajna kara; w przypadku posuwał liczbę tę aż do tysiąca. On nie lubił rozlewać krwi, on tylko znajdował ukontentowanie męczyć ludzi. Kajdany, kule działowe z łańcuchami ważącymi 18 funtów, noszone przez więźniów na ramionach przy ciężkiej pracy – te były zwyczajnie używane. Ile razy w. ksiązę Konstanty był w Zamościu, to chodził między więźniami (z których znał bardzo wielu i przy swojej nadzwyczajnej pamięci wiedział ich nazwiska i ich wykroczenia), to wtenczas z największą radością naigrawał się nad nimi. Pod rządem Księstwa Warszawskiego ministrowie dawali publiczne posłuchania, każdy w wyznaczony przez niego dzień. Pod rządem w. księcia Konstantego zupełnie zapomnieli o tym dobrym zwyczaju i stali się zupełnie niewidzialni. Jednym słowem, oni nie umieli przemawiać publicznie na sejmie i nie chcieli rozmawiać prywatnie. A co robiła ta liberalna konstytucja? Ona była schowana i zamknięta w archiwach, dlatego że była liberalna, a tyrania była chodząca i działająca w osobie w. księcia Konstantego. Czasem wspominano konstytucję w niektórych postanowieniach i urządzeniach mniejszej wagi. Nawet cesarz wspomniał ją dwa razy. O powodach tego podam w uwagach, teraz muszę jeszcze o wolności druku pomówić.

[Walerian Łukasiński (1786–1868), oficer Armii Księstwa Warszawskiego i Armii Królestwa Polskiego (w stopniu majora), był przywódcą Towarzystwa Patriotycznego, konspiracyjnej organizacji niepodległościowej działającej w Królestwie Polskim. Został aresztowany i skazany przez sąd wojenny, złożony z polskich oficerów, na 9 lat ciężkiego więzienia i publiczną degradację, która nastąpiła 2 października 1824 roku w obozie wojskowym na warszawskich Powązkach: „Wojska sprezentowały broń; audytor podniesionym głosem odczytał wyrok, konfirmowany przez Najjaśniejszego Pana. Uderzono w bębny. Człowiek wysoki, barczysty, czarno ubrany, kat stołeczny główny, przystąpił do skazańców [oprócz Łukasińskiego byli to Ignacy Dobrogoyski



i Mikołaj Dobrzycki], poczynając od Łukasińskiego, zerwał im szlify i odznaki, złamał szablę nad głową. Pomocnicy kata zdarli im mundury, ubrali ich w szare kitle więzienne i zgolili głowy. Posadzono ich na ziemi i zaraz kowale okuli ich na butach w przygotowane kajdany wagi 22 funtów. Poczem dano im w ręce taczki i przy ciągłym ogłuszającym biciem w bębny kazano przejść przed frontem wojsk” (Szymon Askenazy, *Łukasiński*, t. 2, Poznań 2006, reprint wydania z 1928). Łukasiński był więziony w twierdzy w Zamościu, a następnie został przewieziony na dalsze śledztwo do Warszawy. Po wybuchu powstania listopadowego wycofujący się z Królestwa Rosjanie na rozkaz wlk. ks. Konstantego poprowadzili ze sobą mjr. Łukasińskiego. Wywieziony do twierdzy Szlisselburg, leżącej na wyspie w pobliżu Petersburga, spędził tam jako tajny więzień carski 38 lat, z czego 31 w celi piwnicznej, bez okien i podłogi, „za życia już pogrzebany, odcięty od świata. W milczeniu podawali mu żołnierze strawę, nie mając prawa zamienić z nim słowa” (Rafał Gerber). Pozostał tam także po śmierci Mikołaja I. Dopiero w 1862 roku staraniem komendanta twierdzy został przeniesiony do zwykłej celi i uzyskał prawo swobodnego poruszania się po twierdzy. Wówczas też napisał swój wstrząsający pamiętnik, którego fragmenty podajemy. Zmarł sześć lat później, lecz jego rodzina została o tym poinformowana dopiero w 1875 roku. Była to pierwsza informacja, jaką uzyskała o mjr. Walerianie Łukasińskim od końca lat dwudziestych, tj. początku jego pobytu w twierdzy w Zamościu].



## 18. „Ta ręka i ta głowa zostały mi w oku, I zostaną w mej myśli – i w drodze żywota, Jak kompas pokażą mi, powiodą, gdzie cnota”.

[Adam Mickiewicz, *Dziady*, część III (fragment sceny I) [w:] Adam Mickiewicz, *Poezje*,  
oprac. Tadeusz Pini, Warszawa, nakładem Księgarni J. Przeworskiego, 1931]

[...]

Jan Sobolewski (ponuro)

Niedobre – dziś – na Sybir – kibitek dwadzieście

Wywieźli.

Żegota

Kogo? – naszych?

Jan

Studentów ze Żmudzi.

Wszyscy

Na Sybir?

**Jan**

I paradnie! – było mnóstwo ludzi.

Kilku

Wywieźli!

Jan

Sam widziałem.

**Jacek**

Widziałeś! – i mego

Brata wywieźli? – wszystkich?

**Jan**

Wszystkich – do jednego

Sam widziałem. – Wracając, prosiłem kaprała



Zatrzymać się; pozwolił chwilkę. Stałem z dala,  
Skryłem się za słupami kościoła. W kościele  
Właśnie msza była; – ludu zebrało się wiele.  
Nagle lud cały runął przeze drzwi nawalem,  
Z kościoła ku więzieniu. Stałem pod przysionkiem,  
I kościół tak był pusty, że w głębi widziałem  
Księdza z kielichem w ręku i chłopca ze dzwonkiem.  
Lud otoczył więzienie nieruchomym wałem;  
Od bram więzienia na plac, jak w wielkie obrzędy,  
Wojsko z bronią, z bębnami stało we dwa rzędy;  
W pośrodku nich kibitki. – Patrząc, z placu sady  
Policmajster na koniu; – z miny zgadłbyś łatwo,  
Że wielki człowiek, wielki tryumf poprowadzi:  
Tryumf Cara północy, zwycięzcy – nad działawą. –  
Wkrótce znak dano bębnem i ratusz otwarty –  
Widziałem ich: – za każdym z bagnetem szły warty,  
Małe chłopcy, znędzniłe, wszyscy jak rekruci  
Z golonymi głowami; – na nogach okuci.  
Biedne chłopcy! – najmłodszy, dziesięć lat, niebożę,  
Skarżył się, że łańcucha podźwignąć nie może;  
I pokazywał nogę skrwawioną i nagą.  
Policmajster przejeżdża, pyta, czego żądał;  
Policmajster człek ludzki, sam łańcuch oglądał:  
„Dziesięć funtów, zgadza się z przepisana wagą”.  
Wywiedli Janczewskiego; – poznałem, oszpetniał,  
Szczerbiał, schudł, ale jakoś dziwnie wyszlachetniał.  
Ten przed rokiem swawolny, ładny chłopczyk mały,  
Dziś poglądał z kibitki, jak z odludnej skały  
Ów Cesarz! – okiem dumnym, suchym i pogodnym;  
To zdawał się pocieszać spółników niewoli,  
To lud żegnał uśmiechem, gorzkim, lecz łagodnym,  
Jak gdyby im chciał mówić: nie bardzo mię boli.  
Wtem zdało mi się, że mnie napotkał oczyma,  
I nie widząc, że kaprał za suknią mię trzyma,  
Myślił, że uwolniony; – dłoń swą ucałował,  
I skinął ku mnie, jakby żegnał i wieszował; –



I wszystkich oczy nagle zwróciły się ku mnie,  
A kapral ciągnął gwałtem, ażebym się schował;  
Nie chciałem, tylkom stanął bliżej przy kolumnie.  
Uważałem na więźnia postawę i ruchy: –  
On postrzegł, że lud płacze patrząc na łańcuchy,  
Wstrząsnął nogą łańcuch, na znak, że mu niezbyt  
ciężył. –  
A wtem zacięto konia – kibitka runęła –  
On zdjął z głowy kapelusz, wstał i głos natężył,  
I trzykroć krzyknął: „Jeszcze Polska nie zginęła”.  
Wpadli w tłum; – ale długo ta ręka ku niebu,  
Kapelusz czarny jako chorągiew pogrzebu,  
Głowa, z której włos przemoc odarła bezwstydną,  
Głowa niezawstydzona, dumna, z dala widna,  
Co wszystkim swą niewinność i hańbę obwieszcza  
I wystaje z czarnego tyłu głów natłoku,  
Jak z morza łeb delfina, nawałnicy wieszczą,  
Ta ręka i ta głowa zostały mi w oku,  
I zostaną w mej myśli – i w drodze żywota  
Jak kompas pokażą mi, powiodą, gdzie cnota:  
Jeśli zapomnę o nich, Ty, Boże na niebie,  
Zapomnij o mnie. –

Ks. Lwowicz  
Amen za was.

Każdy z więźniów  
I za siebie.

### **Jan Sobolewski**

Tymczasem zajeżdżały inne rzędem długim  
Kibitki; – ich wsadzano jednego po drugim.  
Rzuciłem wzrok po ludu ściśnionego kupie,  
Po wojsku – wszystkie twarze poblady jak trupie;  
A w takim tłumie taka była cichość głucha,  
Żem słyszał każdy krok ich, każdy dźwięk łańcucha.



Dziwna rzecz! wszyscy czuli, jak nieludzka kara:  
Lud, wojsko czuje – milczy – tak boją się cara.  
Wywiedli ostatniego; – zdało się, że wzbraniał,  
Lecz on biedny iść nie mógł, co chwila się słaniał,  
Z wolna schodził ze schodów i ledwie na drugi  
Szczebel stąpił, stoczył się i upadł jak długi;  
To Wasilewski, siedział tu w naszym sąsiedztwie;  
Dano mu tyle kijów onegdaj na śledztwie,  
Że mu odtąd krwi kropli w twarzy nie zostało.  
Żołnierz przyszedł i podjął z ziemi jego ciało,  
Niósł w kibitkę na ręku, ale ręką drugą  
Tajemnie łzy ocierał – niósł powoli, długo;  
Wasilewski nie zemdłał, nie zwisnął, nie ciężał,  
Ale jak padł na ziemię prosto, tak otężał.  
Niesiony, jak słup sterczał i jak z krzyża zdjęte  
Ręce miał nad barkami żołnierza rozpięte;  
Oczy straszne, zbieleły, szeroko rozwarte; –  
I lud oczy i usta otworzył; – i razem  
Jedno westchnienie z piersi tysiąca wydarte,  
Głębokie i podziemne jęknęło dokoła,  
Jak gdyby jęły wszystkie groby spod kościoła.  
Komenda je zgłuszyła bębniem i rozkazem:  
„Do broni – marsz!” – ruszono, a środkiem ulicy  
Puściła się kibitka lotem błyskawicy.  
Jedna pusta; – był więzień, ale niewidomy;  
Rękę tylko do ludu wyciągnął spod słomy,  
Siną, rozwartą, trupią; trząśł nią, jakby żegnał;  
Kibitka w tłum wjechała – nim bicz tłumy przegnał,  
Stanęli przed kościołem; i właśnie w tej chwili  
Słyszałem dzwonek, kiedy trupa przewozili.  
Spojrzałem w kościół pusty i rękę kapłańską  
Widziałem, podnoszącą ciało i krew Pańską,  
I rzekłem: Panie! Ty, co sądami Piłata  
Przelałeś krew niewinną dla zbawienia świata,  
Przyjm tę spod sądów cara ofiarę dziecinną,  
Nie tak świętą ni wielką, lecz równie niewinną.





[Jan Sobolewski (1799–1829), jeden z trzech przyjaciół Adama Mickiewicza, którym poeta dedykował III część *Dziadów*, działacz filomacki i filarecki, absolwent Uniwersytetu Wileńskiego, po ukończeniu studiów był nauczycielem w szkole w Krożach (gdzie wcześniej pracował również Mickiewicz); uczył tam m.in. wymienionego w powyższym monologu Cypriana Janczewskiego. Sobolewski został skazany na służbę w odległych guberniach Rosji, dokąd podążył na jednym wózku z Mickiewiczem. Zmarł przedwcześnie, w niewyjaśnionych okolicznościach w Archangielsku. Cyprian Janczewski (1805–1853) założył w szkole w Krożach patriotyczną organizację uczniowską Czarne Bractwo. Aresztowany, skazany na karę śmierci, zamienioną na ciężkie roboty, po kilku latach został wcielony do armii rosyjskiej. Zwolniony około 1832 roku, wrócił na Litwę. Spośród pozostałych zesłanych członków studenckich stowarzyszeń samokształceniowych filomatów i filaretów oraz konspiracji uczniowskiej część również wróciła do kraju, lecz niektórzy na zawsze pozostali na bezkresach Syberii. Jan Molleson, uczeń gimnazjum w Kiejdanach, założyciel organizacji, która nosiła nazwę Czarnego Bractwa, w 1824 roku skazany na śmierć, a później bezterminową katorgę syberyjską, nigdy nie wrócił na rodzinną ziemię, pochowany nad rzeką Szyłką niedaleko od granicy Chin. O antyrosyjskich napisach w kiejdańskim gimnazjum poinformował władze szkolne jego prefekt – Jan Molleson senior, nie wiedząc, że ich autorem jest jego syn. Sprawę przekazano następnie wielkorządcy carskiemu na Wileńszczyźnie, Nikołajowi Nowosilcowowi, który wykrył uczniowski spisek, przeprowadził bezwzględne śledztwo i dopilnował wydania surowych wyroków. Historia Jana Mollesona znalazła oddźwięk w VIII scenie (Bal) III części *Dziadów*, kiedy jego matka, w dramacie Mickiewicza występująca jako Pani Rollison, bezskutecznie usiłuje przemówić do sumienia Nowosilcowa, by ratować swoje dziecko].



## 19. Bracia Niemojowscy przeciw carowi.

[Maurycy Mochnacki, *Powstanie narodu polskiego w roku 1830 i 1831*, t. 2, opracował i przedmową poprzedził Stefan Kieniewicz, Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1984]

[...] Niewiele rysów pozostaje ku dopełnieniu obrazu naszego życia konstytucyjnego. W pierwiastkach pełne nadziei błysnęło tylko na chwilę. W tym krótkim jednak zawodzie kilku obywateli, kilku reprezentantów Królestwa znalazło sposobność okazania wielkiej mocy duszy i nieugiętego charakteru. Podług mojego przekonania żadne swobody, żadne instytucje nie mogą osłodzić losu narodowi, który był wielki i potężny, który upadł i z upadku dźwignąć się przedsięwzię. Kraj taki jest w stanie ciągłej insurekcji; naród taki tylko w powstaniu żyć i rozumieć sam siebie może. Polska kongresowa była ułamkiem powszechnego jestestwa narodowego. Nadane jej prawa, przywileje o tyle tylko były godne uważania, o ile w ich obronie wyrażać się mogła na drodze legalnej niechęć publiczna przeciwko głównemu nieprzyjacielowi polskiego imienia. W obronie konstytucyjnego porządku objawiała się rzeczywiście nienawiść Moskwy: to, nie co innego, zapewnia w historii piętnastoletniego Królestwa zaszczytną wzmiankę mężom, którzy legalnym konstytucyjnym torem postępowali. W krajach udzielnych, potężnych, instytucje monarchii konstytucyjnej, osobiście przy słabości i niezręcznym postępowaniu władzy wykonawczej, mogą ułatwić ludowi wewnętrzną poprawę towarzyską, bo go mogą doprowadzić do rewolucji społecznej; lecz te same instytucje w kraju niemającym udzielnego bytu tracą całą moc swoją i tylko natenczas interesują patriotów, jeżeli z ich ucisku wypływa konieczność stargania obcych więzów. Ten jest punkt, z którego cenić potrzeba opozycją konstytucyjną w Królestwie.

Jeden tylko sejm, drugi z kolei, w r[oku] 1820 wziął tę imponującą, energiczną postawę wobec moskiewskiego samodzierżcy; a na tym sejmie dwaj bracia Niemojowscy, posłowie z województwa kaliskiego, najwięcej się przyłożyli do nadania opozycji zgody, mocy, prawie jednomyślności. Na tej to pamiętnej sesji Wincenty Niemojowski w jednej z owych mów, które zrzędziły upadek projektów ministerialnych, zawołał jak Vergniaud w rewolucji francuskiej: „I ja wiem, że tylko jeden jest krok od Kapitolu do Skały Tarpejskiej! Lecz nic mnie nie wstrzyma od powiedzenia prawdy. Konstytucja jest własnością narodu; król (trzeba pamiętać, że tym królem był wszechwładny w Europie Aleksander) nie ma prawa ani mu jej odebrać ani nawet zmienić. Straciliśmy już wolność druku, nie mamy wolności osobistej, prawo własności zostało zgwałcone; dzisiaj na koniec chcą nam odebrać



odpowiedzialność ministrów. Cóż nam więc pozostanie z całej konstytucji? [...] Zrzeczmy się raczej tych zwodniczych rękojmi: niechaj nie wciągają w sieć patriotów, którzy im zaufali z dobrą wiarą. [...]”. Ta śmiałość, ta wymowa, to poświęcenie się zjednały Niemojowskiemu prawo do publicznego szacunku, zjednały im imię, którego wpływ na różne koleje powstania, jak obaczymy, był niemały. Rząd, a raczej car, zwrócił na nich całą uwagę swoją i w nich ukarać przedsięwziął to wszystko, co się mu oprzeć śmiało w Polszcze kongresowej.

Po tym sejmie zostali Niemojowscy w swoim województwie członkami Rady Obywatelskiej. Zemsta króla dosięgła ich najpierwej w tym gronie. Senat, dogadzając jego woli, rugował obudwu pod tym pozorem, jakoby jednemu spomiędzy ich wyborców nie służyło prawo wotowania na sejmiku. Lecz Rada Wojewódzka powołała ich znowu jako zastępców, mimo eliminacji senatu; do tego konstytucja upoważniała Radę. To tak wyraźne oświadczenie się opinii za dwoma najznakomitszymi członkami opozycji sejmowej oburzyło Aleksandra do tego stopnia, że reskryptem z dn. 30 grudnia 1823, kontrasygnowanym przez Lubeckiego, zawiesił niejako konstytucję, habeas corpus Królestwa, względem jednej jej części przez zwinienie Rady województwa kaliskiego, co dopóty trwać miało, „póki by reprezentanci, czy to na sejmie, czy za sejmem, nie dali monarsze dostatecznej rękojmi swego postępowania na przyszłość”. [...]

Jedne gwałty następowały po drugich z bezprzykładną szybkością. Pogrożka zamienienia naszego konstytucyjnego Królestwa w gubernię moskiewską, zamknięcie Rady Kaliskiej, niejako interdykcja całego województwa, nieprzyzwoite, oburzające z Niemojowskimi postęпки: wszystko to zdawało się Aleksandrowi jeszcze niedostateczne do przekonania mieszkańców kongresowej Polski, co przez konstytucję rozumieć mają i do jakich konsekwencji doprowadzić by ich mogła dalsza, jak się wyrażano na jego dworze, niesubordynacja sejmowa. Sądząc, że posłów najwięcej pobudza obecność publiczności do użycia jedynej broni, jaką im konstytucja zostawiała, to jest do odrzucania projektów rządowych, opatrzył ustawę konstytucyjną przed zwołaniem trzeciego sejmu swym pamiętnym artykułem dodatkowym, który przez odjęcie obradom jawności konstytucją i sejm, a raczej co tylko w nich było reprezentacyjnego, uchyla. Pobudki królewskiego postanowienia (z d. 13 lutego 1825), zaprowadzającego tę zmianę w prawie fundamentalnym Królestwa, były dosyć otwarte, nawet naiwne. „Widząc – mówił król – że jawność rozpraw w obudwu izbach zniewala mówców ubiegać się raczej o **przemijającą popularność** niżeli o dobro publiczne, chcąc zaradzić złemu w samym źródle i **uprzedzić potrzebę wszelkiego wpływu** na wybory, postanowiliśmy **utrwalić** dzieło nasze przez zmodyfikowanie



artykułem dodatkowym jednego z rozporządzeń konstytucji, którego szkodliwość doświadczenie nam wskazało”. Tak rezonował monarcha; minister zaś jego, Lubecki, który to postanowienie kontrasygnował, poparł rezonowanie królewskie w liście pisanym z powodu artykułu dodatkowego do Stefana Grabowskiego, ministra sekretarza stanu, gdzie tak wyraża swój sposób myślenia konstytucyjny: „Czy to, że dawną polubiono pamiątkę, czy że pochlebiało naszym reprezentantom widzieć się na równi z najoświecześniejszymi narodami europejskimi, dość, że mieli wielkie upodobanie w jawności swych posiedzeń; ona to przez osobiste wzruszenia zastępowała agitacją wynikającą z czytania gazet; ona pozwalała grać pewną rolę nieznanym figurom (*a bien de gens obscurs*) wzdychającym do honorów mównicy, chcącym swe imiona umieścić obok imion sławnych zagranicznych retorów, których szczebiotliwość przez cały czas na naszych sejmach naśladowali”. Nielitościwy przeto minister sztukuje akt samowładztwa swego pana sarkazmami; do niewoli przydaje ironią. „Jakie są zalety systematu konstytucyjnego i jego form publicznych? – pyta się dalej Lubecki ministra sekretarza stanu – oświecać bieg administracji... Nie możnaż tej koniecznej potrzeby połączyć z przyzwoitością? Nie mogąż poddani przemawiać do króla bez deklamacji retorycznej, fałszującej na chwilą publiczną opinią? Zapewne, że mogą, i środek przyjęty przez Najjaśniejszego Pana będzie tego dowodem itd.”

Po tych to przygotowaniach ku ukróceniu żarliwości opozycyjnej, gdy już dłużej zwlekać sejmowi może i postronne względy nie dopuszczały, zwołał Aleksander reprezentantów na trzecią sesję, ostatnią za życia swego, d[nia] 13 maja 1825. Żadna izba pod tak fatalną wróżbą obrad swych u nas nie rozpoczynała. Wincenty Niemojowski, nie zważając na zakaz znajdowania się tam, gdzie by się monarcha znajdował, rozumiejąc, i słusznie, że żadne niebezpieczeństwo osobiste nie uwalniało go od wypełnienia tak świętego obowiązku, jakim był obowiązek posłannika narodu w kraju konstytucyjnym, wreszcie chcąc może za przykładem Manuela [poseł francuskiej Izby Deputowanych, usunięty z niej za protest przeciw interwencji Francji w Hiszpanii w 1822 roku, która to interwencja doprowadziła do obalenia konstytucji i przywrócenia władzy absolutnej króla Ferdynanda VII] doprowadzić rzeczy do takiej ostateczności, aby rząd musiał go gwałtem wyrzucić z izby i tym krokiem zgorszyć całą opinią, dojechał aż pod same rogatki stolicy celem zajęcia swego miejsca na sejmie. Co przeczuwał, a czego się bynajmniej nie lękał, nastąpiło. W. książę, rozstawiwszy policjantów na drodze wkoło rogatek, kazał zatrzymać powóz Niemojowskiego, odwrócić od Warszawy i pod eskortą żandarmów odprowadzić do domu, gdzie ten mąż pełen światła i odwagi przesiedział resztę dni konstytucyjnego Królestwa, gdzie dopiero 29-y [wybuch powstania listopadowego]



rozkuł jego chlubne więzy. W osobie Wincentego Niemojowskiego zgwałcona została ostatnia warownia konstytucyjna: nietykalność reprezentantów. [...]

[Po stłumieniu przez Rosję powstania listopadowego Wincenty Niemojowski (1784–1834) został uwięziony i zesłany w głąb Rosji, gdzie zmarł].



## 20. „Polska koniecznie musi i będzie odłączona od Rosji”.

[Z *Pamiętnika Waleriana Łukasińskiego*, oprac. i wstęp Rafał Gerber, Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1986]

[...] Na mocy układów w. księciu Mikołajowi zapewniono koronę cesarską, a w. księciu Konstantemu oddano nieszczęśliwą Polskę, ażeby tam bez przeszkody mógł doświadczać swojej tyranii i kaprysów, w nadziei, że Polaki, słabi, nie odważą się stawić mu żadnego oporu, zamiast że z Ruskimi nie uszłoby mu tak bezkarnie. Wszakże samemu błogosławionemu Aleksandrowi I gotowano śmierć w Białej Cerkwi, ale on pospieszył się umrzeć dobrowolnie, a w. księżę Konstanty został nieograniczonym monarchą. Jednak Aleksander za swojego życia wrażał mu choć czasem jakąkolwiek obawę, lecz po jego śmierci, nie znając żadnego hamulca, przyspieszył rewolucję. Jednak w. księżę Konstanty miał jedną cnotę, że nie był hipokrytą i że będąc z przyrodzenia złym, nie starał się wydawać się lepszym. Aleksander, gorszy od niego, zawsze nosił maskę łagodności i dobroci, miał chęć być Tytusem [mowa o cesarzu rzymskim z rodu Flawiuszów], chociaż często zapominał się i pokazywał zęby i pazury.

Tertio: Cesarz Mikołaj będąc jeszcze w. księciem miał opinią rozsądnego i umiarkowanego księcia. Polaki wiele spodziewali się od niego już dla tego samego, że on z w. księciem Konstantym nie będzie mógł długo żyć w zgodzie. Wstąpiwszy na tron, cesarz Mikołaj zaczął i swoje panowanie od wieszania, zsyłki, wygnania, knutów, prześladowania i tym podobnych łask. Groźny manifest dał poznać światu, jakiego monarchę nabyła Rosja, tak że powszechnie żałowano Aleksandra, który był nienawidzony. Co do Polski, to już powiedziałem dosyć, jakie było jego postępowanie. Położenie kraju było nieznośne i pogarszało się codziennie. W. księżę Konstanty bez żadnego hamulca uciskał kraj swoimi dzikimi skłonnościami i przez swoje kaprysy i tyraniją przyprowadziwszy Polaków do rozpacz, zmusił ich do powstania. Cesarz Mikołaj, oślepiiony pychą i zemstą, nie kładł żadnych granic swojej nienawiści. On nie mógł tego znosić, że Polacy tak prędko zapomnieli tych wielkich dobrodziejstw, którymi tak szczerze obdarzył ich w Warszawie, to jest widowiska koronacji i pieczonych wołów, karał więc surowo, często nie oddzielając winnych od niewinnych, podeptał nie tylko sprawiedliwość i ludzkość, ale nawet przyzwoitość. On natężył swój umysł, ażeby w każdym momencie i miejscu pokazywać Polakom swoją nienawiść i wzgardę. Niedowolny tym, że nadgrodził wojskowych ruskich orderami polskimi walczących przeciwko Polakom, przydał





feldmarszałkowi Paskiewiczowi do tytułu erywańskiego tytuł księcia warszawskiego, ale jeszcze dla uwiecznienia swojej zemsty na bramie tryumfalnej obok imienia Turków i Persów wystawił imię Polaków i tym samym pokazał przed całym światem, że on nie przyznaje Polaków za swoich poddanych i dzieci, i dał nam prawo nie przyznawać go naszym monarchą.

[...] Półwiekowe doświadczenie jasno przekonało Polaków, że nie tylko pod rządem, ale pod wpływem Rosji Polska nie może być spokojną i dowolną. Sto razy orężem Polaki mogą być zmuszeni do posłuszeństwa i sto razy powstawszy walczyć będą z powiększonym zapalem za swoją niepodległość, dopóki nie zostaną wolnymi. Już my nie żyjemy w tych czasach, kiedy gwałty i przemoc stanowiły prawo, i stąd możemy spodziewać się, że nasze nieszczęścia nie będą trwać długo. Quinto: Polska koniecznie musi i będzie odłączona od Rosji. Bezpieczeństwo Europy, jej przyszła spokojność wymagają tego, ażeby Polska mocna i rządna zasłaniała ją od Rosji, tak jak dawniej zasłaniała ją od Turków i Tatarów. Taki był plan Napoleona I przy zaczęciu wojny 1812 r. Dopóki ten plan wykonany nie będzie, Europa zostanie w obawie. Rosja jest państwem jedynowładnym i wojskowym, a zatem duch i dążność jej – wojna i zdobycia. Pomimo wszystkich reform i chęci cesarza utrzymać pokój z innymi narodami ona nie zmieni swego dawnego ducha i sam lubiący pokój jej władca będzie zmuszony prowadzić wojnę, aby zatrudnić liczne swoje wojsko, które będzie zmuszony trzymać, znając, że jego potęga wzbudza nienawiść i obawę w Europie. A tak Europa nigdy nie będzie mieć pokoju.



## 21. „Do broni, koledzy!”

[Z opracowania Wacława Tokarza *Sprzysiężenie Wysockiego i noc listopadowa*, wyd. 2, oprac. Andrzej Zahorski, Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1980 (pominięto przypisy autorskie)]

[...] [Piotr] Wysocki pozostawił na parterze część swych towarzyszy, a sam ze [Karolem] Szleglem i [Józefem] Dobrowolskim wszedł na pierwsze piętro do sali dywizjonu II, gdzie pchor. Józef Kowacz wykładał teorię szkoły batalionu. „Czy skończyłeś już?”, zapytał Kowacza odwróconego twarzą do tablicy. „Nie”. „Zostaw resztę na potem!” I zwracając się do wychowanków, zawołał: „Wybiła godzina zemsty. Czas zemścić się na wrogach naszych. Niech piersi wasze będą Termopilami dla nich! Idźcie na dół, rozbierzcie broń! Ładunki znajdziecie na sali jadalnej”. Odpowiedział mu wybuch radości, krzyk i hałasy, a następnie rzucenie się do drzwi tak gwałtowne, że na „parterze robiło to wrażenie, jak gdyby ktoś nagle z hukiem wyłamał drzwi. Był to młodzieńczy odruch radości z tego, że wreszcie nastąpił kres męczącego wyczekiwania, w którym Szkoła pozostawała przez cały ten dzień. Większość wychowanków nie należała do Związku; część z nich jednak przypuszczono do sekretu w niedzielę i z ich to postawy koledzy wnosili, że zajdzie wkrótce coś nadzwyczajnego. Przez cały poniedziałek krążyły pogłoski o tym, że lada chwila piechota rosyjska otoczy Szkołę i rozbroi ją. [...]

Na hałas, który sprawiła wybiegająca z sali młodzież, oficer służbowy Szkoły, ppor. grenadierów gwardii Kajetan Niewęgłowski, poleciał od razu na górę. Tutaj natknął się na dymisjonowanego ppor. pułku 1 piechoty liniowej Dobrowolskiego, w mundurze oficera czynnego, i zapytał go, co znaczy ta wrzawa oraz przerwanie wykładów. Zamiast odpowiedzi Dobrowolski ściągnął go gwałtem na dół, mówiąc: „Zobaczysz, co to znaczy!”. Niewęgłowski stawiał tu dalej opór; wołał na podoficera grenadierów gwardii Leszczyńskiego, aby biegł od razu zawiadomić o wszystkim ppłka [Ksawerego] Olędzkiego. Na to nadbiegł do niego Szlegel z pistoletem w ręku i zawołał: „Nie kompromituj mnie, bo ja tu jestem przysłany po to, abym ich poprowadził”. W końcu Niewęgłowski zauważył, że paru podchorążych otacza go kołem i obserwuje. Gdy mimo to rzucił się jeszcze i groził, pchnięto go parę razy bagnetem, tak że padł i stracił przytomność. Przedtem widział jeszcze, jak młodzież, rozebrawszy broń, wybiegała przed Szkołę i strzelała do oddziałku pięciu kirasjerów podolskich, który przyszedł zmienić posterunki przed Szkołą.

Tymczasem Wysocki zaalarmował I dywizjon Szkoły, gdzie wykładał pchor.



Apolinary Nyko, gorący i zaufany związkowiec. Za jego zjawieniem się wykładowca zwinął notatki i zawołał: „Do broni, koledzy!”. Młodzież pobiegła do zbrojowni, z pośpiechem, w nieporządku rozebrała broń; rzuciła się następnie do jadalni, gdzie na dużej płachcie leżały naboje, i nabijała ją. Za chwilę, w 161 bagnetów, uszykowała się dywizjonami przed Szkołą w płaszczach, ale bez pakunku. Całe to zaalarmowanie i wystąpienie Szkoły podług świadectw uczestników trwało 10–15 minut.



## 22. Noc listopadowa.

[Maurycy Mochnacki, *Powstanie narodu polskiego w roku 1830 i 1831*, t. 2, opracował i przedmową poprzedził Stefan Kieniewicz, Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1984]

[...] Było ich wszystkich stu sześciudziesiąt i kilku; każdy z nich znał komendę brygady i dywizji jak generał, a robił bronią jak szermierz. Zręczniejszych tyralierów, celniejszych strzelców pewnie żadne wojsko nie miało. Teraz szli się odpłacać Moskalowi za długą naukę na Saskim placu! Na czele tej kolumny uczonych atletów postępował Wysocki wprost do koszar trzech pułków jazdy nieprzyjacielskiej. [...]

Podchorążowie skoczyli zaraz potem w środek koszar ułanów cesarzewicza; już ich trzechset zastali na koniach w szyku do szarży. Nie czekając ani chwili, młodzież polska postąpiła ku nim na pół strzału karabinowego i z tej odległości, gdy każdy jeźdźca albo konia na cel bierze, zaraz spędziła z miejsca ten oddział jazdy. Ułani sformowali się za chwilę i kłusem ruszyli naprzód; wtedy podchorążowie z mniejszej jeszcze odległości, sypiąc ogień na jedną komendę, zasadzili z koni kilkunastu ludzi, reszta pierzchła w największym nieładzie, który pomnażały kule gęsto padające między tłoczących się w przeprawie przez mostki. Noc była ciemna; rozumieli przeto Moskale, że najmniej parę tysięcy piechoty mają za sobą. [...]

Ten pierwszy czyn nieźrównanego męstwa przeraził, potem i zadziwił nieprzyjaciela, gdy tenże na koniec postrzegł, że go taka garstka wyrzuciła z koszar. Wysocki zajął stanowisko za mostem Sobieskiego. [...] Dwie drogi prowadziły do miasta od mostu Sobieskiego: jedna wprost pod górę, a potem przez główną aleję, druga zaraz w prawo poza gmachem ujazdowskim do „Wiejskiej Kawy”. Kirysjery zajmowali obiedwie w szyku do szarży. Wysocki daje rozkaz natarcia z bagnetem na obadwa oddziały. Sam z kilkunastu podchorążymi rzuca się w prawo przeciwko konnicy, co zajmowała trakt boczny. Walka trwała tylko jeden moment. Podchorążowie rozsypując się i gromadząc, obyczajem tyralierskim, nacierając i ustępując, w miarę jak tego miejsce dopuszczało, strzelając z rowów, spoza drzew, z przodu i z boku, rozpędzili kirysjerów, a potem zebrawszy się postępowali drogą za Ujazdowem. Część rozbitej jazdy poleciała galopem do Belwederu wtedy właśnie, kiedy stamtąd spiskowi wychodzili, druga część z tyłu niepokoiła podchorążych, którzy mając wolną drogę przed sobą pomykali się naprzód wśród ciągłych, zawsze odpieranych napadów kawalerii. Dochodząc do „Wiejskiej Kawy” młodzież nasza postrzegła przed sobą nowego nieprzyjaciela, szwadron huzarów, który w tej samej chwili ruszył kłusem od głównej alei na czoło małej kolumny Wysockiego.



Położenie podchorążych było wtedy najkrytyczniejsze. Z tyłu parci przez kirysjerów, z przodu zagrożeni od huzarów (których cały pułk stał na odwodzie na polu za owym szwadronem), pół obrotem w lewo od „Wiejskiej Kawy” dopadli szczęśliwie koszar Radziwiłłowskich, budynku niedokończonego, gdzie z okien i z bramy ubili Moskalom kilku jeszcze ludzi i koni. [...]

Nic odtąd nie utrudzało zwycięskiego pochodu podchorążych. Koło kościoła Aleksandra spotykają Stasia Potockiego; lecz nie wiedząc, że on był głównym sprawcą niebezpieczeństw, na które ich naraził brak pomocy w nierównej walce z całą prawie jazdą carewicza, nie wiedząc, że ten generał najwięcej przyczynił się do oddania w moc wielkiego księcia sześciu kompanij wyborczych, które przed chwilą Nowym Światem do Łazienek zmierzały, a zatem, że nie było nadeń występniejszego człowieka, a przynajmniej Polaka, otoczyli go dokoła, i pewni, szczęśliwi, pyszni niemal, że po czynie godnym zasłynąć w późnej pamięci mieć będą na swym czele jednego z towarzyszków Kościuszki, wzywali go uprzejmymi wyrazy: „Generale, prowadź nas dalej przez miasto!”. Rzecz pewna, że Potocki na czele podchorążych byłby od razu wysoko podniósł sprawę rewolucyjną. Wysocki i Szlegiel nie omieszkali połączyć swych prośb z przełożeniami podchorążych. Zaklinali go uroczyście w imię ojczyzny, przez pamięć na więzy Igielstroma, lecz nic nie mogło zmiękczyć umysłu zaciętego w uporze zgubnym dla kraju. Potocki zdawał się walczyć z samym sobą: czy ma dalej gubić sprawę ojczystą, czy rzucić się w objęcie młodzieży, która go považała, która by mu była przebaczyła wszystko, cokolwiek zdziałał już przeciwko narodowi. Zapewne musiała przemóc pierwsza rezolucja, gdyż odprawił Wysockiego i podchorążych bez odpowiedzi, a sam został na punkcie komunikacji między miastem i Belwederem, gdzie niejedną jeszcze oddał usługę carewiczowi, nim go za tę nieposzlakowaną wierność z rąk braterskich krwawa spotkała zapłata. Postępując przez Nowy Świat, gdzie wyżsi oficerowie i urzędnicy moskiewscy mieszkali, oddział Wysockiego na próżno usiłował wołaniem: „Do broni!” przerwać milczenie, które jeszcze panowało w tej części miasta. Lecz i dalej, na Krakowskim Przedmieściu, nie było ani ludu, ani wesołych okrzyków, ani świateł, ani orężnego zgiełku, choć to wszystko powinno było mieć miejsce w pierwszych chwilach wyjarzmiającej się swobody. Jak by nic się nie stało, jak by nic stać się nie miało, tak głucha, tak przerażająca cichość ogarnęła te okolice. Miasto spało! Cóż mogło bardziej zatrząść i jątrzyć tę młodzież? Zdawało się jej natenczas, że sama jedna powstała. Temu uczuciu, tej potrzebie przebudzenia stolicy ze snu, po części i poprzedniemu uporowi Potockiego przypisać trzeba wydatne ślady krwi, którymi Szkoła Podchorążych naznaczyła dalszy swój pochód do Arsenału. Zamiast dzwonów, śmierć miała tedy uderzyć



na głośną trwogę w Warszawie. Ofiara tego naturalnego usposobienia umysłów – generał Trębicki, któremu Konstanty poruczył był od kilku dni szczególny nadzór nad Szkołą (nadzór dopełniony z całym rygorem służby), zmierzając wtedy właśnie ku Alejom, wpadł w ręce podchorążych. Wiedzieli, gdzie idzie, bo i sam tego nie ukrywał przed nimi. Wszelako ceniąc w nim niepospolite zdolności wojskowe i nie przypuszczając, aby w tak stanowczej chwili trwał w szkodliwych zamysłach dla Polski, chcieli go nawrócić, pozyskać dla narodu, jakkolwiek pierwój ostro się z nimi obchodził. „Generale – mówili mu tymi samymi wyrazami co Potockiemu – prowadź nas dalej!”. Gdy nie chciał, przydano do próśb surowsze napomnienie, na koniec wyrywającego się wzięto w środek i kazano iść ze sobą pod eskortą. Trębicki, duch podniosły, hardy, szedł z przymusu, nie szczędząc jednak po drodze odkazów, nawet pogroźek, jeśliby nie złożyli broni i nie zdali się na łaskę carewicza za jego pośrednictwem. Wtem koło pałacu Namiestnikowskiego zajeżdża im z przodu drogę Hauke, minister wojny, w towarzystwie swego szefa sztabu Meciszewskiego; pierwszy ostro przemówił do podchorążych, drugi, więcej jeszcze porywczy i więcej znienawidzony, dobył z olster pistoletu i strzelił: obadwa poległ natychmiast. Rautenstrauch, który trzeci jechał za nimi, na odgłos pierwszego wystrzału poskoczył w prawo na ulicę Trębacką – i tym się ocalił. Cokolwiek dalej nadjechała kareta. Na zapytanie podchorążych: „Kto jedzie?”, odpowiedział stangret: „Generał Nowicki”. Zaraz kilka kul przeszło pojazd. Ten nieszczęśliwy generał, któremu by się nic złego nie stało, zginął przez pomyłkę; przesłyszało się bowiem podchorążym, którzy wzięli Nowickiego za Lewickiego, Moskala, gubernatora. Po tych czynach rewolucyjnego terroryzmu orszak zbryzgany krwią zatrzymał się na ulicy Wierzbowej. „Generale – przemówili znowu podchorążowie do więźnia swego Trębickiego, świadka tych scen okropnych – połącz się, zaklinamy cię, połącz się ze sprawą narodu, stań na naszym czele, widziałeś, co spotkało **zdrajców**.” Trębicki odpowiedział z najzimniejszą krwią: „Nie stanę na waszym czele, wy jesteście **nikczemni**, wy jesteście **mordercy**!” I po tych wyrazach ponawiali jeszcze podchorążowie swe przełożenia: „Generale, dajemy ci czas do namysłu!”. Prowadzili go przez całą prawie ulicę Bielańską – i znowu się zatrzymali. Tu dopiero, gdy powiedział: „Możecie mi życie odebrać, ale mnie nigdy nie przymusicie do złamania wiary zaprzysiężonej monarsze”, poległ – bez wątpienia godzien lepszego losu, gdyby był tak nieugiętego charakteru, tak nieustraszonej odwagi nie chciał koniecznie poświęcić najnikczemniejszej sprawie. Już wtedy wojsko polskie było zebrane pod Arsenalem. Połączyła się z nim i Szkoła Podchorążych – straszna w owej porze, wielka. [...]





## 23. Generał Chłopicki idzie spać.

[Z opracowania Wacława Tokarza *Sprzysiężenie Wysockiego i noc listopadowa*, wyd. 2, oprac. Andrzej Zahorski, Warszawa, PIW, 1980 (pominięto przypisy autorskie)]

[...] Ppor. [Julian] Zajączkowski z wartą od Bernardynów i z ulicy Furmańskiej udał się najpierw do Teatru Rozmaitości na plac Krasińskich. Na dzień dwudziesty dziewiąty listopada afisz zapowiadał trzy sztuki: 1) *Bankructwo partacza, krotofilę ze śpiewkami*; 2) komedię z francuskiego pt. *Król migdałowy*; 3) operę Scribe'a i Molesville'a pt. *Drugi rok, czyli i któż winny?* Przedstawienie rozpoczęło się o godz. 7. Na sali znajdował się m.in. gen. [Grzegorz] Chłopicki wraz ze swym starym przyjacielem płk. [Janem] Schwerinem; wśród widzów było kilkunastu oficerów rosyjskich.

W czasie pierwszego antraktu przed teatr nadjechał konno jakiś oficer w płaszczu i kazał dozorczy policyjnemu, Gasperskiemu, wywołać z sali któregoś z oficerów polskich. Gasperski wezwał obecnego na przedstawieniu adiutanta placu, por. [Ferdynanda] Maykowskiego. Ale nieznanemu oficerowi nie chciał z nim mówić, żądając koniecznie „oficera z linii polskiej”. Wtedy Gasperski sprowadził jakiegoś oficera liniowego. Oficerowie pomówili ze sobą po cichu, po czym nieznamy powiedział „Aha!” i odjechał ku zamkowi, a oficer wrócił do teatru.

Nie pomylimy się chyba, przypuszczając, że chodziło tu o stwierdzenie obecności w teatrze Chłopickiego, którego związkowi chcieli tu zmusić do objęcia dowództwa.

Wkrótce potem nieznanemu oficerowi wrócił z oddziałem 30 ludzi, którzy stanęli, wzięli broń do nogi i otoczyli wyjście z teatru. Dobosz bił nieustannie alarm. Nieznanemu oficerowi – był nim ppor. [Józef] Dobrowolski – zawołał: „Policja ustąpi i służby już nie ma!”, a sam wszedł na górę do sali. „Polacy, do broni! – zawołał. – Braci naszych Moskale wyrzynają w Łazienkach. Nie czas się bawić! Do broni! Damy do domów!”. I zwracając się do Chłopickiego, podał mu swój pałasz, mówiąc: „Pomagaj nam generale! Teraz czas!”. „Zastanów się pan – odpowiedział Chłopicki – co pan robisz!” „Generale, nie czas się już zastanawiać.” „Dajcie mi spokój – powiedział wreszcie Chłopicki. – Idę spać”. I poszedł do Komisji Rządowej Wojny, do mieszkania ppłk. [Michała] Sobieskiego, gdzie całą noc spędził na rozmowie przy fajce ze Schwerinem, Sobieskim i [Stanisławem] Denhoffem, potępiając brutalnie wybuch: „Półgłówki zrobiły burdę, którą wszyscy ciężko przypłacić mogą. Mieszać się do tego nie należy [...] Marzyć o walce z Rosją, która trzemakroć sto tysiącami wojska zalać nas może, gdy my ledwie pięćdziesiąt tysięcy mieć możemy, jest pomysłem głów, którym piątej



klepki brakuje”.

Obecni na sali oficerowie rosyjscy dobyli szpad. Wtedy Dobrowolski, wskazując im na paru szeregowców służbowych, obecnych w tych czasach zawsze z bronią w teatrze, zawołał: „Wszystkich tu obecnych Moskali aresztuję. Schowajcie broń! Wszelki opór jest zbyteczny”. I podszedł do nich, a oni, jeden po drugim, oddawali mu swoje szpady i pałasze.



## 24. „...wbrew regule wszystkich powstań”.

[Zakończenie opracowania Wacława Tokarza *Sprzysiężenie Wysockiego i noc listopadowa*, wyd. 2, oprac. Andrzej Zahorski, Warszawa, PIW, 1980 (pominięto przypisy autorskie)]

[...] Rankiem 30 listopada oddziały powstańcze, stojące na ulicach miasta, zaskoczone zostały dwiema odezwami rozszerzonej Rady Administracyjnej. Jedna z nich, autorstwa Lubeckiego, potępiała „równie smutne, jak niespodziewane wypadki wczorajszego wieczora”; druga oznajmiała o powołaniu do Rady Czartoryskiego, Radziwiłła, Kochanowskiego, Paca, Niemcewicza i Chłopickiego. Oficerowie związkowi – stwierdzają to wszystkie źródła – darli pierwszą, deptali. Stawiali bezradni, zdezorientowani, posłuszni w końcu wobec drugiej. Zawierała przecież te nazwiska, o których nieustannie mówiono w Związku jako o kierownikach narodu; stwierdzała, że utworzenie rządu dokonało się mniej więcej w taki sposób, jak o tym myśleli zawsze Wysocki i Zaliwski, jak radził Lelewel. Związek nie wychował zresztą politycznie swych członków, nie dawał im żadnego programu wyraźnego; ograniczał się zawsze do mówienia o rozpoczęciu, po którym jutro narodowe znajdzie się w ręku czynników poważnych i odpowiedzialnych. Wszystko było zatem w porządku. Jeżeli pierwsza odezwa oburzała, jeżeli w drugiej znajdowało się parę nazwisk ludzi, których nie chciano, to pocieszano się tym, że jest tam Chłopicki, jest Pac, Czartoryski i stary Niemcewicz, którzy szybko zrobią porządek, że tak szybko dokonało się skupienie najlepszych sił narodu, wobec którego obowiązuje bezwzględnie zasada karności narodowej.

Rozpoczynała się tragedia pierwszych miesięcy powstania, gdy to u dołu wzmagał się zapał, rosły siły i chęć do walki, a u góry, utrzymującej się nakazem karności i solidarności narodowej, panowała myśl mediacji pomiędzy Polską a Rosją, przekształcając się coraz wyraźniej w myśl kapitulacji, do której nie dopuścił jedynie Mikołaj przez treść i formę stawianych przez siebie warunków.

Powstanie listopadowe, wbrew regule wszystkich powstań, wbrew właściwościom naszego charakteru narodowego, miało być powstaniem najbardziej chwiejnym i niezdecydowanym w pierwszych miesiącach swego trwania.

Źródła tego zjawiska tkwiły już w charakterze sprzysiężenia Wysockiego; ujawniła je w całej pełni noc listopadowa.

[Z kolei Jerzy Łojek w swojej ocenie działań spiskowców w czasie nocy listopadowej zwracał uwagę, że „tragedią powstania listopadowego – skoro musiało się już



rozpocząć w warunkach owego fatalnego zdezorientowania opinii publicznej – był wynik belwederskiej operacji spiskowców, godzących na życie wielkiego księcia. Wskutek nieudolności i małej energii zamachowców Konstanty, jak wiadomo, uszedł z życiem. Polityczne konsekwencje tego niepowodzenia były nieobliczalne. Gdyby wielki książę zginął tej nocy pod powstańczymi bagnetami, nie byłoby mowy o jakimkolwiek łudzeniu opinii publicznej możliwościami porozumienia z Mikołajem I i o prowadzeniu pod tą osłoną akcji kapitulacyjnej. Stałoby się jasne, że walka już się rozpoczęła, że będzie prowadzona na śmierć i życie, że trzeba czynić wszystko, by pierwszemu zadać cios podcinający siły wroga. Rzekoma jedność narodowa pękłaby od razu”. (Jerzy Łojek, *Szanse powstania listopadowego. Rozważania historyczne*, wyd. 2, Warszawa Instytut Wydawniczy PAX, 1980].



## 25. „Walczmy dla wolności myślenia i wyjawiania myśli naszych!”

[Maurycy Mochnacki, *Odezwa do mieszkańców stolicy* [w:] *idem, Pisma krytyczne i polityczne*, t. 2, wybór i oprac. Jacek Kubiak, Elżbieta Nowicka, Zbigniew Przychodniak, Kraków; Towarzystwo Autorów i Wydawców Prac Naukowych UNIVERSITAS, 1996 (we wszystkich dokumentach cytowanych za tą publikacją pominięto przypisy autorów opracowania)]

Dnia 1 grudnia 1830

Zakrew u obcych przelaną od ostatniego rozbioru Polski, za tułactwo i bezprzykładne poświęcenia, w nagrodę męstwa i cnoty walecznych braci naszych odzyskaliśmy na kongresie wiedeńskim tę część kraju, która się teraz zowie Królestwem Polskim.

Aleksander król polski nadał nam konstytucję, a dzisiejszy król Mikołaj I zaprzysiął taką uroczystą razem z całym narodem polskim. Rodacy! Mianoż u nas w poszanowaniu te zaprzysiężone prawa i swobody? Nie... Od lat piętnastu, przed naszymi oczyma, w obliczu narodu codziennie prawie ta konstytucja gwałcona jest i nadwerężana w sposób przynoszący hańbę ludowi i tym, którzy go uciskali. Rozmnożyli się u nas wyniośli satrapowie świadomi intryg, stroiciele kabał, co datkiem, upominkiem na złe przywozili serca mało statku mające. Mieliśmy służalców, co nam rozkazywali; mieliśmy podszczuwaczów, którzy naród polski i cesarzewicza dla zysku swego utrzymywali w rozdziale wzajemnej nienawiści; mieliśmy fakcjonistów i partyzantów na wysokich urzędach i w wojsku. Mieliśmy szpiegów, którzy dobrą wiarę między uczciwymi Polakami i wzajemne zniszczyli zaufanie. – Zapytajcie się stróżów potajemnych więzień, których pełno było w stolicy, a ci wam powiedzą: jacy ludzie cierpieli za swe zdania i myśli w tym kraju konstytucyjnym. Zapytajcie się młodzieży i patriotów, a powiedzą wam, jakich dziwactw i jak grubiańskiego przewodzenia azjatyckiej dumy na sobie doznawali. Grosz publiczny marnowano i rozkradano, ścieśniano edukacją narodową. Lud biedny uciśniony przywieść chciano ku ostatniej ciemnocie zakazem myślenia, pisanie i mówienia, żeby o krzywdach swoich nie rozpamiętywał i skarg swoich nie rozwoził przed światem. Administracja ostatni krwawego potu zarobek wyciskała od obywatela i rolnika. Pełno było nadużyć, pełno sromu i hańby! Różne zanosiliśmy o to skargi do tronu, ale nigdy wysłuchane nie były. Nareszcie w ostatniej rozpacz, nie mogąc tego wszystkiego dłużej przenieść na sobie, podnieśliśmy oręż na dniu 30 listopada 1830 r. w obronie praw i swobód naszych i dla pokazania tego przed całym światem, że chociaż ciemżeni obcą przemocą, nie przyszliśmy jeszcze ku temu spodleniu, żebyśmy krzywd naszych i obelg nie znali i dla położenia im tamy wszyscy razem zginać nie mieli. Ziomkowie i bracia! Walczmy



dla wolności osób i szczupłych majątków naszych! Walczmy dla wolności myślenia i wyjawiania myśli naszych! Walczmy dla zachowania moralnego charakteru naszego, który spodlić i zepsuć chciano! Walczmy dla usunięcia od rządu ludzi nikczemnych, zaprzędanych, dla porażenia szpiegów, dla pociągnięcia do odpowiedzialności złodziejów, wezwawszy Boga, żeby tej słusznej sprawie rozpaczającego narodu pobłogosławił. – Walczmy nareszcie dla wspierania i utrzymywania tego wojska naszego, które tak piękny przykład nam daje.





## 26. „Gabinet petersburski zrozumie na koniec: że ma teraz sprawę z całym narodem”.

[Maurycy Mochnacki, *Detronizacja Mikołaja* [w:] *idem, Pisma krytyczne i polityczne*, t. 2, wybór i oprac. Jacek Kubiak, Elżbieta Nowicka, Zbigniew Przychodniak, Kraków, Towarzystwo Autorów i Wydawców Prac Naukowych UNIVERSITAS, 1996]

Francuzi, Anglicy, Niemcy oddadzą cześć należną niefortunnnemu narodowi, który umie czuć dzielność swoją. Dziękować nam będą w obliczu całej oświeconej Europy, żeśmy powstałi dla odzyskania bytu politycznego. Gabinet petersburski zrozumie na koniec: że ma teraz sprawę z całym narodem, a nie z garstką wichrzycieli publicznego porządku; że nie bunt, ale powszechne powstanie ukrócić i stłumić będzie musiał dla utrzymania się na tym stopniu potęgi i wziętości, na którym dotąd zostawał. Wielka jest moc, wielka dzielność uchwał reprezentantów ludu w takiej chwili! Ta moc, ta nieustraszona śmiałość narodowej reprezentacji ratowała Francję w czasach największych niebezpieczeństw; toż samo i sprawie naszej najświetniejsze skutki rokuje. Męstwo nie tylko na placu bitwy się pokazuje, ale także na radzie, na mównicy i w uchwałach gardzących pogrozkami nieprzyjaciela. Uznanie dynastii gottorpskiej za odpadłą od tronu polskiego jest najwymowniejszą odpowiedzią na proklamację Dybicza, pisaną w imieniu Mikołaja, tak jak uznanie rewolucji za narodową i oświadczenie podziękowania jej twórcom było najwłaściwszą odpowiedzią na manifest cara, wzywający Radę Administracyjną Królestwa Polskiego do ukarania sprawców powstania, a wojsko polskie do złożenia broni. Tym sposobem dumę barbarzyńców większą jeszcze poniżyliśmy dumą. Przemoc ukracamy aktami, w których się dostojność wielkiego maluje narodu.

Od dnia dzisiejszego, od uznania przez izby sejmowe tronu polskiego za wakujący, rewolucja nasza postępować będzie szeroką drogą, prowadzącą do zwycięstw i chwały. Europa uzna naszą niepodległość i całość, skoro postrzeże, że my sami się w tej niepodległości i w nierozdzielnym jestestwie całego narodu uznajemy. Dzięki wam, dostojni reprezentanci! Imiona wasze od dnia dzisiejszego słynąć będą w dziejach! Tą drogą dalej postępujcie, coraz śmielsze uchwalajcie postanowienia i wznoscie się do coraz wyższej godności przez odrzucenie wszystkich względów bojaźliwej, mędrkującej polityki, przez impozycję, przez dumę, przez ostentację rewolucyjną.

Namże to car moskiewski śmie grozić z dala? Nam, najstarszym synom europejskiej wolności? Nam, najokrzesańszemu ludowi sławiańskiemu? Nam, którzyśmy wczora święcili pogrobową uroczystością pamiątkę Bestużewa i Rylejewa? [mowa



o demonstracji ku czci straconych dekabrystów] Nam, którzyśmy garstką bezbronnej młodzieży wypłoszyli najstarszego brata carów północy?

Noc 29 listopada, uznanie rewolucji za narodową, odsądzenie Mikołaja od tronu polskiego, obchód uroczysty ku czci tych ludzi, którzy pierwsi publicznie w Petersburgu zdziałali rewolucję, wreszcie instytucja Towarzystwa Patriotycznego, gdzie śmiało mówić i rozumować godzi się, ochocza młodzież, waleczne wojsko: otóż panorama rewolucyjna polskiego narodu, który obecnie zwrócił na siebie uwagę całej Europy.

[O znaczeniu detronizacji Mikołaja I pisał Jerzy Łojek: „z punktu widzenia prawa międzynarodowego akt 25 stycznia winien mieć znaczenie przełomowe. Wskutek tej deklaracji suwerennego sejmiku polskiego zerwane zostały więzy prawno-państwowe Królestwa Polskiego z Cesarstwem Rosyjskim. Po upadku powstania, przez kilkadziesiąt lat, aż do sierpnia 1915 roku, gdy wojska carskie w czasie pierwszej wojny światowej ostatecznie opuściły Królestwo – dwór petersburski w rzeczy samej posiadał ziemie polskie nie na zasadzie suwerennego panowania, lecz w warunkach zwykłej okupacji wojennej. Car rosyjski – formalnie rzecz biorąc – nie miał prawa uznawać nadal mieszkańców Królestwa Polskiego za swoich poddanych. Po upadku powstania Królestwo było udzielnym i niezależnym państwem, pozbawionym z powodu permanentnej nieprzyjacielskiej okupacji możliwości wyłonienia własnych władz i własnego przedstawicielstwa. Wszystkie państwa utrzymujące z Rosją stosunki dyplomatyczne miały jak najpełniejsze podstawy do odmówienia dalszego uznawania rosyjskiej suwerenności nad obszarem Królestwa Polskiego. Jeżeli to nie nastąpiło (nawet formalny protest angielski przeciwko zniesieniu konstytucji Królestwa, złożony po upadku powstania, nie zawierał żadnych aluzji do deklaracji sejmowej z dnia 25 stycznia 1831), to dlatego jedynie, że w sferze stosunków międzynarodowych stan formalno-prawny z reguły nie ma żadnego znaczenia, jeżeli nie jest zbieżny ze stanem faktycznym lub poparty realną siłą. Mikołaj I opanował w końcu Królestwo Polskie przemocą i przemocą utrzymywał je w posłuszeństwie; o prawne podstawy tego stanu rzeczy żaden z rządów w Europie pytać się nie zamierzał” (Jerzy Łojek, *Szanse powstania listopadowego. Rozważania historyczne*, wyd. 2, Warszawa, Instytut Wydawniczy PAX, 1980)].



## 27. „Wolnego ludu śpiew...”

[Juliusz Słowacki, *Hymn* [w:] Juliusz Słowacki, *Dzieła wybrane*, red. Julian Krzyżanowski, t. 1: *Liryki i powieści poetyckie*, oprac. Julian Krzyżanowski, Wrocław–Warszawa–Kraków–Gdańsk–Łódź, Zakład Narodowy imienia Ossolińskich – Wydawnictwo, 1990]

Bogarodzico, Dziewico!  
Słuchaj nas, Matko Boża,  
To ojców naszych śpiew.  
Wolności błyszczy zorza,  
Wolności bije dzwon,  
Wolności rośnie krzew.  
Bogarodzico!  
Wolnego ludu śpiew  
Zanieś przed Boga tron.

Podnieście głos, rycerze,  
Niech grzmiać wolności śpiewy,  
Wstrząsną się Moskwy wieże.  
Wolności pieniem wzruszę  
Zimne granity Newy;  
I tam są ludzie – i tam mają duszę.

Noc była... Orzeł dwugłowy  
Drzemał na szczycie gmachu  
I w szponach niósł okowy.  
Słuchajcie! zagrzmiały spiże,  
Zagrzmiały... i ptak w przestrachu  
Uleciał nad świątyn krzyże.  
Spojrzał – i nie miał mocy  
Patrzeć na wolne narody,  
Olśniony blaskiem swobody,  
Szukał cienia... i w ciemność uleciał północy.

O wstyd wam! wstyd wam, Litwini!  
Jeśli w Gedymina grodzie



Odpocznie ptak zakrwawiony,  
Głos potomności obwini  
Ten naród – gdzie czczą w narodzie  
Krwią zardzewiałe korony.

Wam się chylić przed obcemi,  
Nam we własnych ufać siłach;  
Będziem żyć we własnej ziemi  
I we własnych spać mogiłach. –

Do broni, bracia! do broni!  
Oto ludu zmartwychwstanie,  
Z ciemnej pognębienia toni,  
Z popiołów Feniks nowy  
Powstał lud – błogosław, Panie!  
Niech grzmi pieśń jak w dzień godowy.

Bogarodzico! Dziewico!  
Słuchaj nas, Matko Boża,  
To ojców naszych śpiew,  
Wolności błyszczy zorza,  
Wolności bije dzwon  
I wolnych płynie krew,  
Bogarodzico!  
Wolnego ludu krew,  
Zanieś przed Boga tron.

[Juliusz Słowacki napisał *Hymn* krótko po wybuchu powstania listopadowego].



## 28. „Bój był rozpaczny...”

[Juliusz Słowacki, *Duma o Wacławie Rzewuskim* (fragment) [w:] Juliusz Słowacki, *Dzieła wybrane*, red. Julian Krzyżanowski, t. 1: *Poezje*, oprac. Eugeniusz Sawrymowicz, Wrocław–Warszawa–Kraków–Gdańsk–Łódź, Zakład Narodowy imienia Ossolińskich – Wydawnictwo, 1990]

[...]

Gdzie słyhać dział huki, tam lecą buńczuki  
Jak gwiazdy z ogonem jasności.

Emira Kozaki gdy błędzą przez wrzosa,  
Umieją pieśń dziką rozłamać na głosy.  
Pieśń z echem odsyła stepowa mogiła,  
Pieśń grzmiąca: „Ho urra! nasz Emir!”

Do cara pieśń doszła – wściekłością się pienił  
I głowę Emira na ruble ocenił;  
Bo myślał, że w kraju z hordami Nogaju  
Czyngiskhan szedł – Batt lub Kantemir.

Bo umiał Rzewuski jak Arab stepowy  
Płachtami rumakom ogłuszyć podkowy,  
I cicho, gdy spali, pod obóz Moskali  
Podkradać się – bić – i brać działa.

Więc ściągnął, jak wszyscy ściągali, pod Daszów,  
Gdzie nasza konnica ze szczękiem pałaszów,  
Z wesołym okrzykiem stanęła w mur szykiem  
I chmurą proporców powiała.

A kiedy z mgły srebrnej wybiło się słońce,  
Ujrzeli Moskalów – straż przednią i Dońce.  
Mur dział jak mur złota, a za nim piechota  
W bagnety porosła jak zboże.



I cicho... Wtem bomba śmierciami ciężarna  
Upadła w szeregi zwichrzona i czarna.  
A nasi w tej chwili jeszcze się modlili,  
Do nieba wołali: „O Boże!”

I razem bomb tysiąc zaryło się w stepy,  
Rozpękle wręcymi ciskały czerepy,  
I grzmiały, dopokąd piechoty czworokąt  
Nasz Emir opasał konnicą.

I strasznie ją ścisnął, w żelazne brał skręty,  
Przednimi nogami na bagnety koń wspięty  
Tak jak oczerety połamał bagnety,  
W złamanych miecz wiał błyskawicą.

Przemogliby nasi, choć bój był rozpaczny –  
Wtem wódz od armaty dał rozkaz dwuznaczny:  
„Konnica na skrzydła!” – zwinęli wędzidła,  
Odbiegli, ostygli w zapale.

I popłoch się wmieszał – ów, co był przyczyną  
Wszczętego popłochu, nie przeżył godziną.  
Bojaźni nie dzielił, dwa działa wystrzelił  
I sam się zastrzelił na dziale.

On może wśród bólów ostatnich zgryzoty  
Pamiętał, że dzieci zostawiał sieroty.  
Lecz śmierć zwyciężyła, niech dziś więc mogiła  
Ma łzy, a nie skargi wygnańca.

A Emir, gdy ogień ucichał armatni,  
Ujeżdżał z rozpaczą, choć zjeżdżał ostatni.  
Któż męstwa zaprzecza? gdy szczyrby nić miecza  
Powlekły jak perły różańca.





A kiedy opuszczał kraj miły, rodzony,  
Znów księżyc się wznosił na stepach czerwony.  
„Leć prędzej po błoniu, odpoczniesz, mój koniu,  
Gdy w ziemi staniemy tureckiej.

„O koniu! mój koniu, gdzie twoje zalety?  
Czyś może się rozkuł deptając bagnety?  
Czyś złaman w kul wiatrze? Stój, koniu, opatrzę,  
Czy nie ma gdzie kuli zdradzieckiej?

„Ha zdrowy!... To dobrze, lecz jechać w noc trudno”.  
Więc chatę na stepach upatrzył odludną,  
Koń zimne gryzł kwiaty, a Emir wśród chaty  
Zmęczony zalegał na ziemi...

I zasnął głęboko – bo trud go osłabił.  
Śpiącego od cara najęty chłop zabił,  
I sztylet dziewicy do złotej główicy  
W pierś nurzył rękami drżącymi.

O! czemuś, Emirze, nie oddał kindżała  
Stepowej dziewicy, gdy zabić się chciała? [...]

[Wacław Rzewuski (1785–1831), orientalista, podróżnik i słynny na wschodnich ziemiach dawnej Rzeczypospolitej hodowca koni, był synem jednego z trzech przywódców konfederacji targowickiej, Seweryna Rzewuskiego. Po wybuchu powstania listopadowego zgłosił się, z oddziałem kozaków, do wojsk formujących się pod komendą gen. Benedykta Kołyszki na Podolu (na obszarze dzisiejszej Ukrainy). Wziął udział w przegranej bitwie z wojskami rosyjskimi pod Daszowem 14 lipca 1831 roku, której dotyczy powyższy fragment utworu poetyckiego Juliusza Słowackiego. Wbrew wersji przedstawionej w wierszu, dalsze losy Rzewuskiego nie są znane – wiadomo jedynie, że ślad po nim zaginął tuż po bitwie].



## 29. „Przylączyłem się do powstania narodowego z przekonania”.

[Józef Conrad, *Księżę Roman*, tłum. [w:] Józef Conrad, *Opowiadania wybrane*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1978]

[...] Sprawa była zbyt głośna na jakiegokolwiek bezpośrednie i otwarte starania. Jedyne, co można było zrobić, to drogą prywatną nakłonić przewodniczącego komisji wojskowej do łagodności. Docierające doń z Petersburga aluzje i podszepty, niektóre płynące z bardzo wysoko postawionych kół, wywarły na nim w końcu silne wrażenie. A poza tym, z czysto życiowego punktu widzenia, warto było sobie zasłużyć na wdzięczność tak wielkiego rodu, jak książęta S. Był dobrym Rosjaninem, ale był również z natury człowiekiem dobronazym. Zresztą nienawiść do Polaków nie należała jeszcze wówczas do zasadniczych artykułów wiary patriotycznej w Rosji, jak to się stało jakieś trzydzieści lat później [w czasie powstania styczniowego]. Od pierwszej chwili był dobrze nastawiony do tego młodzieńca o ogorzalej, szczupłej twarzy, wyniszczzonego miesiącami żołnierskich trudów, ciężkimi warunkami oblężenia i niewoli.

Komisja składała się z trzech oficerów. Zasiadali w twierdzy, za długim, czarnym stołem pod wysokim sklepieniem pustej sali. Oba końce stołu zajmowali sekretarze i poza żandarmami, którzy wprowadzili księcia, nie było nikogo. Któż może odgadnąć, ile ukochania życia było w księciu Romanie, kiedy stał, twarzą w twarz z wrogami, co mieli go sądzić – samotny w czterech złowieszczących ścianach, odgradzających go od wszelkich widoków i dźwięków, które niesie wolność, od wszelkiej nadziei na przyszłość, od wszelkich kojących złudzeń? Któż odgadnie, ile w nim jeszcze pozostało owego poczucia obowiązku, zrodzonego z cierpienia? Ile rozbudzonej miłości do ojczystego kraju? Tego kraju, który żąda, by kochać go bardziej niż jakiegokolwiek kraj był kochany, żalobną miłością, jaką się darzy niezapomnianych zmarłych, i uczuciem płomiennym, niewygaszalnym, beznadziejnym, jakie tylko żywy, oddychający i ciepły ideał może w naszych piersiach wzniecić – na dumę naszą, na umęczenie, na tryumf nasz i zagładę.

Jest coś potwornego w samej myśli o takich wymogach, dokąd nie ujrzymy jej wcielonej w postać bez skazy, nieustraszenie wierną. Zbliżając się do najwznioślejszego momentu swojego życia, książę mógł jedynie spodziewać się, że stoi u jego kresu. Na zadawane pytania odpowiadał jasno i zwięźle – z największą obojętnością. Po miesiącach wytężonego działania mówienie go nużyło. Ukrywał to jednak, aby nie być posądzonym przez wrogów o apatię, zniechęcenie albo upadek ducha. Tak czy



inaczej szczegóły jego zachowania nie miały większego znaczenia; nic tym ludziom do jego myśli. Wypowiedzi księcia utrzymane były w tonie starannej uprzejmości. Nie przyjął ofiarowanego mu krzesła.

O przebiegu wstępnego badania wiadomo jedynie z relacji przewodniczącego oficera. Od pierwszej chwili usiłował naprowadzić księcia na jedyną w tej nad wyraz trudnej sprawie możliwą linię obrony. Starannie układał pytania tak, aby odpowiedzi same narzucały się oskarżonemu, siedł nawet tak daleko, że sam podpowiadał mu słowa: jak to w głębokiej rozpacz po śmierci młodej żony, nieodpowiedzialny za swoje postępowanie, w chwili ślepego szaleństwa, nieświadom wysoce karygodnego charakteru swego czynu, ani też niebezpieczeństwa i niesławy, uległ nagłemu impulsowi i dołączył do najbliższego oddziału partyzantów. I że teraz, ze skrucą...

Ale książę Roman milczał. Sędziowie wojskowi spoglądali nań wyczekująco. Bez słowa sięgnął po pióro i na kartce papieru, leżącej przed nim napisał: »Przyłączyłem się do powstania narodowego z przekonania«.

Przesunął kartkę na drugą stronę stołu. Przewodniczący podniósł ją i pokazał po kolei obu swoim kolegom, potem, ze wzrokiem utkwionym w księcia Romana, wypuścił z ręki. Nikt nie przerwał milczenia aż do chwili, kiedy przewodniczący wydał żandarmom rozkaz wyprowadzenia więźnia.

Takie oto oświadczenie na piśmie złożył książę Roman w najwznioślejszym momencie swego życia. Słyszałem, że wszystkie odgałęzienia rodu książąt S. przyjęły owe dwa wyrazy: »z przekonania«, za dewizę, pisaną na tarczy herbowej. Nie wiem, czy to prawda, wuj nie umiał mi powiedzieć. Wyjaśnił tylko, że oczywiście nie było jej na pieczęci, używanej przez księcia Romana.

Skazano go na dożywotnią katorgę w kopalniach syberyjskich. Car Mikołaj, który zawsze miał osobisty wgląd we wszystkie wyroki dotyczące polskiej arystokracji, własnoręcznie dopisał na marginesie: »Władzom surowo nakazuje się dopilnować, aby skazaniec ten, jak pospolity zbrodniarz, szedł całą drogę pieszo i w kajdanach«.

Było to skazanie na śmierć z zawieszeniem. Niewielu przetrzymywało więcej niż trzy lata takiego pogrzebania żywcem w kopalniach. Ale gdy po tym czasie doniesiono, że jeszcze żyje, zezwolono mu, na prośbę rodziców i w drodze specjalnej łaski, służyć jako prosty żołnierz na Kaukazie. Wszelkie kontakty z nim były zabronione. Żadnych praw cywilnych nie posiadał. Od człowieka martwego różniła go tylko zdolność cierpienia. Córeczka, którą swego czasu tak ostrożnie całował, żeby nie zbudzić [idąc do powstania listopadowego], odziedziczyła po śmierci księcia Jana [ojca ks. Romana] całą fortunę. Jej istnienie uratowało te olbrzymie majątki od konfiskaty.

Minęło dwadzieścia pięć lat, nim książę Roman, całkowicie głuchy i ze zniszczonym



zdrowiem, otrzymał pozwolenie na powrót do Polski. Jego córka wyszła dobrze za mąż, poślubiając polsko-austriackiego *grand seigneura* i obracała się w kosmopolitycznych sferach najwyższej arystokracji europejskiej, przebywając głównie za granicą, w Nicei i Wiedniu. Widywał ją bardzo rzadko, bo osiadł w jednym z jej majątków, nie tym z pałacową rezydencją, ale w innym, gdzie stał niewielki, skromny dworek.

Książę Roman nie odciął się jednak od świata, jak gdyby zakończył już był swoją pracę. We wszystkim niemal, co działo się tak w prywatnym, jak i publicznym życiu okolicy, szukano jego rady i pomocy – i nigdy na próżno. Słusznie mawiano, że jego życie było własnością współobywateli. A już szczególną przyjaźnią otaczał wszystkich powracających z wygnania, pomagając zawartością sakiewki i radami, zajmując się ich sprawami i wynajdując im środki do życia.

Wiele słyszałem od mego wuja o jego pełnej poświęcenia działalności, w której zwykł był się kierować prostą mądrością, jasnym poczuciem honoru i surowymi wymogami osobistej i publicznej uczciwości. Dla mnie pozostanie on wciąż żywą postacią dzięki spotkaniu w pokoju bilardowym, kiedy to pragnąc dowiedzieć się czegoś o pewnym szczególnie wilczym wilku, zetknąłem się na chwilę z człowiekiem górującym nad innymi zdolnością do głębokich uczuć, niezachwianą wiarą i żarliwą miłością.

[Bohater opowiadania, książę Roman Sanguszko (1800–1881), po kilku latach katorgi został wcielony do armii rosyjskiej na Kaukazie. Do rodzinnej Sławuty (w dzisiejszym obwodzie chmielnickim na Ukrainie) wrócił w 1844 roku, gdzie spędził resztę życia].



### 30. „...opłakana natura niezdecydowania”.

[Ignacy Prądzyński, *„Zaprzepaszczone szanse”. Wybór myśli politycznych i społecznych*, oprac. Jerzy R. Nowak, Kraków–Wrocław, Wydawnictwo Literackie, 1985]

[...] Jakże się to stało, że człowiek, tak nieusposobiony na wodza, mógł tak dalece omylić tych wszystkich, co mieli udział w jego wywyższeniu, a którzy przecież znać go powinni byli? Był to zbieg okoliczności. Nazajutrz po bitwie grochowskiej wybierali sami generałowie dywizyjni, i to jedynie pomiędzy sobą; wybór działał się jeszcze pod świeżym wrażeniem działań grochowskich i większa część wcale nie pragnęła tego niebezpiecznego zaszczytu. Gdy więc większa część ich usuwała się od niego, Skrzynecki nadstawiał się, bo mała jego ambicja nie dała mu widzieć wielkości ciężaru. Skrzyneckiego rzeczywiście nikt nie znał, gdy jego współzawodników aż nadto dobrze znano; bo gdy ci prawdziwie polskim obyczajem nie taili ani złych, ani dobrych swych przymiotów, u Skrzyneckiego, i owszem, było całego życia staraniem ukazywanie się przed wszystkimi innymi daleko lepszym, niż był rzeczywiście; czynił to z nadzwyczajnym taktem i zręcznością i zupełnie mu się udało. [...]

Przystępujemy teraz do działań generała Skrzyneckiego czysto wojennych. Przez cały miesiąc marzec [1831 roku] wojsko polskie zreorganizowane liczniejsze miało szeregi aniżeli przy rozpoczęciu wojny, bo wiele już nowych formacji mogło iść na nieprzyjaciela; dobrze wypoczęte na wygodnych leżach, pałało jak najlepszym duchem; zmierzyszy się z nieprzyjacielem, nabrało zaufania samo w siebie i przekonania o możliwości mierzenia się z wojskiem rosyjskim. Rosjanie zaś w najgorszych byli kłopotach: wyniszczyła ich siły uciążliwa zimowa kampania, potężne zimowe marsze z głębi Rosji odbyte; niedostatek, choroby przerzedzały ich szeregi; krwawymi bojami nic zgoła nie było wskóране. W zabranych prowincjach tworzyły się powstania i już zaczęły przerywać wszystkie ich komunikacje; względy wojenne doradzały cofnąć to wojsko za Bug i czekać przyjaźniejszej pory i nadejścia nowych posiłków; ale temu sprzeciwiały się względy polityczne, duma i lekceważenie przeciwnika, względem którego zacięty opór przed Pragą stawiony jeszcze Dybiczowi nie był oczu otworzył, jakkolwiek bądź nie zaniechał on myśli kończenia wojny przeprawą Wisły i zajęciem Warszawy. Przy ujściu przeto Wieprza rozpoczęta budowa mostów, a tymczasem wojsko rozłożono na leżach po obu brzegach Wieprza, od Wisły aż do Lubartowa, a te stanowiska zasłonięto korpusem Rosena na szosie siedleckiej, który miał korpus Geismara w przedniej straży pod



Wawrem obozujący. W mocy było generała Skrzyneckiego zebrać 60 000 wojska w Warszawie, to jest siłę wyrównyującą całej potędze rosyjskiej; tą masą należało zgnieść Geismara, odepchnąć Rosena jak najdalej, i rzuciwszy się w prawo, przerznąć częstkami rozłożone korpusy rosyjskie, które aniby były potrafiły skoncentrować swoją liczną artylerię wśród topieli wiosennych; skutek był niewątpliwy, do niego było przywiązane zbawienie Polski. Tego tak prostego manewru nigdy nie mógł generał Skrzynecki zrozumieć, same upatrywał w nim trudności i przeszkody.

Po długim wahaniu się przychylił się nareszcie do uderzenia na Rosena, ale nie wszystkimi siłami, jakie użyte być mogły; a po dwóch dniach powodzeń brak determinacji wziął górę i zatrzymał dalsze działania, ponieważ mu deputacja rządu przywiozła krzyż wojskowy do Kałuszyńa i on ją na obiad zaprosił. Rosjanie zatem, korzystając z dozwolonego im czasu, uciążliwym marszem w kółko łącząc się w obozie pod Siedlcami nalinii naturalnej swoich działań, odzyskują komunikację z gwardiami, a dla Polaków jedyna okazja odniesienia prawie na pewno jednego z owych zwycięstw, co to stanowią o losie państw, zmarnowana. Pod Siedlcami Dybicz stoi beczynnie w 50 000, a wzięwszy stanowisko pomiędzy bagnami, podaje możliwość odniesienia stanowczego zwycięstwa w razie powodzenia. Generał Skrzynecki może uderzyć na nieprzyjaciela w 60 000; lepszej szansy nie było się można już spodziewać. Tymczasem wszelkie rozumowania opierające się na pojęciach wojennych, nalegania różnych osób, mających przystęp do wodza naczelnego, względ na powstania w zabranych prowincjach, gdzie się krew strumieniami lała, które zatrzymały swoim oporem znaczną część sił rosyjskich, a które w końcu ulec musiały, skoro główne siły nad Wisłą martwe zostały, na koniec głos polskiego serca, koleżeństwa wojskowego, które głośno wołały, ażeby przecież zrobić wysilenie dla ratunku Rusi i Litwy, a tym samym i nas samych – wszystko to było na próżno. Te wszystkie względy, z których jeden był dostatecznym na wywołanie czynności, nie zdołały wyciągnąć generała Skrzyneckiego z bezwładności i przełamać jego niedecyzji.

Główne wojsko rosyjskie stało wtedy pod Siedlcami, a gwardie rosyjskie w Łomży. Gdy upadła wszelka nadzieja skłonienia generała Skrzyneckiego do uderzenia na Dybicza nawet przemagającymi siłami, podano mu myśl uderzenia na gwardie. Po długim wahaniu przystaje, manewr udaje się jak najlepiej, sam los mu sprzyja, armia polska już za Bugiem stała, już w obliczu gwardii, a jeszcze Dybicz był przekonany, że ją ma przed sobą. Pod Śniadowem nachodzą Polacy owe gwardie; gwardie mają tylko do wyboru odwrót przez jedną z dwóch ciałnin, pod Łomżą albo też pod Gacią, jeżeli nie chcą przyjąć walki na śmierć z liczniejszym nieprzyjacielem. W chwili gdy robotę ukończyć trzeba dzielną przybitką, oplakana





natura niezdecydowania, a na potężnym uporze oparta, bierze górę i żadne względy, żadne nalegania nie zdołają wymóc na Skrzyneckim rozkazu do ataku. Przez dwa dni patrzy wojsko polskie, jak Rosjanie wyprawiają swoje oblęgi, a następnie sami im się sprzed oczu wynoszą. Skutkiem tak opłakanego działania było zajście pod Ostrołęką, którego nie można nazwać walną bitwą, ale tylko burdą. Było ono wzorem niedołęznego prowadzenia bitwy w wszelkich szczegółach i od samego początku żadnej nie miało szansy powodzenia. Zwiedzenie tej bitwy nie polegało nawet na planie, ale było przypadkowym starciem i prawdziwym rozbojem. Rosjanie nie zwyciężyli Polaków, ale tylko ta strona miała być zwycięską, która dłużej dotrwa na placu rzezi. Należało doczekać na placu Giełguda, ale niedołęzny umysł wodza już miał dosyć wojny. Chcąc mieć ekskuzę za postanowienie mniej godne, wywołał zdania rady wojennej niby to zniewalające go do ustąpienia.

Zdarzenie pod Ostrołęką podwoiło zdemoralizowanie wodza naczelnego; już odtąd żadne względy nie mogły go skłonić do wystąpienia przeciw nieprzyjacielowi; wspomnienia Ostrołęki jak fatalne widziadło stało mu przed oczami i niemało go przytomności pozbawiało. Odtąd zasklepił się on w zupełną nieczynność [...].

Niedołężnością polskiego naczelnictwa ośmielony, nieprzyjaciół puszczał się na najdrażliwsze ruchy; taką była przeprawa Wisły, w którą mogli i powinni byli uderzyć Polacy, debuszując masą z Modlina. Jenerał, co dopuścił uskutecznienie takiej przeprawy, nie spaliwszy i jednego ładunku na oparcie się jej – zasługuje na destytucję i na sąd wojenny; ale już panowała wielka szlamazarność w rządzie powstania, już wojsko i kraj były kompletnie zdemoralizowane. Gdy Paskiewicz na prawym brzegu Wisły wolnym krokiem ku Warszawie postępował, a Kreutz z daleka za nim ciągnął, była możliwość, postawiwszy most pod Płockiem, usadowić się tutaj i niemało kłopotu nieprzyjacielowi narobić; ale już nie było ratunku z jenerałem Skrzyneckim, którego upór i nieczynność do prawdziwej doszła manii. Pod Bolimowem znowu wojska stoją naprzeciw siebie w równej prawie sile; jenerał Skrzynecki w skutku rady wojennej ma rozkaz od komisji sejmowej wydania walnej bitwy, gdziekolwiek nieprzyjaciela napotka. I ten tak wyraźny rozkaz nie zdołał przełamać jego uporu i nieczynności; zamiast tego wywołał sam gorszące sceny, które ostatni cios zadały sprężystości wojska polskiego i wszelki ratunek niepodobnym uczyniły. Tu już by to wyraźne nieposłuszeństwo, za które jenerał Skrzynecki na karę śmierci zasłużył – a jemu tylko dowództwo odebrano, które na zgubę tylko Polski w jego niedołężne ręce było się dostało. [...]



### 31. „...pomimo męstwa okazanego przez nasze wojska, wojnę prowadziliśmy słabo”

[Tadeusz Gruzewski, *Odbudowanie Polski* [w:] *idem, Polska i Rosja. Wybór pism*, wyboru dokonał i wstępem opatrzył Przemysław Dąbrowski, Kraków, Ośrodek Myśli Politycznej, Wydział Studiów Międzynarodowych i Politycznych Uniwersytetu Jagiellońskiego, 2013]

[...] Gdy za sprawą Napoleona nasza zatopiona nawa państwowa wypłynęła znów na powierzchnię, wojskowość okazała się tą funkcją państwową, której odrodzenie poszło najłatwiej i wydało rezultaty najświetniejsze. Brakowało jej tylko owego najwyższego pierwiastka państwowego – silnej idei narodowej, samoistnych, z jej głębi płynących aspiracji i odwagi własnych zamiarów politycznych. Wojsko nasze dokonało rzeczy wielkich, przywróciło orężowi naszemu uznanie Europy, nie łudźmy się jednak – oprócz gorącej miłości ojczyzny, którą było ożywione, czerpało ono siłę moralną z olbrzymiej postaci Napoleona i z całej epoki bohaterskiej i gdy zabrakło cesarza, gdy epopeja jego minęła, z wojska tego uleciał ów duch, który dokonywał wielkich rzeczy i zjednał naszym wojownikom miano „ludzi żelaznych”. Pozostało ono tylko bardzo dobrym wojskiem pod względem zawodowym, pełnym poczucia obowiązku, honoru wojskowego i świetnej tradycji.

Rok 1831 stał się najjaskrawszym wyrazem tej prawdy, że materialne środki nie wystarczają do prowadzenia energicznej walki zbrojnej, że niezbędnym warunkiem jest określona idea polityczna, za którą stać musi silna wola narodowa. Niemożliwym jest odpowiedzieć pozytywnie na pytanie, co by się stało, gdybyśmy pokonali i wypędzili z kraju te siły zbrojne, które Rosja przeciw nam wysłała. Czy Rosja zdobyłaby się na większy wysiłek i ostatecznie nas sama pokonała, czy nie pomogłyby jej Prusy, jak zachowałyby się państwa zachodnie – to są kwestie, co do których snuć można tylko przypuszczenia. Ale pozostaje fakt stwierdzony zupełnie pozytywnie, że pomimo męstwa okazanego przez nasze wojska, wojnę prowadziliśmy słabo, bez stanowczości, z opuszczeniem wielu najprzyjaźniejszych okoliczności. Składanie winy na nieudolność wojskową generałów uderza sztucznością i powierzchownością: ktokolwiek zastanawiał się nad tym powstaniem, dostrzec musi fakt naczelny, objaśniający całą sytuację, brak w rządzie i w narodzie jakiegokolwiek jasnej idei przewodniej, jakiegoś planu. Winić za to generałów może ten tylko, kto nie rozumie, że chodziło tutaj o pierwiastek, który wojsko wraz ze swoimi wodzami czerpać powinno z narodu. Z większą nieco słusznością można by złożyć winę na rząd, ale wiadomo było powszechnie, że rząd ten nie chce powstania i w powodzenie jego



nie wierzy. Na czele narodu w chwili powstania i podczas niego stali ludzie, którzy byli mu przeciwni, którzy nie wiedzieli właściwie, co należy robić, a stali u władzy dlatego, że poza nimi nie było innych, którzy by jakąś siłą poważną reprezentowali i mogli zająć ich miejsce. W rezultacie walczono bez nadziei na zwycięstwo, a więc bez planów, bez szerszych celów, bez energii i stanowczości. Już przed zdobyciem Warszawy zapanowuje ogólne zniechęcenie i apatia. W rezultacie armia polska, uzbrojona i zorganizowana, posiadająca w swym ręku twierdze Królestwa, składa broń albo uchodzi za granicę przed wojskami rosyjskimi, niewiele ją liczebnie przewyższającymi. [...]



### 32. „[...] wyszkolenie, zaopatrzenie, wyposażenie i uzbrojenie wojsk polskich przewyższało bez porównania standard przeciwnika”.

[Jerzy Łojek, *Szanse powstania listopadowego. Rozważania historyczne*, wyd. 2, Warszawa, Instytut Wydawniczy PAX, 1980]

[...] Armia polska w roku 1830 liczyła etatowo na stopie pokojowej około 30 000 ludzi, miała jednakże olbrzymie zaplecze kadrowe i możliwości mobilizacyjne. Pamiętać trzeba zawsze, iż żadne powstanie polskie nie rozpoczęło się w tak korzystnych pod względem militarnym warunkach jak właśnie powstanie 1830 roku. Armia polska była oczywiście mniej liczna od wojsk rosyjskich, była jednak pod każdym względem lepsza od armii rosyjskiej; wyszkolenie, zaopatrzenie, wyposażenie i uzbrojenie wojsk polskich przewyższało bez porównania standard przeciwnika; siły polskie ustępowały rosyjskim jedynie pod względem liczby artylerii, ale polska artyleria była jednak lepsza, a artylerzyści lepiej wyszkoleni. Zasadniczy brak armii polskiej polegał na czym innym i był to brak niestety trudny do wykrycia (choć łatwy do naprawienia, gdyby w warunkach wojennych zauważono i wskazano publicznie tę konieczność): otóż przeciętne poglądy polityczne wyższych oficerów wojsk polskich, od dowódcy pułku wzwyż, były tego rodzaju, że z góry wykluczały możliwość użycia tych ludzi do skutecznego prowadzenia wojny przeciwko Mikołajowi I. [...]

Armia polska miała natomiast możliwości mobilizacyjne stosunkowo o wiele większe; miała przede wszystkim oparcie w potężnym nacisku opinii publicznej, żądającej użycia wszystkich zasobów kraju do walki o niepodległość; koncentrowała się na obszarze niewielkim, ale za to dobrze zaopatrzonym; miała liczną kadrą zawodową, wystarczającą dla stworzenia kilkudziesięciu nowych pułków piechoty i kawalerii. W pierwszym okresie powstania Chłopicki robił wszystko, co było w jego mocy, by osłabić siłę i potencjał wojsk polskich; w czasie wojny Skrzynecki starał się nie dopuścić do rozwoju na wielką skalę rewolucyjnej armii. Mimo to wyniki ogólnego wysiłku mobilizacyjnego powstania są imponujące; obok 30 000 żołnierzy ze starej kadrowej armii Królestwa przez formacje powstańcze przeszło 140 000 ludzi zmobilizowanych w czasie wojny na obszarze zajęтым przez wojska polskie; dodać do tego należy około 20 000 ochotników z ziem litewsko-ruskich i dwóch pozostałych zaborów. Tak więc przy bardzo ograniczonym wysiłku Polska zdobyła się na wystawienie przeciwko Rosji łącznie 190 000 ludzi, niestety nie jednorazowo,



lecz „na raty” w toku ośmiomiesięcznych działań wojennych.

Jeżeli porównamy stany armii polskiej i rosyjskiej w poszczególnych fazach wojny, to stwierdzimy z niemałym zdumieniem, że proporcja sił przesuwiała się nieustannie na korzyść strony polskiej; powstanie kończyło się w chwili, gdy strona polska dysponowała na froncie siłami równymi rosyjskim! Oto kilka liczb.

W lutym 1831 roku, przed bitwą pod Grochowem, obie walczące strony dysponowały na całym froncie następującymi siłami:

Polacy: 43 bataliony piechoty, 51 szwadronów kawalerii, 140 dział – łącznie 57 000 żołnierzy i oficerów.

Rosjanie: 106 batalionów, 156 szwadronów, 348 dział – 118 000 ludzi.

Po krwawej bitwie pod Grochowem, w przededniu okresu niewielkiej polskiej aktywności, czyli tzw. ofensywy kwietniowej:

Polacy: 53 bataliony, 86 szwadronów, 131 dział – 63 000 ludzi.

Rosjanie: 137 batalionów, 230 szwadronów, 634 działa – 139 000 ludzi (jest to stan maksymalny armii rosyjskiej w czasie wojny 1831 roku; w czasie ofensywy kwietniowej wojsk polskich ulega zniszczeniu jeden korpus rosyjski, stany liczbowe innych jednostek ulegają poważnemu zmniejszeniu wskutek głodu, chorób, braku zaopatrzenia i strat w walkach). [...]

W drugiej połowie sierpnia 1831 roku, w momencie, gdy Paskiewicz ryzykownym marszem okrążającym przekroczył Wisłę i podejmował uderzenie na Warszawę, na bardzo już skurczonym froncie polsko-rosyjskim siły obu stron walczących wynosiły:

Polacy: 97 batalionów, 94 szwadrony, 151 dział – według „stanu gotowych do boju” dokładnie 78 536 żołnierzy i oficerów.

Rosjanie: 96 batalionów, 133 szwadrony, 390 dział – według „stanu gotowych do boju” dokładnie 78 594 żołnierzy i oficerów.

Tak dalece wykruszyła się armia rosyjska w walkach na ziemiach polskich, przy braku uzupełnień i zaopatrzenia.

Już po szturmie Warszawy, w czasie którego wojska Paskiewicza poniosły straty sięgające 25 procent stanów liczebnych walczących oddziałów, gdy armia polska na mocy układu o kapitulacji stolicy cofała się na północny zachód, powstanie dysponowało jeszcze następującymi siłami: wokół Modlina skoncentrowane były: 43 bataliony, 55 szwadronów, 91 dział – 33 000 ludzi; operująca na prawym brzegu Wisły i faktycznie nie związana przez żadne oddziały rosyjskie grupa generała Ramorino liczyła 20 000 ludzi i 40 dział; inna grupa działająca z dala od Warszawy, korpus generała Różyckiego, składała się z 10 000 ludzi i 8 dział; załogi twierdz Zamościa



i Modlina miały około 9000 ludzi, nie licząc znacznej artylerii pozycyjnej.

Amunicji było pod dostatkiem: zaopatrzenie artylerii wynosiło przeciętnie 265 naboju na działo, zaopatrzenie oddziałów piechoty – 40 naboju na karabin. W tym samym czasie wojska rosyjskie były prawie pozbawione amunicji artyleryjskiej, zużytej doszczętnie w czasie szturmów Warszawy. Mimo to wojska polskie nie przedsięwzięły już po upadku Warszawy żadnej operacji wojennej [...].





### 33. „[...] rewolucja miała na celu obalenie rządu, obalenie reżimu, a nie wojnę z Rosją”

[Andrzej Kijowski, *Sila fatalna* [w:] *idem, Granice literatury. Wybór szkiców krytycznych i historycznych*, zebrał, opracował i wstępem poprzedził Tomasz Burek, t. 2, Biblioteka „Więzi”, Warszawa 1991]

Więc historyk powiada (Łojek, *Szanse pozostania listopadowego*, str. 15), że należało Księcia zabić, garnizon rosyjski pobić i wziąć do niewoli, następnie uwięzić wszystkich ugodowców i ustanowić rząd rewolucyjny. Mochnacki i publicyści lewicy emigracyjnej sądzili podobnie lub tak samo. Mochnacki prawidłowo oceniał sytuację polityczną Królestwa, które było rosyjską kreacją i właściwie upatrywał jedynej szansy prawdziwego uwolnienia w pobiciu Rosji. Tylko że takiej szansy nie było wbrew jego wyliczeniom, które teraz za nim powtarza Łojek. Nie było takiej szansy właśnie dlatego, że doskonałej armii Królestwa nie miał kto prowadzić do zwycięstw nad rosyjską armią, a nie miał kto prowadzić właśnie dlatego, że – jak słusznie pisze Łojek – cały korpus sztabowy składał się z weteranów napoleońskiej wojny, zniechęconych, zdemoralizowanych i pozbawionych wiary w zwycięstwo. Brak dowódców jest tak samo realny i dotkliwy, jak brak armat, i tak samo trzeba się z nim liczyć, co zresztą dowodnie pokazały dalsze dzieje tej wojny. W ówczesnej armii stopień fachowości liczył się bardzo wysoko i niełatwo było z młodego oficera zrobić dowódcę. Niełatwo było zostać nim nawet z wielką wiedzą i talentem bez polowego doświadczenia, jak tego z kolei dowiodły operacyjne niepowodzenia Prądyńskiego.

A prócz braku dowódców brak powszechnego przekonania o konieczności tej wojny. Łojek nie docenia ociążałości stosunków społecznych, które współczesnym wydają się zawsze jedyną rzeczywistością możliwą. Życie w Królestwie – powtarzam – nie było takie złe, a kto pamiętał niedole napoleońskich wojen albo niedole ostatnich wojen Rzeczypospolitej, roku 1792 i Kościuszkowskiej, ten błogosławił pokój i szansę wzbogacenia się, ciesząc się tą oficjalną polskością, jaką mu dano pod postacią sejmu, rządu, armii, uniwersytetu, a która i tak była lepsza od niedawnych lat zupełnego nieistnienia, lepsza chyba nawet od lat francuskiego, niezmiernie kosztownego protektoratu i lepsza wreszcie od tego, co mieli rodacy za kordonami. Wszyscy poza podchorążymi i intelektualistami warszawskimi mieli dużo do stracenia. Wszyscy byli niezadowoleni, ale – pamiętajmy – z rządu, który był mimo wszystko polskim rządem, z policji, która była polską, przez Polaków kierowaną policją, z cenzury, która była polską cenzurą, i ze stosunków w wojsku, za które odpowiedzialni byli



przede wszystkim polscy generałowie. Toteż w odczuciu powszechnym, w odczuciu nawet warszawskiego ludu szturmującego Arsenał, rewolucja miała na celu obalenie rządu, obalenie reżimu, a nie wojnę z Rosją. To Lubecki jako prezes rządu stracił zaufanie opinii, nie car; to Roźniecki i Lubowidzki byli przedmiotem nienawiści, nie Konstanty. To polscy tajniacy myszkujący po domach i ulicach budzili uczucia zemsty, nie Rosjanie. Konstanty oświadczając, że żaden Rosjanin nie przyłożył ręki do poskromienia rewolty, wyczuł znakomicie sytuację; wyczuł ją też równie dobrze rząd, starając się wszystkimi siłami o nadanie wypadkom znamion kryzysu wewnętrznego.

A na to współczesny historyk woła wraz z Mochneckim i klubistami: wojny, wojny natychmiast! Bić Moskała w Warszawie, ścigać go do granic Królestwa, następnie wkroczyć na terytorium Cesarstwa i na Wołyń, maszerować na Ukrainę, podnosząc wszędzie powstanie. Oczywiście, powstanie ludu, któremu rewolucyjny, przez klubistów zdominowany sejm nada ziemię i prawa obywatelskie.

Ale kto miał tę wojnę prowadzić, skoro nie tylko ugodowy rząd i ugodowi generałowie byli jej przeciwni, lecz – jak się zdaje – nie zdradzali do niej również ochoty spiskowi? Wszak sam przywódca podchorążych, Wysocki, działając prawdopodobnie w porozumieniu z Towarzystwem Patriotycznym, a raczej – jak ich Tokarz nazywa – z epigonami jego lewicy, przestrzegał podchorążych przed „polityką”, czyli żądaniem niepodległości, nalegał na ograniczenie celów powstania do obrony konstytucji i podporządkowanie się sejmowi, którego petycja do tronu z roku 1829 (niezłożona zresztą z powodu braku wystarczającej ilości podpisów) miała być podstawą programową spiskowego działania. Petycja miała domagać się przywrócenia jawności obrad sejmowych, wolności druku i zniesienia komitetów śledczych. Na spisku i powstaniu, na polityce pierwszych bezkrwawych tygodni leżało piętno owej sejmowej petycji. Zamierzano ją złożyć carowi w dniu jego koronacji w Warszawie, a dopiero w razie gdyby jej nie przyjął – wyjść na ulicę z bronią. Powstanie miało być poparciem sejmowego puczu – niczym więcej, czegoś więc domaga się dzisiaj historyk inspirowany przez Mochneckiego i lewicę emigracyjną: aby spisek i przywódcy powstania z góry zaplanowali klęskę, jaka na nich spadła w postaci inwazji rosyjskiej? Takie było powstanie, jakie było sprzysiężenie.

[...]

Osobliwość naszej historii: przywódcy działający wbrew sobie, z poczucia obowiązku, bez wiary we własne działania. Rezultat: działania połowiczne i niekonsekwentne lub samobójcze. Strach przed odmową; strach przed hańbą, którą taka odmowa okryje. Bo przecież nie ma innej historii Polski poza tą, która



rozgrywa się w powstaniach, więc jeżeli odmówisz swego udziału lub nie wydasz do niego rozkazu, jeżeli wyłamiesz się z tej nieustannej procesji pokoleń na ofiarny stos, pozostawisz po sobie w historii tylko puste miejsce, a przy swoim nazwisku tylko tę jedyną wiadomość, żeś odmówił.

Tak myślał Chłopicki, kiedy odmówił przyjęcia dyktatury i spiskowcom, którzy go o to błagali, oświadczył, że idzie spać. Mochnacki i jego epigoni napisali, że zabawiał się potem grą w karty, ale ja w to nie wierzę, choćby dlatego, że nie zebrałby partii, a jeśli nawet, to grając myślał o czym innym. Z miasta dochodziły odgłosy salw i pojedyncze wystrzały. Chłopicki nie był już w czynnej służbie. Wystąpił z wojska, bo nie mógł pogodzić się z carewiczem. Miał poczucie porządku, honoru i prawa. Wystąpić przeciw carowi, któremu złożył przysięgę, znaczyło dlań tyle, co znieważać sztandar i mundur. Należał do generacji, dla której więcej znaczył król niż narodowy kolor. Nie znosił carewicza, ale wierzył, że go stąd car w końcu zabierze i wejrzy w nieporządki panujące w poddanym kraju. Gdyby był w służbie czynnej i zażądano od niego, aby poszedł poskramiać Belgów, spełniłby rozkaz bez szemrania, podobnie jak na rozkaz Napoleona poszedł do Hiszpanii. Sądził, że będąc dobrym żołnierzem jest dobrym Polakiem. Był głęboko przekonany, że ci, co teraz rozdają broń ludowi, strzelają do pułków wiernych przysiędze i mordują generałów, są złymi żołnierzami, złymi Polakami i na ojczyznę ściągają straszne nieszczęście. Był zadowolony, że odmówił wodzostwa, ale zasnąć nie mógł,

Rano przyjął dyktaturę. Nie wiadomo – zdaje się – kto go do tego namówił. Ktokolwiek to był, przemówił do niego pewnie jego własnym językiem, bo innego by generał nie zrozumiał: ratuj honor, prawo, ratuj nasze instytucje i nasz dorobek, bo to tylko, co mamy, jest dzisiaj naszą ojczyzną. Ratuj ojczyznę.

Tajemnica ojczyzny, tajemnica wspólnoty narodowej: każdy rozumie ją po swojemu – jak to ma złożyć się w całość? Spiskowcy chcieli ratować ojczyznę przez mord na Księciu. Chłopicki ratował ojczyznę, ochraniając Księcia i jego wojsko, Mochnacki ratował ojczyznę, wzywając do zamordowania Chłopickiego, a ludzie Chłopickiego ratowali ojczyznę, uganiając po mieście za Mochnackim, aby go zabić. Wypadki biegły na złamanie karku. Chłopicki przyjął dyktaturę z misją powstrzymania ich biegu. [...]



### 34. „Po cóż walczyć przeciwko mocniejszemu...?”

[Adam Mickiewicz, *O naszych żołnierzach w Prusach i w Rosji tudzież o systemacie wojowania pożytecznego* [w:] *idem, Adam Mickiewicz, Dzieła*, t. 6: *Pisma prozą*, cz. 2, oprac. Leon Płoszewski, Warszawa 1952]

Odebraliśmy w tych dniach listę imienną żołnierzy i podoficerów polskich zatrzymanych w Prusach i zmuszonych pracować około fortyfikacji Grudziądza i Gdańska. Pobierają dziennie dwa grosze polskie i raz na dzień lichą dostają strawę. W Gdańsku znajduje się 382, w Grudziądzu 184, ogółem 566. Są to po największej części powstańcy Litwy i Ziem Ruskich z 1, 10, 11, 12, 13-go pułku ułanów, 1 i 6-go strzelców konnych, 1, 3, 4, 9-go strzelców pieszych oraz 4, 5 i 19-go piechoty liniowej. – Czytaliśmy także nowy ukaz cara, wskazujący żołnierzy pozostałych w kraju: jednych na flotę czarnomorską, drugich na Kaukaz i Sybir – tysiącami.

Nieszczęśliwi porwali byli broń w rękę przeciwko nieprzyjaciołom Ojczyzny. Chcieli krew za nią przelać. Ale znaleźli się ludzie rozsądni, którzy broń im kazali złożyć i nie dali im umrzeć. Bo po cóż walczyć przeciwko mocniejszemu – bez pożytku; po co umierać za Ojczyznę – bez pożytku. Pożyteczniej tedy oddać harmaty i pieniądze Moskalom – na pożytek; ręce żołnierzy zaprząć do taczek, niech pracują dla Prusaków – pożytecznie; krew ich szczerdzić, niech się leje teraz pod knutem i batem – pożytecznie.



### 35. „Póki Moskwa w Europie, nie masz Polski całej i niepodległej”.

[Maurycy Mochnacki, *O charakterze naszej emigracji* [w:] *idem, Pisma krytyczne i polityczne*, t. 2, wybór i oprac. Jacek Kubiak, Elżbieta Nowicka, Zbigniew Przychodniak, Kraków, Towarzystwo Autorów i Wydawców Prac Naukowych UNIVERSITAS, 1996]

[...] Nie walczyliśmy dla żadnej teorii politycznej. Ziemia ojczysta nie jest utopią ani metafizyką polityczną. Czegoż chcieliśmy? Być najdzielniejszym ludem Sławiańszczyzny, a Moskwę przywrócić do tego stanu nicości politycznej, z którego wyszedłszy wspólnictwem w kabale rozbioru Polski, potęgi swojej i wpływu zewnętrznego dotąd nie usprawiedliwiła żadną zasługą dla rodu ludzkiego, żadną cnotą moralną, żadną biegłością w nauce, żadnym pomysłowem dla cywilizacji zarobkiem. [...] Odciać ten lud od Europy, wskrzeszeniem Polski naznaczyć mu w Azji plac do obszernego i uczciwego zawodu, raz na zawsze uwolnić Europę od niebezpiecznego działania na jej część ruchomą nowej, nieruchomej północy, tym uwolnieniem wyjarzmić wszystkie zagadnienia społeczne spod przymusu, w jakim je dotąd Moskwa utrzymuje: ten był kolosalny zamiysł naszego powstania. W rzecz tak jasną na próżno zakraść się chciały zgłębliwne, niezrozumiałe, zawczesne między nami samymi niesnaski. Nie było stronnictw w rewolucji polskiej, wzniecić je tylko i ukształcić usiłowano. Tym jedynie usiłowaniem chromiało powstanie nasze; błąd i występki, jeśli kto śladu jego dostrzeże w toku najpiękniejszej walki, z tego tylko źródła wypłynęły. A zatem, jeżeli waśń domowa nie znamionuje naszego orężnego powstania, jeżeli w insurekcji nie było naturalnych, ukształconych rozdziałów politycznych, nie mogą one pod żadnym względem mieć miejsca w emigracji. Kto mniema, że tego dokazać zdoła w tułającej się Polsce, czego dokazać nie mógł wtenczas, kiedy o niepodległość walczyła, i sam błądzi, i innych zdania wykrzywia.

Póki Moskwa w Europie, nie masz Polski całej i niepodległej: a przed narodzeniem się na świat takiej Polski nikomu się nie godzi ani cegiełki ruszyć z tego sklepienia starożytnej Piastów i Jagiellonów budowy, którą czujność obywatelska przodków naszych 3 Maja najsilniejszym podparła filarem. Przed narodzeniem się takiej Polski nie masz dla nas w całej nauce politycznej dzisiejszych czasów nic takiego, co by rymowało z naszą rodowitą iścizną. Za czym się teraz inne ludy ubiegają, co Bóg wie kiedy osiągną i Bóg wie jakim kosztem, jakimi staraniami, to wszystko już kwitło i wybujało na naszej ziemi. Dzielna owa rzeczpospolita bardzo górnie myślała w polityce w tym samym czasie, kiedy dzicz moskiewską i pobratymcze jej Tatarzy piersiami swymi odpierała. Z uśmiechem, z dumą niechaj pogląda Polak



na wszystkie rady zachodnich społeczeństw, na wszystkie wymysły teraźniejszych polityków. Wszystko to wielcy przodkowie nasi albo przeculi, albo rozplenili w swej rzeczy społecznej, we własnym umyśle wynaleźli. Polska dzisiejsza mądrość w polityce nie zależy na przyswajaniu sobie obcych, nowych wyobrażeń, bo w tej mierze nie masz dla nas nic nowego, ale raczej na odbudowaniu tego ogromnego ciała politycznego, w którym by i dla zachodniej cywilizacji nowe, niepewne, a dla nas już stare, przetrwawione pojęcia swoje moc i zastosowanie miały. „Nie było uraz prawdziwych między stanami w rewolucji ostatniej, nie mogą być i w emigracji”. I zaiste popełniłby grzech nigdy nie odpuszczony, kto by wielki żal, rozszerzający się jak mgła w sercach naszych, zakrwawiać chciał niezgodą, która powodzenie osłabia, a nieszczęście do rozpacz przywodzi. I któż by po wielkich scenach nad Wisłą, Niemnem i Narwią, po zatrząśnięciu najogromniejszego państwa na świecie śmiał niepokoić myśl czystą tułactwa drobnymi pretensjami osób pojedynczych albo bałamutną nauką o Polsce takiej, jakiej nie było na świecie, albo wcale przeciwnej tej, jakąśmy powstawali?

Okazałem, że emigracja polska z granic najściślejszej neutralności względem wszelkich politycznych i społecznych wypadków, które ją otaczają albo otaczać będą, występować nie może bez ubliżenia i zaszkodzenia samej sobie. Starałem się także pokazać, że nikt jej stęsknionej żrenicy obróconej ku przyszłości tępić nie powinien, ani nasuwać jej podniet domowego swaru. Jesteśmy prawdziwym zakonem. Po złożeniu zbroi tylko głęboko rozmyślać, tylko dumać możemy. Trzecim charakterem naszym, który także ma swoją zasadę w ostatniej rewolucji, jest zatrudnienie umysłowe przyzwoite wielkiej niedoli.

Emigracją polską porównywać trzeba z wierzchołkiem drzewa mającego korzenie swoje we wnętrzościach ojczystej ziemi. Każde zatrząśnięcie tej napowietrznej korony jakby elektryczną mocą odezwie się koło podnóża. Tym kształtem stosunki z ziemią rodzinną utrzymywać jej nie przestaną w ciągłym wzruszeniu, a żałoba nie weźmie końca.

Paryż, d[nia] 1 lipca 1832





### 36. „Za waszą i naszą wolność”.

[Adam Mickiewicz, *O partii polskiej* [w:] *idem*, Adam Mickiewicz, *Dzieła*, t. 6: *Pisma prozą*, cz. 2, oprac. Leon Płoszewski, Warszawa 1952]

[...] W Niemczech komitety polskie były to istotnie kluby liberalne; tam przyjaciel Polaków znaczy toż samo, co przyjaciel wolności. [...] Dlaczegoż imię Polski stało się tak popularne? Bo do imienia Polski przywiązane jest wyobrażenie nie tylko wolności i równości, ale poświęcenia się za wolność i równość powszechną. Tę wyobrażenie nie zawiera w sobie dotąd żadne znajome nazwisko partii. – Tytuł demokracji oznaczał człowieka, który w swoim mieście lub kraju chce zaprowadzić równość polityczną, i nic więcej. Kantony demokratyczne w Szwajcarii żyją w zgodzie z arystokratycznymi. Demokracja amerykańska żyje w zgodzie z cesarzem Mikołajem. (Polska nie może być w zgodzie z żadnym dawnym gabinetem). Republikanin mniej jeszcze wyraża. Republikanin jest stronnikiem rządu bez króla. Ale Rzeczypospolite bardzo były różne; stąd republikanin musi dodawać do tytułu swego albo proklamację, albo konstytucję, albo datę. Musi oznaczyć, czy jest republikaninem z roku 91, czy 93 etc. Takie objaśnienia i numery nie podobają się masom. Polak jest naturalnym demokratą i republikaninem, jest więc sprzymierzeńcem tych stronnictw, ale nie przestaje na tych tytułach; domaga się od demokratów przyrzeczenia, że będą walczyć za wolność powszechną, jak on walczył i walczyć musi. Rzeczypospolita i demokracja są to tylko pierwsze święcenia przygotowujące. Polak przybierający tytuł demokracji lub republikanina zdaje się nam być podobny do biskupa, któremu by się zachciało tytułować diakonem.

[...] Miał w sobie ducha polskiego ten człowiek, który w rewolucji napisał na chorągwiach polskich: »Za waszą i naszą wolność« i wyraz »waszą« położył przed wyrazem »naszą«, wbrew całej dawnej logice dyplomatycznej. Długo by mówić o tym, jak Polacy zyskali sobie tyle zaszczytu. Historia nasza jest reszcie świata mało znana, ale historia wlała się w dusze Polaków, utworzyła Legiony, natchnęła ostatnią rewolucję [powstaniem listopadowym]. Legiony i rewolucja praktycznie pokazały ludom dążenie partii polskiej, a lud ma dziwny instynkt, trafniejszy niż wszelkie rozumowanie.

Z drugiej strony gabinety opierają się na Mikołaju; on jest widomą głową ich Kościoła; i dlatego ludy – wszystkich naszych nieprzyjaciół, wszystkich nieprzyjaciół wolności, uważają za Moskałów. Zostawmy im ten tytuł, chociaż prawdziwiej ochrzcić by ich należało »carystami«. Nie dość jest nazywać systemat rządów teraźniejszych



despotyzmem. Despotyzm jest stary, caryzm jest nowy i oryginalny systemat. Despotyzm ograniczał się na ciemieniu poddanych i często bywał w zgodzie z sąsiadami republikańskimi; caryzm jest połączony z propagandą, z natury swojej musi podbijać i rozszerzać się. Despotyzm bywał często ciemnością tylko bierną, niedostatkami światła; caryzm jest ciemnością czynną, jest prawdziwym szatanem politycznym. – I to lud zgaduje. Patrzmy na dzieci! Gdziekolwiek na ulicach udają wojnę, dzielą się zaraz na Polaków i Moskalów. Prawda zakryta mędrcom nieraz objawia się dzieciom. – Ale jeśli tytuł Polaka tak wiele znaczy, wielkie i ciężkie przywiązane są do niego obowiązki.

[Hasło „Za naszą i waszą wolność” sformułował w pierwszych tygodniach powstania listopadowego Joachim Lelewel, który apelował, by znalazło się one na sztandarach wojska polskiego, wyrażając w ten sposób jeden z celów wolnościowych zrywu Polaków. Adam Mickiewicz zmienił więc – choć jak wynika z tekstu – nieświadomie – pierwotnego brzmienie hasła, określając w ten sposób cel radykalniejszej części polskiej emigracji politycznej].



### 37. Rozsądni i szaleni.

[Adam Mickiewicz, *O ludziach rozsądnych i ludziach szalonych* [w:] *idem*, Adam Mickiewicz, *Dziela*, t. 6: *Pisma prozą*, cz. 2, oprac. Leon Płoszewski, Warszawa 1952]

Pierwsze zjawienie się historyczne w Polsce ludzi na urząd rozsądnych i z profesji dyplomatów przypada na czasy pierwszego rozbioru Rzeczypospolitej. Kiedy haniebnemu sejmowi Ponińskiego radzono podpisać akt samobójstwa, nie śmiano już do Polaków przemawiać językiem starym, wzywać ich w imię Boga, w imię powinności, trzeba było stworzyć język nowy; rozprawiano więc o okolicznościach czasu, miejsca, o trudnościach, o nadziejach; nareszcie zaklinano obywateli w imię rozsądku, aby przestali czuć po obywatelsku. »Gdzież rozsądek – wołano – chceć opierać się woli trzech dworów? Gdzie są środki oparcia się? Czy jest czas po temu? Czy nie lepiej część poświęcić, aby resztę zachować; ze skołatanego statku Rzeczypospolitej wyrzucić, dla ulżenia mu, kilka województw; od chorego ciała Rzeczypospolitej dać odciąć część, której nie podobna uzdrowić?« Etc. etc. etc. Tak sprawa ojczysta wpadła od tej chwili na języki sofistów. Poczciwi posłowie, szczególnie z głębi prowincyj przybyli, słuchali z podziwieniem nowych dla Polaka rozumowań; nie umieli, nie chcieli nawet wdawać się w rozprawy, zatykali uszy na podobne bluźnierstwa; polskim rozumem, polskim sercem nie mogli pojąć ani uczuć, jak to sejm miałby Rzeczpospolitą rozdzierać, bliźnich swoich, spółobywateli w niewolę zaprzedać. Odpowiedziano im, że sejm posiada *la souveraineté*! Przybiegli na pomoc ludziom rozsądnym dyplomaci, zbrojni w obosieczne słowa aliansów, gwarancji, traktatów, kartonów, neutralności, i nareszcie wzbogacili słownik nasz wyrazem kordon, nad którym niegdyś tak dumali politycy nasi, jak potem nad interwencją i nieinterwencją. Zgraja głupców i ludzi bezdusznych wstydziła się przyznać, że tych wyrazów nie rozumie, rada była popisać się z nauką szermując nimi. Rejtan po raz ostatni przemówił starym językiem zaklinając na rany Boskie, aby takiej zbrodni nie popełniać. Ludzie rozsądni okrzyknęli Rejtana głupcem i szalonym; naród nazwał go wielkim; potomność sąd narodu zatwierdziła.

Kiedy konfederaci barscy broń podnieśli, znaczna część narodu podzielała ich uczucie, ale rozsądek i polityka tak się rozszerzyły między szlachtą, że zamiast wsiadania na koń zaczęto rozważać, czy sposobna była pora oczekiwać odpowiedzi z Wiednia, posiłków z Francji etc. Nareszcie konfederaci napadli Stanisława Augusta; krzykniono, że splamili honor narodowy! Konfederatów potępiono jako szalonych awanturników; naród i potomność inny wydały o nich wyrok.



Kiedy na sejmie czteroletnim Korsak w każdą materię wtrącał dwa słowa: »Skarb i wojsko!«, »Wojsko i skarb«, zaklinając teoretyków, aby zamiast tylomiesięcznego rozprawiania o prawach kardynalnych zaczęli od poparcia tych czynem, wojną – ludzie rozsądni za to, że Korsak często parlamentarskich form nie przestrzegał, nazwali go głupim, stronnicy Moskwy – szalonym.

Kiedy Kościuszko stanął na czele narodu, kiedy Warszawę oswobodzono, Stanisław August przyjmując deputację rewolucyjną rzekł na pół z płaczem: »To jest wszystko piękne! *C'est sublime!* Ale, Mości Dobrodzieje, czyż to rozsądnie? Cóż to z tego będzie?« – Kościuszko umarł na wygnaniu, ale zwłoki jego złożył naród w grobach królów naszych. Stanisław August, rozsądny, pochowany był z honorami królewskimi – w Petersburgu. [...]



### 38. „Niechaj nas przecie widzą...”

[Juliusz Słowacki, *Pogrzeb kapitana Meyznera* [w:] Juliusz Słowacki, *Dzieła wybrane*, red. Julian Krzyżanowski, t. 1: *Poezje*, oprac. Eugeniusz Sawrymowicz, Wrocław–Warszawa–Kraków–Gdańsk–Łódź, Zakład Narodowy imienia Ossolińskich – Wydawnictwo, 1990]

Wzięliśmy biedną trumnę ze szpitalu,  
Do żebrackiego mieli rzucić dołu;  
Ani łzy jednej matczynego żalu,  
Ani grobowca nad garstką popiołu!  
Wczora był pełny młodości i siły –  
Jutro nie będzie nawet – i mogiły.

Gdyby przynajmniej przy rycerskiej śpiewce  
Karabin jemu pod głowę żołnierski!  
Ten sam karabin, w którym na panewce  
Kurzy się jeszcze wystrzał belwederski,  
Gdyby miecz w sercu lub śmiertelna kula –  
Lecz nie! – szpitalne łóżo i koszula!

Czy on pomyślał – tej nocy błękitów,  
Gdy Polska cała w twardej zbroi szczękła,  
Gdy leżał smętny w trumnie Karmelitów,  
A trumna w chwili zmartwychwstałej pękła.  
Gdy swój karabin przyciskał do łona –  
Czy on pomyślał wtenczas, że tak skona?!

Dziś przyszedł chciwy jałmużny odźwierny  
I przyszły wiedmy, które trupów strzegą,  
I otworzyli nam dom miłosierny,  
I rzekli: „Brata poznajcie waszego!  
Czy ten sam, który wczora się po świecie  
Kołatał z wami? – Czy go poznajecie?”

I płachtę z głowy mu szpitalną zdjęto,  
Nożem pośmiertnych rzeźników czerwona;  
Żrennicę trzymał na blask odemkniętą,



Ale od braci miał twarz odwróconą;  
Więceśmy rzekli wiedmom, by zawarły  
Trumnę, bo to jest nasz brat – ten umarły.

I przeraziła nas wszystkich ta nędza,  
A jeden z młodszych spytał: „Gdzież go złożyć?”  
Odpowiedziała mu szpitalna jędza:  
„W święconej ziemi, gdzie przez miłość bożą  
Kładziemy poczet nasz umarłych tłumny,  
W jeden ogromny dół – na trumnach trumny”.

Więc ów młodzieniec, męki czując szczere,  
Wydobył złoty jeden pieniądz drobny  
I rzekł: „Zaspiewać nad nim Miserere,  
Niechaj ogródek ma i krzyż osobny...”  
Zamilkł: a myśmy pochylili głowy,  
Łzy i grosz sypiąc na talerz cynowy.

Niech ma ogródek – i niech się przed Panem  
Pochwali tym, co krzyż na grobie gada:  
Że był w dziewiątym pułku kapitanem,  
Że go słuchała rycerzy gromada,  
A dziś ojczyźnie jest niczym nie dłużny,  
Chociaż osobny ma kurhan – z jałmużny.

Ale Ty, Boże! który z wysokości  
Strzały Twe rzucasz na kraju obrońcę,  
Błagamy Ciebie przez tę garstkę kości,  
Zapał przynajmniej na śmierć naszą – słońce!  
Niechaj dzień wyjdzie z jasnej niebios bramy,  
Niechaj nas przecie widzą – gdy konamy!

Paryż, d[nia] 30 października 1841 roku

[Józef Meyzner (1803–1841), prawnik, absolwent Uniwersytetu Warszawskiego,  
był członkiem Sprzysiężenia Podchorążych. Krótko przed wybuchem powstania



listopadowego został uwięziony przez Rosjan. W czasie powstania należał do Towarzystwa Patriotycznego. Uczestniczył w zorganizowanej przez nie w styczniu 1831 roku w Warszawie demonstracji ku czci dekabrystów, powieszonych za udział w buncie przeciw Mikołajowi I. „Orszak ruszył z pałacu Kazimierzowskiego. Otwierał go kapitan Meyzner, niosąc na żałobnym wezglowiu, zamiast korony lub orderów, trójkolorową kokardę, godło europejskiej wolności” – relacjonował inny uczestnik demonstracji, wybitny pisarz polityczny, Maurycy Mochnacki (*Manifestacja ku czci dekabrystów* (w:) idem, *Pisma krytyczne i polityczne*, t. 2, wybór i oprac. Jacek Kubiak, Elżbieta Nowicka, Zbigniew Przychodniak, Kraków 1996). W czasie wojny z Rosją, w stopniu porucznika, a następnie kapitana, Meyzner służył w 9 pułku piechoty, biorąc m.in. udział w obronie Warszawy we wrześniu 1831 roku. Po klęsce powstania przebywał na emigracji we Francji, gdzie żył w skrajnej nędzy. Wiersz Juliusza Słowackiego poświęcony kapitanowi Meyznerowi jest jednym z najbardziej przejmujących utworów literackich, oddających dramat losów polskiego wychodźstwa po klęsce powstania listopadowego].





### 39. „Niczyjej pomocy nie odrzucamy, ale w niczyją pomoc nie wierzymy!”

[Maurycy Mochnacki, *Pismo okólne oficerów, podoficerów i żołnierzy z zakładu Auxerre do rodaków na emigracji* [w:] idem, *Pisma krytyczne i polityczne*, t. 2, wybór i oprac. Jacek Kubiak, Elżbieta Nowicka, Zbigniew Przychodniak, Towarzystwo Autorów i Wydawców Prac Naukowych UNIVERSITAS, Kraków 1996]

[...] Dotąd w znacznej części rodaków składających Emigrację panowało i panuje wyobrażenie, że Polskę dźwigną z upadku ludy europejskie na drodze **rewolucji społecznej** powszechnej, w dniach lipcowych nagle wznowionej po długiej przerwie, i równie nagle zatrzymanej. Znaczna większość Emigracji tak myślała i tak myśli jeszcze. Sam postęp wieku, podług tego mniemania, miał nas wrócić ojczyźnie. Przeciwnie znaczna mniejszość sądziła: że taka rewolucja jest jeszcze daleka albo niepodobna, i że prędzej Polska powstanie na drodze wojny rządów z rządami, gabinetów z gabinetami, bez powszechnego wstrząśnienia społecznego.

Pierwsza opinia przemogła w Emigracji. Stąd wychodziliśmy jako z zasady fundamentalnej w ustanowieniu naszych komitetów – w ich organizacji – w wyborze nawet osób, któreśmy do nich powoływali. Rewolucja ludów przeciwko tronom zajęła nas całkiem w naszym szczupłym obrębie. W tym wielkim, świetnym widoku staraliśmy się zawczasu, jako emigracja, oznaczyć położenie nasze tak wobec rządów, jako też nieprzyjaznych im stronnictw, ledwo nie na każdym punkcie w Europie. W nadziei bliskiej rewolucji powszechnej działo się dotychczas wszystko prawie, co się tylko działo w Emigracji. Pod tym wpływem, dla ludzi z żywą imaginacją wszechmocnym, miały miejsce wyprawa do Szwajcarii, wyprawa do Polski [mowa o partyzantce Józefa Zaliwskiego]. Na koniec pod tym wpływem uwaga wielu współbraci obróciła się na stan społeczny Polski – i na tej to drodze powstała sekta między nami, która przybrała nazwisko Demokracji, sekta, która zdaje się wierzyć w to, że jest pożytecznie i politycznie zalecać dzisiejszej Polsce rewolucją społeczną, bez żadnego środka poruszenia mas ludności krajowej, które jej nie rozumieją, a z narażeniem i obrazą jedynych, jakie pozostały, środków insurekcji.

Jakiegolwiek jednak konsekwencje mogły wypłynąć z tego dotąd w Emigracji przeważnie utrzymującego się wyobrażenia o **rewolucji społecznej** powszechnej, nie chcemy go bynajmniej osłabiać. I my wierzymy w postęp czasu! Ale nie sądzimy, żeby ten postęp dał się naprzód oznaczyć i z jakąkolwiek wyrachować pewnością. Być może, że rewolucja ogólna europejska nada w mgnieniu oka inny kształt tej części



świata; ale być także może, że to nie tak prędko nastąpi, bo to, co jest powszechne i niezmierne, zdaje się potrzebować dłuższych przeciągów czasu.

Podług nas: pomoc ludów jest więc równie problematyczną, równie pełną zagadek, jak wiara w pomoc rządów.

Powtarzamy raz jeszcze: te obiedwie opinie same w sobie uważane mogą mieć swoją prawdziwość i sumiennność, której im nie zaprzeczamy; lecz rozum nie dopuszcza przyjąć jedną lub drugą za prawidło postępowania naszego w Emigracji.

Dla Polski i dla Emigracji, szanowni ziomkowie, trzeba czegoś prędszego, trzeba czegoś pewniejszego. Dzieło zagłady narodu szybko postępuje. Ciemieńczy Polski wynajdują codziennie środki zniszczenia gwałtowne, wprost do celu trafiające – a my środki ratunku mielibyśmy odkładać na lata i dziesiątki lat?

W położeniu dzisiejszym narodu polskiego jest równie nieużytecznie, równie niebezpiecznie oczekiwać pomocy ludów, jak oglądać się na wojnę między rządami i na skutki, jakie by stąd dla nas wyniknąć mogły. Inne ludy, chociaż ujarzmione, mają jeszcze o czym dotrwać do chwili wybawienia swego: my, Polacy, nie! My się w innym położeniu znajdujemy. Nasze godziny są policzone! My musimy się prędzej zbawić niżeli inni, bo prędzej daleko ulec możemy pod ciężarem naszej niedoli.

Ojcowie nasi przed rozbiorem Polski wierzyli, że interes równowagi europejskiej nie dopuści zniknąć Polszcze z rzędu mocarstw niepodległych. Była to więc wiara w pomoc i sympatią polityki całej oświeconej Europy. Ta wiara rosła w Polszcze w miarę wzrostu potęgi Moskwy, Prus i Austrii – i Polska podzielona została. Dzisiaj wierzymy, że Polszcze po tylu bezskutecznych powstaniach nie da umrzeć wielki interes rewolucji społecznej powszechnej. Miałożby być w charakterze naszym pierwszej upadać, a teraz na koniec zginąć, w skutku tego samego nigdy nie poprawionego błędu?

Komuż bardziej jak nam, rodacy, przyszałoby wyrzec z całą dumą, jaką nas tylko nieszczęście natchnąć może, z całą godnością naszej niedoli: „Niczyjej pomocy nie odrzucamy, ale w niczyją pomoc nie wierzymy!”

Wiara niegdyś w politykę równowagi pozbawiła nas udziałnego bytu: wiara w politykę rewolucji pozbawia nas teraz środków ratowania się w ostatecznej niemal zagładzie. Spróbujmy więc, nauczeni okropnym doświadczeniem, nie spuszczać się na nikogo, ani na ludy, ani na rządy; na ludy dlatego, że ich powolne i częściowe na drodze rewolucyjnej poruszenia zbyt wiele czasu zostawiają tyranom Polski do wytępienia ze szczętem całego rodu naszego; na rządy dlatego, iżby w każdym wypadku, wtedy nawet, gdyby wojnę ze sobą prowadziły, okazały się łatwe i gotowe poświęcić interes egzystencji naszej innym pobocznym względom, jak tego mieliśmy



tyłokrotne przykłady.

Rodacy! Wszystko, co do was mówimy w tym przedmiocie, zmierza do okazania, że przyszedł czas, w którym by na koniec należało położyć kres marzeniom. Marzeniem jest wszelkiej natury obca pomoc wobec środków, jakich używa Święte Przymierze przeciwko narodowi polskiemu; z tego względu jest marzeniem nie tylko **dplomatyka** – jest równie marzeniem rewolucja powszechna.

Daleko mędrzej, daleko bezpieczniej będzie powiedzieć nareszcie samym sobie, powiedzieć po raz pierwszy od lat stu: rachujemy na wszystko, co wypaść może, ale się na nic nie spuszczamy i nie wierzymy w nic, tylko w **samych siebie**.

Naród, który nie przestał być jeszcze narodem, który jeszcze chce być narodem, w jakimkolwiek stanie się znajduje, tylko sam siebie uratować może. My, szanowni ziomkowie, wierzymy w siłę i w życie narodu polskiego. Wierzymy w to: że dla kilkudziesięciu milionów Polaków, gdy chcą jednej rzeczy, nie masz nic niepodobnego nawet w dzisiejszym, choć tak okropnym położeniu.

Powiedzcie nam, bracia: czy dzielacie z nami to przekonanie?

[...]

Auxerre (Yonne), dnia 23 października 1834 r.

Stefan Dembowski, major; Leon Wolicki, kapitan; Antoni Olszewski, kapitan; Roman Kłobukowski, podporucznik; Józef Bajerski, kapitan; Adolf Groza, podporucznik od ułanów; Izidor Guzkowski, kapitan; Bernard Stempczyński, porucznik; Ant[oni] Walewski, porucznik; Maksy[milian] Zagórowski, porucznik; Józef Skorutowski, podporucznik; Ignacy Mokrzycki, porucznik; Teodor Jasieński, podporucznik; Telesfor Kiersz, porucznik; Maurycy Mochnacki, porucznik; Józef Zagórowski, podporucznik; Franciszek Zagórowski, podporucznik; Dominik Renkiewicz, podoficer; Chryzostym Bogucki, żołnierz; Julian Żukowski, podporucznik; Jan Płachecki, major; A. Szmidt, lek[arz] bat.; Teofil Żukowski, podporucznik.



## 40. Egzekucja w syberyjskim Omsku

[Z pamiętnika Franciszka Knolla (fragment *Męczeństwo księdza Sierocińskiego i współtowarzyszy*), „Goniec Wielkopolski” 1883, przedruk za: *Zesłanie i katorga na Syberii w dziejach Polaków 1815–1914*, oprac. Anna Brus, Elżbieta Kaczyńska, Wiktoria Śliwowska, Warszawa, Wydawnictwo Naukowe PWN, 1992]

[...] W Omsku oprócz mnie 5 Polaków służyło w artylerii: Grudziński, Kalinowski, Babiński, Stolarczyk z Krakowa, Wróblewski z Krakowskiego i ja szósty. Przebyliśmy tam lato i zimę, i nie mogę narzekać, że dosyć łagodnie z nami się obchodzono. [...] Tak przeszedł jeden roczek na wygnaniu w Omsku. Był też do tejże fortecy przeznaczony ksiądz kanonik Sierociński i Misiurewicz do 5 Pułku Kozaków. [...] Jednego razu w niedzielę przyszedł do naszych koszar ów kozak Woróżbiciuk z teorbanem do Polaków, którzy również w tej brygadzie ze mną służyli. [...] Z jakimi zamiarami przyszedł ów kozak do koszar, nie wiedziałem, bo zaraz wyszedłem do moich kolegów, którzy w mieście po kwaterach mieszkali. [...] W kilka tygodni później kilku wyrodnym Polaków denuncjowało rodaków służących w Omsku w wojsku przed generałem brygady. Polaków żołnierzy liczyliśmy naówczas w Omsku 800. [...] Plotki te, których ci nieszczęśni chcieli użyć na oczernienie pułkownika przed władzą, wyszły tylko od owego kozaka. Podług jego opowiadania wszyscy Polacy mieli się umówić, aby wszystkich urzędników starszych nocną porą wyrznąć w pień, prochy zapalić i działa zagwoździć. Nawet dzień oznaczyli, w którym miano to wykonać. [...]

Została wyznaczona komisja [śledcza]. Z Tobolska przywieziono kilkunastu moich kolegów, z którymi siedłem na Sybir z Kijowa; m.in. Szokalskiego i Drużyłowskiego. Na koniec uwięziono kanonika Sierocińskiego i Misiurewicza. Niektórzy nawet w pułkach, oddalonych o 500 i 800 wiorst od linii Irtyszu, byli aresztowanymi, jeżeli u nich znaleziono jaki list od przyjaciela. Polaków więźniów było 464; aresztowano także kilku Rusinów.

Na mnie wreszcie także przysła kreska! Do oskarżenia i aresztowania wystarczyło, aby Moskał podsłuchiwał, gdy Polacy pomiędzy sobą mówili o tej sprawie, i że ten a ten był z nami. A chociaż Moskał dobrze po polsku nie rozumiał, przecież aresztowano na jego donos.

Otóż w taki sposób i ja byłem aresztowany. Wspomniani przeze mnie Wróblewski i Grudziński wplątali mnie przy swej indagacji. [...] Ja, pytany wręcz, powiedziałem, że nie miałem nigdy zamiaru należenia do powstania. Chcieli mnie koniecznie pochwycić. Mieli złość do mnie, ponieważ uczyłem synka pana podpułkownika, i myśleli, że dostaję za moją usługę wielkie wynagrodzenie. [...] Komisja wstępna



skazała wielu z nas na karę śmierci. Po rozpatrzeniu sprawy w Petersburgu kara śmierci została zmieniona na karę cielesną, a po wytrzymaniu tej kary jeszcze zesłanie do robót na 15 lat. [...] My zaś byliśmy osądzeni na następujące kary: kanonik ksiądz Sierociński na 6 tys. kijów. Drugim skazanym był Ksawery Szokalski, doktor. [...] Szokalski w sprawie omskiej został był także osądzony na 6 tys. kijów, Drużyłowski również, Podgórski z Galicji, staruszek 80-letni, na 5 tys. kijów; Melodyni z Petersburga, inżynier, na 6 tys. kijów. [...] Ci wszyscy zostali pozabijani tymi moskiewskimi kijami, oprócz jednego Szokalskiego, który miał kolegę doktora przy wojskowym lazarecie w fortecy w Omsku. Byli kolegami na uniwersytecie i przyjaciółmi. Doktor ten szpitalny był назначonym jako ordynator przy chłóście.

Egzekutorem do wypełnienia wyroku był generał Gałafiejew. Twarz jego była groźna, zyzowaty, ryży i dziubaty, bo go ospa zeszpeciła. Z twarzy jego poznać można było, że to łotr skończony. Ten rozkazywał całym dwóm szeregom żołnierzy, którzy stali z kijami twarzą do siebie po dwóch stronach, a krzyczał, aby jak najmocniej bili. Z drugiej strony szedł ów doktor, Polak, i również krzyczał: *Rebiata, legcze biejta!*

Na słowa doktora niektórzy zważali i lżej bili. Przyszło do gwałtownej sprzeczki pomiędzy generałem a doktorem. Ten też tylko uratował od śmierci Szokalskiego. Gdy 5 tys. kijów na jeden raz wytrzymał, wtenczas doktor zaskoczył mu drogę i nie pozwolił mu przejść ostatniego tysiąca.

Zemdlące i zbite bez pamięci ofiary okrucieństwa moskiewskiego odwieziono do lazaretu, gdzie pod lekarze dali żywym nieco pomocy. Ja odebrałem 3 tys. kijów. Wróblewski, kozak Woróżbiciuk i Stolarczyk Babiński również 3 tys., Kalinowski tylko 500. Przy życiu zostało tylko nas trzech, tj. ja, Babiński i Woróżbiciuk. Jeden z pierwszych denuncjantów także odebrał 3 tys. kijów. Egzekucja ta odbyła się w r[oku] 1837 d[nia] 2 marca w fortecy w Omsku, trwała od 9 godziny z rana do godziny 4 po południu. [...]

Była 8 godzina wieczorem. Wtedy nasamprzód poszedłem do łóżka księdza kanonika Sierocińskiego i dra Szokalskiego. Zaraz starałem się być im pomocą, jak tylko mogłem. Uprosiłem felczera, że i Szokalskiemu przeciął żyłę u lewej ręki. A księdzu kanonikowi Sierocińskiemu żadne środki nie pomogły; krew zupełnie się zgrupowała, o godzinie 4 po północy zasnął w Bogu. O godzinie 5 rano umarł Drużyłowski i Melodyni, a na drugi dzień wieczorem Kalinowski. Podgórskiego, którego wzięli martwego z placu egzekucji, złożyli do śmiertelnicy. Mąż ten został zabitym po odebraniu 500 kijów. Ponieważ jednakże nie odebrał jeszcze przeznaczonej liczby kijów, przeto martwego już włożono na sanie i rozciągnięto na słomie. Ręce jego na przód sani były przywiązane, dwóch żołnierzy ciągnęło sanie, inni z obu stron



martwego siekli tak, że sękami źle obłamanych kijów poprzebijali w ciełe dziury. Przez nie kiszki widać było, a po bokach gnój ciało osmarował. [...]

[Autor pamiętnika pochodził z Wielkopolski. Po wybuchu powstania listopadowego przekradł się do zaboru rosyjskiego i wstąpił do armii polskiej. Służył w artylerii. Wzięty do niewoli, zbiegł, lecz został schwytany podczas próby przekroczenia granicy austriackiej i pieszo wysłany do Omska na Syberii, gdzie wcielono go do armii rosyjskiej. Po sprawie omskiej został zesłany do Nerczyńska, gdzie po pewnym czasie uzyskał prawo wolnego osiedlenia. Do rodzinnej Wielkopolski wrócił w 1858 roku].





## 41. „Z Udyńska do Irkucka jest jeszcze wiorst pięćset”.

[Z pamiętnika Justyniana Rucińskiego, *Konarszczyk 1838–1878. Pamiętnik zesłania na Sybir*, Lwów 1895, fragment *Pieszo etapami na katorgę*, przedruk za: *Zesłanie i katorga na Syberii w dziejach Polaków 1815–1914*, oprac. Anna Brus, Elżbieta Kaczyńska, Wiktoria Śliwowska, Warszawa, Wydawnictwo Naukowe PWN, 1992].

Jest porządek, był wówczas przynajmniej, że przestępców i zbrodniarzy, napływających z całej Rosji, wysyłano z Tobolska w głąb Syberii raz na tydzień w pewnej określonej ilości nazwanej „partia”. I nas też podzielono na oddziały i wysyłano oddziałami, przy partii. Był przy tym wydany rozkaz, bardzo dla nas szczęśliwy, aby nas nie łączono ze zwyczajnymi aresztantami, tj. abyśmy w marszu szli za partią, a na etapach osobno pomieszczani byli. Etapy są to budynki rządowe, najzupełniej jednakowe, rozstawione wzdłuż głównej drogi od Tobolska do Irkucka i do nerczyńskich kopalni. Co stacja jest półetap, gdzie partie nocują, zaś co dwie stacje stoi etap. gdzie znów partie dzień cały wypoczywają, a ten wypoczynek nazywa się „dniówka”. Każdy etap ma naczelnika, oficera z komendą złożoną z kilkudziesięciu inwalidów i kilkunastu konnych kozaków. Siła ta zbrojna przeprowadza aresztantów od półetapu, na którym zdybuje i przyjmuje partię do swego etapu i potem, po dniówce do półetapu następnego. Otóż przy jednej z takich partii wysyłano nas ośmiu: dwóch braci Jarzynów, Leopolda Niemirowskiego, Walerego Kossakowskiego, Tomasza Mrozowskiego, Fortunata Grabowskiego, Adolfa Roszkowskiego i mnie. Wyszliśmy z Tobolska dnia 1 kwietnia 1839 roku Była jeszcze zima. Bagaże aresztanckie wieziono saniami.

Tutaj zaczęło się bytowanie, któremu trudno właściwą dać nazwę, trudniej jeszcze dać o nim dokładne pojęcie. Zdaje się, większej nędzy nie ma już na świecie. Składały się na nią: codzienny 18–25-wiorstowy marsz w kajdanach, nocleg w więzieniu na brudnych deskach, zwanych „nary” – brak bielizny, ubrania i obuwia, nędzny pokarm, a dalej głód zupełny – słoty, upały, mrozy, wśród których trzeba było iść dalej i dalej koniecznie – nieustanny widok aresztantów, ich życia pełnego najcyniczniejszej rozpusty, zwykle tolerowanej przez przekupione etapowe komendy; oderwanie zupełne od przeszłości wśród niezmierzonej syberyjskiej pustyni, brak wszelkiej wieści o pozostałych żonach i rodzinach, i niemożność przesłania im choćby jednego słowa, jakiegokolwiek znaku życia – ciężkie zgnębienie ciała fizycznym trudem, ducha zaś niepokojem i tęsknotą – oto jest słaby wizerunek ówczesnej niedoli naszej. [...]

Nie mieliśmy żadnych ksiąg, prócz Ewangelii i do nabożeństwa; nie było



najmniejszej komunikacji ze światem. Etap stał na równinie pokrytej brzoźowymi krzakami, ciągnącymi się bez końca. Wszędzie pustynia bez ruchu, bez życia. [...] Rząd płacił każdemu sześć groszy dziennie na codzienny pokarm, mieliśmy tedy 48 groszy. W guberni tobolskiej, bardzo taniej, jakoś to wystarczało i głodu nie było. Z rana każdy miał kufel mleka z bułką – na obiad barszcz lub krupnik z mięsem, zgotowany w takiej ilości, że wystarczało i na posiłek wieczorny. Zjawiły się szachy z chleba, warcaby wystrugane z drzewa, szachownice z foremnyymi kwadratami na arkuszach papieru. [...]

Poszliśmy naprzód. Ciepło wzmogło się bardzo. Nastąpiły upały. Aby spiekoty uniknąć, wyprowadzano partię do dnia, między drugą a trzecią po północy. Nie zawsze to pomagało, szczególnie gdy stacja zdarzyła się dłuższa. Zwykle dawano dwie jednokonne podwódkę pod nasz mizerny bagaż. Jeżeli *zwoszczyk*, zwykle właściciel wozu, był dobry człowiek, co się często zdarzało, to można było przysiąc i wypocząć. Ale niekiedy zamiast dwóch wozów był tylko jeden. Wtedy koniecznością było iść ciągle piechotą. Znużenie wówczas było ogromne; ledwie sił starczyło dobrnąć do etapu. [...]

Upały wielkie, komarów nieprzebrane roje. Ilość ich, wielkość i zjadliwość niewypowiedziane i niezapomniane. Etapowi żołnierze wykurzają izby sianem. Gdy dym zrobi się tak gęsty, że odetchnąć nie można, otwierają okna, przez które, wraz z dymem, uciekają komary. Niewiele to jednak pomaga. Mieliśmy twarze poranione żądłami tego bestialstwa. To w nocy; w dzień zaś powietrze wypełnione rojami muszek mikroskopijnej małości, zasypujących oczy, wciskających się w uszy, nos i usta. Włoszanie noszą włosienne, gęste maski, broniące od napadu tej muszki. Nie miałem za co kupić, więc cierpiałem, jak cierpieli biedni koledzy. [...]

Ostatnich dni lipca przyszliśmy do Tomsku. Przebyliśmy dni kilka w dwupiętrowej, murowanej turmie, niezaprzeczenie najwspanialszym wówczas gmachu w tym gubernialnym mieście, po większej części drewnianym, ładnie położonym nad rzeką Tom zwaną. Najważniejszymi mieszkańcami byli bogaci poszukiwacze złota. Mieliśmy sposobność spojrzeć na miasto, bo nas wzywano do rządu gubernialnego. Tam, najniespodziewaniej wręczono nam listy od rodzin. Ja dostałem trzy od mej żony; przy jednym było sto rubli asygnacyjnych. Po cóż bym silił się wypowiadać wzruszenia duszy przy czytaniu tych listów! Na ich odmalowanie w żadnej mowie ludzkiej właściwych słów nie ma.

Wdzięczność za odebranie listów w Tomsku należy [się] ludzkim uczuciom tobolskiego gubernatora Tałyzina. On je wysyłał z przyłączonymi pieniędzmi nie do Irkucka, lecz do Tomsku, właśnie dlatego, abyśmy w drodze moralne i materialne



wsparcie znaleźli. Mniej ludzki gubernator tomski oddał nam listy tylko. Z przysłanych pieniędzy nie dał ani grosza i przez to naraził nas na bardzo ciężkie cierpienia. Już w Tomsku chleb był drogi. W guberni jeniejskiej trafiliśmy na ogólny nieurodzaj. Funt chleba kosztował pięć groszy i z trudnością znaleźć go można było – my zaś mieliśmy po sześć groszy dziennie, które rząd płacił. Nic więcej. Był tedy funt chleba na dobę i zostawał grosz jeden, za który cóż było? – trochę soli do chleba. Młodzi, zdrowi przeszedłszy co dzień wiorst najmniej dwadzieścia, byliśmy nękanii głodem, ale to głodem w ścisłym tego słowa znaczeniu. [...]

Cierpiąc ciągle nędzę głodową, doszliśmy do Niżno-Udyńska już w późnej jesieni. Zaczęły się chłody przenikające. Bez ciepłego i całego obuwia, źle odziani, bywaliśmy narażeni na słoty, ulewy, wiatry straszliwe, a potem na mrozy i zawieruchy. Brnęliśmy nieraz po błocie i śniegu, znużeni i głodni. I wśród takiej biedy zahartowały się młode siły nasze. W zamian za tyle cierpień Bóg nas darzył zdrowiem niewyczerpanym. Nikt z nas nie zachorował, nikt się nie przeziębiał, nikt nawet kataru nie dostał. Niechby to było przestrogą i przykładem dla młodzieży w ogólności. [...]

Z Udyńska do Irkucka jest jeszcze wiorst pięćset. Przestrzeń tę przechodziliśmy wśród zupełnej już zimy. Nic też nie pamiętam położenia kraju. Pamiętam tylko, że chłody i zawieruchy dokuczały nam często i że z radością zawsze zbliżaliśmy się do etapowego dachu. Postępując powoli, lecz ciągle, ujrzelśmy nareszcie Irkuck, zdaje się ostatnich dni listopada 1839 roku. Z Tobolska więc do Irkucka wędrowaliśmy osiem miesięcy. [...]

[Justynian Ruciński (1810–1892) był członkiem Stowarzyszenia Ludu Polskiego – organizacji niepodległościowej, której przywódca Szymon Konarski został rozstrzelany w 1839 roku w Wilnie. On sam został skazany na 20 lat katorgi, którą odbywał m.in. w kopalniach nerczyńskich]



## 42. Męczeństwo Kościoła unickiego.

[Ze wspomnień Bronisława Zaleskiego, *Notatka o powstaniu 1863 roku* [w:] *Bronisława Zaleskiego i Kajetana Cieszkowskiego nieznane relacje o powstaniu styczniowym*, oprac. Wiesław Caban i Ryszard Matura, Kielce, Wyższa Szkoła Pedagogiczna im. Jana Kochanowskiego, 1997]

[...] Kościół katolicki w naszych prowincjach liczył dwa obrządki: rzymski, czyli łaciński, i rusiński albo tzw. unicki. Ten ostatni postanowiono znieść ostatecznie, wcielając do Kościoła prawosławnego. Pierwsze ku temu kroki zrobiono w 1828 r[oku]. Wydany ukaz, zaprowadzający nowe obrządki w Kościołach unickich, zbliża [go] do obrządków Kościoła prawosławnego. Po stłumieniu powstania 1830 r[oku] wzięto się do tego z nową energią. W 1832 r[oku], d[nia] 16/28 lutego wydano ukaz przeciw bazylianom, jednemu zgromadzeniu zakonnemu Kościoła unickiego. Wkrótce potem zamknięto jego nowicjaty, a 17 lipca tegoż roku skasowano ostatecznie zakon bazyliański, a dobra jego przeszły w części do rąk rządowych, w części oddane zostały duchowieństwu prawosławnemu. Zniesiono jednocześnie prawie wszystkie seminaria unickie, nawet Akademię Duchowną tego obrządku, istniejącą w Połocku, i kazano uczniom kończyć nauki w Akademii Prawosławnej Aleksandra Newskiego w Petersburgu. Na resztę i Kolegium Unickie wcielono do Prawosławnego Synodu, którego wydział stanowić miało odtąd. Zaczęły, ale [siedemdziesięciosześcioletni] Józef Bułhak był wtenczas metropolitą unickim. Ten stały, ale tylko bierny opór stanowił rządowi. Mianowany prezesem sekcji unickiej w Synodzie, prałat Józef Siemaszko coraz więcej nabierał wpływów i całą rzecz prowadził. Dobrał sobie czterech pomocników, ludzi młodych, ambitnych, chciwych wyniesienia się władzy, którzy z nim wspólnie dokonali zguby unickiego Kościoła. Byli nimi: dawniejszy prowincjał bazyliański – Żarski, ksiądz Zubko, bazylianin Antoni i Wilhelm Łużyński. Mianowani biskupami i sufraganami: pierwszy Połocka i Orszy, drugi Litwy, ze stolicą w Żurowicach. Potworzono tymczasem nowe biskupstwa prawosławne na Litwie i Rusi, dając im nazwania dawnych diecezji unickich, w Warszawie, Połocku i na Wołyniu. Klasztor bazyliański w Poczajowie zamieniono na prywatną stolicę biskupią. Kościół Pijarów w Warszawie, ś[więtego] Kazimierza w Wilnie, a pojezuicki w Połocku – na prawosławne świątynie. W końcu 1833 roku zniesiono dawniejsze prawa patronatu w parafiach unickich, stanowiące, że odtąd rząd proboszczów naznaczać będzie. W 1834 r[oku] chciano dawne mszały i książki duchowne zamienić prawosławnymi, drukowanymi w Moskwie. Powieszono w Kościołach unickich ikonostasy i carskie wrota, jak w cerkwiach prawosławnych,



i użyto do tego wszelkich możebnych środków: postrachu, gróźb, podejścia, kar kościelnych, przekupstwa nawet. Protestacje duchowieństwa unickiego nic nie pomogły. Opierających się karano więzieniem i wygnaniem. Uczony i odważny ksiądz Pławski, proboszcz w Lubierzowie, wysłany za to z drobną siostrą do Wiatki i zrobiony dzwonnikiem [...] przy cerkwi prawosławnej. Podobny los spotkał bardzo wielu: w Drypiu, Leplu, Połocku. Zresztą przestraszeni, słabi, bojaźliwi, obarczeni liczniejszą rodziną ulegali. Ludność unicka w wielu miejscowościach stawiała opór. Czasami nawet paliła kościoły, w których zaprzestano ikonostasy, ale nie uważano na to. Przysyłano wojsko, bito stawiających opór [i] w końcu ogłaszano, że parafia cała przyłączyła się na łono prawosławnego kościoła. Groźbami, podstępą siłą od 1834 do 1837 roku z 1369 parafii unickich na Litwie i Białorusi 886, to jest większą połowę, zmieniono na parafie prawosławne. W sierpniu 1836 roku Siemaszko rozesał duchowieństwu unickiemu rotę przysięgi, którą zobowiązywać się miało [do] nie stawiania żadnego oporu w przyjęciu prawosławia, gdyby parafianie na to się zgodzili. Opór był ogólny, [a] dla złamania go użyto środków gwałtownych. Gubernatorem na Mohylewie był wtenczas sławny dzisiaj z okrucieństw na Litwie Michał Murawjew. Ten udzielał Siemaszce pomocy świeckiego ramienia. Michał Wierzbicki, proboszcz w Dąbrowie, za opór bity i męczony, wyzuty z sumienia i wysłany na Sybir. Umarł, protestując uroczystie przed śmiercią przeciw dokonywanym gwałtom. Michała Starzyńskiego, proboszcza z Sieciechowa, skazano nawet na śmierć, a po złagodzeniu wyroku, wysłano na 20 lat do ciężkich robót i tam żywota dokonał. Przeszło 160 księży wysłano na Sybir. Między skazanymi był i rodzony ojciec Siemaszki, którego jednak dla podeszłego wieku zostawiono w kraju, odart[ego] z kapłaństwa i wszelkiego mienia. Cierpienia wszystkich tych ludzi, tak świeckich, jako też i duchownych, prześladowanych za wiarę w XIX wieku, należą niezawodnie do najsmutniejszych i najbardziej zasługi pełnych. Prześladowani cierpieli za przekonania wewnętrzne, cierpieli w ciszy, nieznani całemu światu. Nie [w]spierał ich pokłask ogólny, towarzyszący zazwyczaj wyznaniom idei politycznych, a cierpieć im przychodziło bardzo wiele. Co przecierpieć musieli kapłani unicy, wysłani za karę do posług kościelnych do prawosławnych klasztorów w głąb Rosji, nie da się wypowiedzieć. Większość tego duchowieństwa, obarczona licznymi rodzinami, złamaną w końcu została. Trzej biskupi zjechali się w jesieni 1838 r[oku] w Połocku i ułożyli tu akt przystąpienia do prawosławia. Domagano się od metropolity Bułhaka, aby ten akt podpisał. Starzec oparł się naciskowi samego cesarza. Gdy w końcu roku umarł, Mikołaj kazał go w cerkwi prawosławnej Ś[więtego] Aleksandra Newskiego pochować, a 12/24 lutego 1839 r[oku] wydane zostało sławne postanowienie



synodalne, orzekające odszczepienie się Unii od Kościoła katolickiego i przystąpienie jej do prawosławia. Akt ten podpisali: Józef Siemaszko – biskup litewski, Bazyli – biskup orszański, Antoni – biskup brzeski i 21 prałatów i księży. W miesiąc później Synod Petersburski z polecenia Mikołaja wydał dekret, wcielający dawnych unitów do Kościoła prawosławnego, a 25 marca 1839 r[oku] wydał stosowny w tym przedmiocie ukaz.

Takim to sposobem dokonane zostało zniesienie Kościoła unickiego na Białorusi i Litwie. Gwałty popełniane w parafiach przy wprowadzaniu prawosławia dostarczyłyby materiału na obszerne tomy. Oficjalnie wszystkich unitów uważano za należących do grecko-rosyjskiego kościoła. A tępiąc unię, wyznawaną przede wszystkim przez klasę rolniczą, rozrywano spójnię tej klasy z bardziej wykształconymi stanami. Zadawano cios straszny ojczyźnie.

[Bronisław Zaleski (1819–1880), poeta, artysta malarz, działacz niepodległościowy, dwukrotnie zesłany – za udział w sprzysiężeniu Szymona Konarskiego i uczestnictwo w przygotowaniach do powstania trójkaborowego w 1846 roku, kilka lat po zwolnieniu wyjechał do Francji, gdzie działał w środowisku Hotelu Lambert, pełnił również funkcję dyrektora Biblioteki Polskiej. Bronisławowi Zaleskiemu poświęcony był wiersz *Pod krajobrazem sybirskim* Józefa Bohdana Zaleskiego (1802–1886), weterana powstania listopadowego, kawalera orderu Virtuti Militari, jednego z poetów romantycznych Wielkiej Emigracji (niespokrewnionego jednak z autorem prezentowanej relacji)].





### 43. Rusyfikacja ziem zabranych.

[Z książki Bohdana Cywińskiego, *Obok Orła znak Pogoni. Wokół powstania styczniowego na Litwie i Białorusi*, Kraków, Wydawnictwo Arcana, 2013]

(z rozdziału *Karczowanie polskości*)

Zmiana przyszła nieoczekiwanie – na początku lat dwudziestych. Pamiętajmy: nie w dziesięć lat później, by można było ją uznać za carski odwet za powstanie listopadowe. Ani nie w styczniu 1826, by widzieć w niej odpowiedź na zamach petersburskich dekabrystów. Kolejność wydarzeń była odwrotna, a przyczyny radykalnego odejścia cara Aleksandra I od wcześniejszych ambicji liberalnych szukać można chyba najprędzej w jego osobistej ewolucji intelektualnej i osobowościowej. Samodzierżawie jako ustrój czasem przejawia się także i tak.

Radykalna zmiana kursu polityki rosyjskiej na ostro antyliberalny, cenzorski wobec słowa pisanego, policyjny wobec instytucji publicznych i wszelkich stowarzyszeń, a żandarmski – wobec każdego zgromadzenia czy wręcz ulicznego tłumu, dotyczyła całego imperium: od petersburskiej stolicy aż po jego krańce fińskie i kaukaskie. Na Litwie i Białorusi nacisk ten skierowany był w pierwszym rzędzie przeciwko kulturze polskiej. Była groźna, jako jedyna silnie zakorzeniona tu i wysoce rozwinięta kultura elitarna, wyraziście prezentująca polskie cechy narodowe, a jednocześnie nasycona obcą Rosji duchowością katolicką. Mimo niekorzystnego usytuowania politycznego w nieprzyjazylnym jej carskim państwie, pozostawiona w spokoju, mogłaby skutecznie konkurować z propagowaną odgórnie kulturą rosyjską. Należało więc ją niszczyć, karczować, by kraj ten mógł kiedyś stać się Rosją. Tak, pojęcie „karczowania polskości” wydaje mi się najprawdziwszym określeniem tej rzeczywistości politycznej, wewnątrz której znaleźli się Polacy na ziemiach dawnej Lithuanii. I tu właśnie widzę jądro tej różnicy, jaka oddziela Polaka z Wileńszczyzny czy Mińszczyzny od Polaka z Mazowsza. Rosja przez wiele pokoleń panowała tu i tam, w Kongresówce jednak polskości nikt nie karczował, nie był zdolny do jej wykorzenienia, choć ją osłabiał i na wiele sposobów hamował jej rozwój. Rusyfikacja Mazowsza, Kielecczyny czy nawet Podlasia, była dla ludności z pewnością uciążliwa i niezmiernie irytująca, ale żadne, znacznie zresztą późniejsze, napisy w rodzaju „w stienach gimnazii zapreszczajetsia govorit po polski” nie mogły zmienić faktu, że na ulicy i na polnej drodze słyszeć było tylko język polski. Inaczej było tam, gdzie polszczyzna wśród ludu była tylko mową „pańskiej” mniejszości i językiem przekazu





duszpasterskiego w kościele. Tam rusyfikacja przez szkołę i urząd była dla Polaków rzeczywiście groźna: mogła kończyć się wynarodowieniem.

Ta różnica sytuacji dwóch społeczności polskich była odczuwalna dla samych Polaków, ale zdawali sobie z niej sprawę także Rosjanie – od żandarma i małego rosyjskiego urzędnika, stykającego się służbowo ze środowiskiem polskim, aż do samego cara. Świadczą o tym chociażby dwie wypowiedzi tego samego, niby-liberalnego cara – Aleksandra II – skierowane do dwóch grup polskich działaczy ugodowych, dopuszczonych przed najjaśniejsze oblicze, w drugiej połowie lat 1850-tych w Warszawie i w Wilnie. W obu przypadkach była to brutalna odmowa spełnienia najpokorniej zgłaszanych polskich postulatów, brzmiała ona jednak za każdym razem inaczej. W Warszawie na prośbę o przywrócenie Kongresówce szerszej, zabranej po 1831 roku autonomii politycznej, car – jak wiadomo – odpowiedział krótko: „point de rêveries, messieurs!”. Adresu wilnian, proszących o wznowienie zamkniętego też po powstaniu listopadowym Uniwersytetu Wileńskiego, w ogóle nie zechciał przyjąć, oświadczając wysłannikom petentów: „Powiedzcie szlachcie, żem z niej niezadowolony, niech wie i ona, i Europa, że to nie Polska”. Te ostatnie słowa są znamienne. Interpretowałbym je tak, że w świadomości cara Kongresówka w 1860 roku wciąż jest jeszcze okupowaną Polską. Car nią aktualnie włada i stan ten ma trwać jak najdłużej, ale wiadomo, że ten kraj prawdziwą Rosją nie stanie się nigdy. Będzie co najwyżej terytorium zniewolonym, całkowicie zależnym – ale obcym.

„Gubernie zachodnie” cesarstwa natomiast – nie tylko z Wilnem, ale i z Brześciem, Grodnem i Białymstokiem – to w tym ujęciu ziemie rdzennie rosyjskie, po długotrwałej polskiej niewoli powracające do rosyjskiej macierzy. Litwa nie jest przez cara okupowana, ona ma być – już jest – częścią poddanej jego panowaniu rosyjskiej ojczyzny. Taka była carska propaganda kierowana ku Europie, taka była ideologia głoszona na samych ziemiach zabranych, taki był punkt wyjścia praktycznej polityki brutalnej depolonizacji – i równie radykalnej rusyfikacji – Litwy, Białorusi i dawnych Inflant Polskich.

[Z rozdziału *Dylematy znad Wisły i tęsknoty znad Niemna*]

Odmienność statusu politycznego dwóch części zaboru rosyjskiego – Królestwa Kongresowego i przyłączonych wprost do cesarstwa tzw. Ziem Zabranych – sprawiała, że inne musiały być pragnienia i dążenia polityczne, żywe w wyobraźni Polaków, tkwiących w tych zróżnicowanych uwarunkowaniach.

Nad Wisłą polskość – zarówno w swym wymiarze ludowym, jak i w elitarnym –



nie była w żadnym stopniu zagrożona w swym istnieniu. Kongresowcy potrzebne było radykalne rozszerzenie strefy narodowej swobody politycznej, a więc w zasadzie pełna suwerenność państwowa, a co najmniej – szeroka autonomia i parlamentaryzm, a nie samodzierżawny system sprawowania władzy. Sprawa polska mogła mieć w zależności od przyjętej wersji jedno lub drugie oblicze polityczne. Tak też była widziana w Europie – od rewolucjonistów Mazziniego do dyplomatów różnych mocarstw zachodnich. Dwa te brane pod uwagę cele były oczywiście alternatywne, a nie komplementarne: podejmując walkę o jeden z nich, wykluczało się szanse osiągnięcia drugiego, bo o niepodległość trzeba się bić, a o autonomię – prosić i pojednawczo negocjować. W tym sensie w kraju potrzebny był wybór jednej z dwóch dróg.

Jeśli w ogóle trzeba było w jakąś drogę wyruszać. Znaczna część elit socjalnych i kulturalnych Kongresówki wcale nie była o tym przekonana. Zaistniała w 1857 roku odwilż polityczna w całym cesarstwie stwarzała nadzieje pewnej poprawy sytuacji także i w Królestwie Kongresowym. Amnestia dla dawnych uczestników powstania listopadowego, powroty znacznej fali emigrantów z zachodu, pierwsze ulgi liberalizujące sytuację kulturalną w kraju – wszystko to stwarzało atmosferę oczekiwania, że „będzie lepiej” i poglądu, że istniejący ład polityczny przy wszystkich swoich niedostatkach jest znośny i nie należy go niszczyć jakimikolwiek gwałtownymi wystąpieniami. Toteż Wielopolski na pewno nie był w swej polityce sam.

Podobne nastawienie – choć w tym przypadku politycznie zupełnie nieświadome – panowało na drugim końcu socjalnej drabiny: na chłopskiej wsi. Jej mieszkaniowiec nie mógł uważać rosyjskiego cara za swego wroga ani za obrońcę – bo nie wiedział o nim nic. Car ani Rosja nie mieścili się w jego świecie. Ucisk narodowy: polityczny czy kulturalny – przy używanych w tamtej epoce jego metodach – tego świata nie sięgał, o ile nie posuwał się do wyraźnych ataków na lokalny Kościół: utrudnianie praktyk religijnych było jedyną represją, mogącą spowodować otwarty bunt. Pozostałe zachowania władzy mogły być uznane za wstrętne i podłe, ale nie aż tak ważne, by doprowadzić do wystąpień. Sprzyjający uprawom lub im nieprzychylny układ pogody – susza lub deszcz – był dla chłopów z Kongresówki ważniejszy od całej carskiej polityki.

W tej sytuacji oba ugrupowania politycznych aktywistów: powoli organizujący opozycyjną opinię społeczną Biali i wzywający do jak najszybszego powstania Czerwoni – nie stanowią bynajmniej politycznych biegunów, ale dwie konkurujące ze sobą wersje czynu, który chce obudzić w Polakach naród. W tym kontekście polskie spory lat 1860–1862 toczyły się chyba w trochę innym kontekście społecznym, niż



się to wielu komentatorom wydaje. Głównym problemem było, podejrzewam, nie to, że z jednej strony byli Biali, a z drugiej Czerwoni, ale to, że i jedni i drudzy, choć autentycznie oddani sprawie, okazali się politycznie niewydolni. Zwyciężyła zbiorowa bierność – ta świadomie wybrana przez ugodową część opinii i ta bezwiedna – chłopska.



## 44. Noc paskiewiczowska.

[Z książki Bartłomieja Szyndlera, *Dzieje cenzury w Polsce do 1918 roku*, Kraków, Krajowa Agencja Wydawnicza, 1993]

Jedną z tragicznych ofiar Paskiewiczowskiego systemu represyjnego, dławiącego wszelką myśl niezależną i krytyczną, był dziedzic Smolicz w powiecie słuckim, Krzysztof Jan Aleksander Niezabytowski, parający się także twórczością pisarską.

Niezabytowski urodził się w 1818 roku. Do szkół uczęszczał w Warszawie, a następnie zapisał się na wydział matematyczny Uniwersytetu w Dorpacie. Porzuciwszy studia w 1838 roku zatrudnił się w kancelarii marszałka powiatowego w Ihumeniu. W wolnych chwilach pisywał na rozmaite aktualne tematy społeczne, polityczne, ekonomiczne, literackie i religijne, dając się poznać jako racjonalista i wolnomysliciel. Nawiązał też kontakty z emigrantami we Francji, skąd sprowadzał potajemnie wydawnictwa emigracyjne.

Otrzymałszy po długich staraniach paszport, wyjechał w lipcu 1844 roku za granicę. Przez jakiś czas podróżował po krajach południowej i zachodniej Europy, a nawet zwiedził Egipt. W czasie pobytu w Paryżu zbliżył się do Towarzystwa Demokratycznego Polskiego, z którego programem politycznym i ideowym sympatyzował. Opublikował wówczas anonimowo dwa dramaty historyczne, *Jadwiga* (w 1845 roku) i *Katarzyna Wielka* (w 1846 roku), *Pamiętniki moje* (w 1845 roku) oraz krytykę wykładów Adama Mickiewicza, pt. *Mickiewicz de la littérature slave* (w 1845 roku).

W lipcu 1847 roku Niezabytowski postanowił wrócić do kraju. Na granicy austriacko-rosyjskiej w Radziwiłowie carscy celnicy dokonali szczegółowej rewizji jego bagażów, konfiskując 203 książki polskich i obcych pisarzy, w tym utwory Mickiewicza, a ponadto rozmaite pisma i rękopisy Niezabytowskiego – wśród nich 346 listów. Właściciela skonfiskowanych materiałów natychmiast aresztowano i osadzono w więzieniu w Pińsku, gdzie trzymano go bez procesu przez miesiąc, po czym zwolniono. Tymczasem skonfiskowane książki i rękopisy przesłano do kancelarii Paskiewicza w Warszawie w celu dokładnego zbadania. W opinii cenzorów i urzędników prowadzących śledztwo – do najbardziej niebezpiecznych dzieł znalezionych w bagażach Niezabytowskiego należały jego własne prace, a mianowicie: *Pamiętniki moje*, *Dziennik podróży i podróże zapiski*, *Mickiewicz de la littérature slave*, dramat *Katarzyna Wielka*, *Marzenie miłości, sławy i wolności*, *Kiustin i system monetarny w Rosji*, *Kilka szczegółów o wojnie na Kaukazie*, *Moskale*



*w Italii, O środkach, jakie osłabią bądź całkiem obalą rząd rosyjski przy pomocy sił zewnętrznych i wewnętrznych, O niektórych sposobach odrodzenia niepodległości Polski, Projekt władzy ludowej dla Rzeczypospolitej Polskiej, O przyszłości Niemiec..., oraz oceny, analizy i recenzje dzieł różnych pisarzy.*

Na polecenie Paskiewicza powtórnie aresztowano Niezabytowskiego i więziono najpierw w Mińsku, a później w Wilnie. Równocześnie toczyło się przeciwko niemu długie i drobiazgowe śledztwo. Ostatecznie postawiono mu dziesięć ciężkich zarzutów, jak: znieważanie cara i jego dworu, nienawiść do rządu i próbę jego obalenia, bezbożność i zniewagę wiary chrześcijańskiej, czytanie i przechowywanie książek o treści przestępczej, wydawanych przez polskich emigrantów w Paryżu.

Dopiero na początku 1849 roku Niezabytowski stanął przed sądem wojskowym, który 15 lutego ogłosił wyrok, skazujący go na 20 lat katorgi, utratę szlachectwa i konfiskatę majątku.

Nim zatwierdzony przez cara Mikołaja I wyrok powrócił z Petersburga, Niezabytowski, ciężko chory na gruźlicę i wycieńczony prowadzoną w więzieniu głodówką, zmarł 21 marca 1849 roku w celi klasztoru Dominikanów w Wilnie. Następnego dnia zwłoki wywieziono potajemnie i pochowano bezimiennie na szpitalnym cmentarzu za miastem.

Kiedy na kilka dni przed śmiercią Niezabytowskiego, który powalony chorobą nie podnosił się już z pryczy, starał się o uzyskanie widzenia z więźniem jego brat Konstanty, wileński generał-gubernator Fiodor Mirkowicz kategorycznie odmówił prośbie, gdyż w mniemaniu władz carskich „to był groźny przestępca”.

Niezabytowski posiadał w swych dobrach w Smoliczach biblioteczkę liczącą 204 pozycje. Skonfiskowana wraz z całym majątkiem skazańca, na mocy wyroku sądowego przekazana została Mińskiej Dyrekcji Szkół. Ta z kolei, po powstaniu styczniowym, pozbyła się książek oddając je Wileńskiej Bibliotece Publicznej. Później księgozbiór Niezabytowskiego trafił do Biblioteki Uniwersytetu Wileńskiego.



## 45. Płomień w cytadeli.

[Mieczysław Romanowski, *Śmierć Levitoux* [w:] *Wiersze wybrane oraz Dziewczę z Sącza*, oprac. Paweł Bukowiec, Kraków, Towarzystwo Autorów i Wydawców Prac Naukowych UNIVERSITAS 2002]

Był na cytadeli sąd na matieżników,  
Więc siedli jak czarci za stołem:  
Jenerał, adiutant i czterech piszczyków  
Ze sercem miedzianym i czołem.

I rzecze adiutant: „Batku jenerale,  
Czart chyba się z Lachów co dowie.  
Wziął pałki Levitoux, lecz milczy zuchwale”.  
– „Sto pałek! pod pałką odpowie”.

Straż stawia Levitoux, skutego w kajdany,  
I biorą na rozpyt go kaci.  
Wnet zdjęto zeń szaty, co kryły mu rany,  
A sędzię wołają: „Zdradź braci!”.

A był tam nad nimi w tej izbie szatańskiej  
Krzyż z Panem Jezusem na ścianie.  
Levitoux wzrok jasny utopił w krzyż Pański  
I modlił: „Daj sił mi, o Panie!”.

I poszedł pod pałki wpół nagi, bez lęku;  
Wnet krwią mu opłynął grzbiet cały.  
Choć bito go w rany, nie wydał i jęku  
I milczał, jak zakamieniały.

A gdy go złożono na nędznej pościeli,  
Rozwahał, czy ciało wytrzyma  
Te męki, bo znowu tak chłostać go mieli  
Sędziowie... I poczuł: sił nie ma.





Lecz święcie dochowa tajemnice bratnie,  
Bo stu by zginęło ich może.  
Toż westchnął do Boga o męki ostatnie –  
I ognia nasypał pod łoże.

I usiadł na łożu spokojny, bez lęku,  
Gdy jasne płomienie wstawały.  
Choć ogień gryzł kości, nie wydał i jęku  
I milczał, jak zakamieniały.

Przez kraty wnet bracia płomienie ujrzeli,  
Straż alarm krzyknęła w podsieniu;  
Jenerał i draby wpadają do celi:  
Levitoux już skonał w płomieniu.

Więc z zgrozą ten węgiel rzucili w rogoże  
I w ziemi kazali pochować.  
Tą śmiercią w płomieniach pochwalon bądź, Boże,  
Bo ż y w y m ją będziesz rachować!

1860

[Urodzony w 1820 roku Karol Levittoux (w tytule wiersza nazwisko zapisano omyłkowo jako Levitoux) był synem podoficera Wielkiej Armii napoleońskiej, który w 1813 roku osiadł w Polsce. W 1839 roku założył w Łukowie, gdzie uczęszczał do gimnazjum, Związek Patriotyczny, współdziałający ze Stowarzyszeniem Ludu Polskiego. Aresztowany i uwięziony w Cytadeli Warszawskiej, odmówił wydania innych uczestników sprzysiężenia. Bity w czasie śledztwa (co dwa dni wymierzano mu czterysta uderzeń pałką), popełnił samobójstwo, podpalając się w celi 7 lipca 1841 roku. Okoliczności śmierci Karola Levittoux zostały upamiętnione w wierszu Jerzego Czecha, powstałego w czasie stanu wojennym w Polsce, do którego muzykę napisał Przemysław Gintrowski (utwór znalazł się na płycie *Nie chcemy uciekać* z 1990 roku). Autor wiersza, Mieczysław Romanowski (1830–1863), jeden z najwybitniejszych przedstawicieli drugiego pokolenia poetów polskiego romantyzmu, poległ w powstaniu styczniowym].



## 46. „Jest nas dwadzieścia milionów, powstańmy razem jak mąż jeden, a potęgi naszej żadna nie przemoże siła”.

[*Manifest Rządu Narodowego Rzeczypospolitej Polskiej* [w:] Marian Zgórniak, *Polska w czasach walk o niepodległość (1815–1864), Wielka Historia Polski*, t. 7, Kraków 2001].

Polacy!

Godzina powstania wybiła, cała rozszarpana Polska dźwiga się i zrasta, powstałi już Bracia nasi w Księstwie Poznańskim, w Polsce Kongresowej, w Litwie i na Rusi biją się z wrogiem. Biją się o najświętsze prawa wydarte im podstępem i przemocą.

Wszak wiecie, co się działo i co się ciągle dzieje, kwiat naszej młodzieży gnije w więzieniach, starcy, co wspierali nas radą, oddani bezcześci, księża obrani z wszelkiej powagi, słowem, każdy, kto czynem, a nawet myślą tylko pragnął żyć, umierać dla Polski lub zniszczony, lub gnije w więzieniu, lub co chwila jest na to wystawiony. Odbiły się w sercach naszych i rozdarły je aż do krwi jęki milionów zaknutowanych, wywieńdłych w podziemnych lochach, pędzonych w szeregach ciemieczków, męczonych wszystkim, czemu tylko siła człowieka wystarczy, wydarli nam sławę, zabraniają nam naszego języka, nie pozwalają wyznawać Wiary Ojców naszych, kładą nieprzebyte tamy ulepszeniom składu towarzyskiego, uzbrają braci przeciw braci, sięją potwarze na najgodniejszych Synów Ojczyzny. Bracia! Jeszcze krok tylko, a nie będzie już Polski i ani jednego Polaka, wnuki nasze przeklinać będą pamięci naszej, żeśmy z najpiękniejszej krainy ziemi zostawili im tylko gruz i pustynię, żeśmy lud najbiedniejszy dozwolili okuć w kajdany, że muszą wyznawać obcą wiarę, mówić obcym językiem i być niewolnikami gwałcicieli praw swoich, wołają na nas z grobu prochy Ojców naszych, męczenników za sprawę narodową, abyśmy się ich pomścili, wołają na nas niemowlęta, abyśmy im utrzymali Ojczyznę od Boga nam powierzoną, wołają na nas wolne narody całej ziemi, ażebyśmy nie dali upaść najświętszej zasadzie narodowości, woła na nas Bóg sam, którego od nas kiedyś rachunku żądać będzie.

Jest nas dwadzieścia milionów, powstańmy razem jak mąż jeden, a potęgi naszej żadna nie przemoże siła, będzie nam wolność, jakiej dotąd nie było na ziemi, wywalczymy sobie skład społeczeństwa, w którym każdy podług zasług i zdolności z dóbr ziemskich będzie mógł użytkować, a przywilej żaden i pod żadnym kształtem mieć nie będzie miejsca, w którym każdy Polak znajdzie zabezpieczenie dla siebie, żony i dzieci swoich, w którym upośledzony od przyrodzenia na ciele lub na duszy



znajdzie bez upokorzenia niechybną pomoc całego społeczeństwa, w którym ziemia dzisiaj przez Włóścian warunkowo tylko posiadana, stanie się bezwarunkową ich własnością, ustaną czynsze, pańszczyzny i wszelkie tym podobne należytości bez żadnego wynagrodzenia, a poświęcenie się sprawie narodowej z bronią w ręku będzie wynagrodzone ziemią z Dóbr Narodowych.

Polacy! Nie znamy odtąd między sobą żadnej różnicy, jesteśmy odtąd Braćmi, Synami jednej Matki Ojczyzny, jednego Ojca Boga na Niebie! Jego wezwijmy na pomoc, a On pobłogosławi Orężowi naszemu i da nam zwycięstwo; ale aby wysłuchał głosów naszych, nie kalajmy się pijaństwem ani rabunkiem, nie plamijmy poświęconej broni samowolnością lub morderstwem bezbronnych różnowierców i cudzoziemców, bo nie z ludami, a z ciemiężcami naszymi bój prowadzimy. A teraz na znak jedności przypinajmy kokardy narodowe i wykonajmy przysięgę: „Poprzysięgam radą, mową i czynem służyć Ojczyźnie mojej, Polsce! Poprzysięgam poświęcić jej wszystkie moje widoki osobiste, majątek i życie! Poprzysięgam posłuszeństwa bezwarunkowe Rządowi Narodowemu, w Krakowie na dniu 22 m[iesiąca] t[ego] o godzinie ósmej wieczorem w domu Pod Krzysztoforami zawiązanemu i wszystkim władzom od tegoż postawionym, tak mi Panie Boże dopomóż!”

[...]

W Krakowie, dnia 22 lutego 1864 roku

Ludwik Gorzkowski

Jan Tyssowski

Aleksander Grzegorzewski

sekretarz rządu Karol Rogawski



## 47. „W jedności i braterstwie damy sobie radę”

[Ludomir Grzybowski, *Opis powstania polskiego w roku 1863 i 1864 w województwie krakowskim*, oprac. Wiesław Caban, Zdzisław Jerzy Adamczyk, Kielce, Wyższa Szkoła Pedagogiczna w Kielcach, 1994 (pominięto przypisy autorów opracowania)]

[...] Na prowincji rozpoczęły się manifestacje śpiewaniem pieśni patriotycznych, jak: „Boże coś Polskę”, „Z dymem pożaru” itp., po kościołach, pod figurami, krzyżami etc. Następnie sprawieniem chorągwi do kościołów z godłami: Orła Białego w czerwonym polu, Pogoni w niebieskim. Dalej ubiorami polskimi, mianowicie czamarkami, konfederatkami, żupanami, a niekiedy i kontuszami. W końcu urządzano procesje na odpustach, z chorągwiami, obrazami, pod przewodnictwem księży i z pieniem pieśni patriotycznych, do których to procesji przeważnie należała tak zwana wyższa sfera. Było w tych pielgrzymkach odrobinę nabożeństwa, dużo profanacji, bo szli tacy, którzy w zwykłych warunkach nie byliby się chcieli pokazać, wobec zaś prądu patriotycznego wychodzili pierwsi, aby byli widziani, śpiewali głośniej, aby byli słyszani, grozili najbardziej, by ich miano za najodważniejszych. Każdy chciał się odznaczyć, bo była pora ku temu, bo nikt za to nic nie mówił, bo nikogo do żadnej odpowiedzialności nie pociągano.

W Jędrzejowie jest klasztor po cystersach, gdzie odbywa się odpust doroczny na świętego Wincentego Kadłubka i zwykle obchodzony bywa w pierwszą niedzielę października. W piątek przed odpustem, około południa, przyszła do Chęcinkompania pielgrzymów w liczbie paruset osób z miasta Kielc, podążając do wspomnianego Jędrzejowa. Widok był imponujący. Chorągwie na jednej stronie z wyobrażeniem Matki Boskiej, po drugiej Orzeł Biały i Pogoń. Niesione przez młodzież obojej płci. Obrazy niosły nieco starsze panie na zmianę. Księży kilku i do tego muzyka, więc na przemian śpiewano strofkę pieśni patriotycznych, to znów muzyka grała marsza Garibaldiego lub innego, a czasem mazurka Chłopickiego lub „Jeszcze Polska nie zginęła”. Podejmowanie pielgrzymów kieleckich w Chęcinach było sute po domach prywatnych, znajomych czy nieznajomych, boć to była dewiza: „braterstwo, równość, niepodległość”. Z Chęcin przyłączyło się mnóstwo osób i takich nawet, którzy byli przeciwni tym manifestacjom. Czy oni robili to dla oka, czy porwani duchem, jaki zapanował, trudno było odgadnąć, dość że wciągnęli się i brali udział. Chłoptwa również przyłączyła się pewna ilość, lecz stosunkowo niewielka, a o ile się zdaje ich obecność nie była myślą manifestacji, a po prostu jedni z prawdziwego nabożeństwa, inni z ciekawości.



Z Chęcin wyruszyliśmy dobrze z południa i już późnym wieczorem stanęliśmy na noc we wsi Mnichowie. Uplasowanie się na noc pozostawiono własnemu przemysłowi, więc lokowano się po domach chłopskich, we dworze, w gorzelni. I wypadało niejednym tak, że damy od mężczyzn przegradzały się słomkami i taka słomka miała stanowić zaporę nieprzebytą. Rano na drugi dzień wyszliśmy z Mnichowa i stanęli w Jędrzejowie po południu na nieszpory.

Nazajutrz, to jest w dzień świętego Wincentego taka masa zebrała się pobożnych i ciekawych, że nie tylko w kościele, ale na smętarni okalającym kościół pomieścić się nie mogli. Postawiono prowizoryczne ołtarze na smętarni i jedni księża w kościele, drudzy na zewnątrz odprawiali msze święte. Kazania również prawione były w różnych punktach, a wszystkie bez wyjątku w duchu patriotycznym, wszystkie zachęcające do jedności, braterstwa, wytrwania w przedsięwzięciu, przedstawiające obecny opłakany stan, ucisk i niejaki błysk w przyszłości: swobody, dobrobytu, a jak jeden z kaznodziei wyraził się na ambonie: „Będzie jak za króla Sasa: jedz, pij i popuszczaj pasa”.

Po nieszporych, już późnym wieczorem wyszliśmy z Jędrzejowa przy odgłosie muzyki, przy oświetleniu sztucznymi ogniami. Znów na noc do Mnichowa. W poniedziałek powrót do Kielc przez Chęciny.

Idąc szosą w lesie pomiędzy wsią Brzegi i Tokarnią od idących na czele kompanii rozeszła się wieść, że naprzeciw nam idzie wojsko, rozumie się ruskie. Niektórym bardzo twarze się poprzędluwały i zapanowała obawa, a raczej strach, co to będzie. Kompania szła dalej śpiewając pieśni, a wojska widać nie było. Pokazało się, że dowódca prowadzący batalion wojska do Jędrzejowa był na tyle przezorny czy względny, czy delikatny, a najpewniej na tyle rozsądny, że kazał wojsku skręcić na drogę przez las prowadzącą i takómy się rozminęli, nie widząc jedni drugich. Ale za to w kompanii procesyjnej zapanowało ożywienie z odniesionego triumfu i powtarzał jeden drugiemu: „Widzisz! Moskale uzbrojeni, a ustąpili przed nami”.

W Chęcinach Żydzi dali się słyszeć, że oni radzi by wziąć udział w tej procesji, że pragną wyjść na spotkanie wraz z rabinem, ale nie wiedzą, jakby to było przyjęte, a głównie dlatego, że z odkrytymi głowami wystąpić nie mogą.

Rada w radę, w końcu księża zdecydowali, aby wedle swego rytuału postąpili. Z tym wysłano delegata do Chęcin, a procesja zatrzymała się na Podzamczu, o parę wiorst od Chęcin, czekając na powrót. Powrócił wkrótce ów delegat z tym, że Żydzi idą, więc i kompania ruszyła. Jakoż cały kahał i liczna rzesza z rabinem na czele wyszła parę wiorst w stronę Jędrzejowa. Ubrani pontyfikalnie, w czapkach bobrami, sobolami i innymi futrami lamowanych i w atłasowych ibicach. Gdyśmy się nawzajem



spostrzegli, zatrzymali się nie opodal i oddali pokłon. Następnie rabin wszedłszy na wzniesienie miał dość długą mowę w języku polskim, na którą odpowiedział mu ksiądz prałat Ćwikliński, i przyłączywszy się do kompanii naszej razem poszliśmy, śpiewając pieśni patriotyczne, na przemian z muzyką.

Choć byłem tam, nie wiem, co mówił, bo otoczony został z jednej strony Żydami, z drugiej katolikami, a że i jednych, i drugich było bardzo dużo, docisnąć się nie było możebnym, a rozpychać, aby się zbliżyć, nieprzyzwoitym. Pytałem kilku, którzy mieli sposobność być bliżej, ale jednakową odbierałem odpowiedź: „Powiedział bardzo ładną mowę w duchu patriotycznym”. Nadmienić mi wypada, że dla wielu w wyrazach „w duchu patriotycznym” zamykało się wszystko i to stanowiło szczyt piękności.

Tak weszliśmy do Chęcin z triumfem, bo to zdobyliśmy Żydów dla sprawy narodowej, a zwyciężyli batalion wojska ruskiego bez boju. Cała procesja wraz z Żydami weszła do kościoła (Żydzi zawsze w czapkach), a po krótkiej modlitwie wszyscy rozeszli się na miasto, gdzie znów obcy przez miejscowych byli podejmowani.

Po kilku godzinach wypoczynku kompania kielecka przeprowadzona przez publikę chęcińską poszła do Kielc. Co zauważyłem, że w powracającej kompanii z Jędrzejowa chłopów wcale nie było.

Byłem również na odpuszcie na Świętym Krzyżu, który bywa 14 września. Tam było stokroć ludniej jak w Jędrzejowie. Takiej masy różnorodnej ludności nie spotyka się, chyba w Częstochowie, ale takiego nastroju nigdzie. Wszystko pod wpływem entuzjazmu, ożywienia otuchy, nadziei, a jednak jakaś bojaźń, niepewność, myśl jakiegoś niebezpieczeństwa owładniała umysły. I była niby swoboda, nikt, jak to mówią, w drogę nie wchodził, wszystko wolno było mówić i śpiewać, co się tylko podobało, a zawsze niejako lęk i obawę znać było.

[...] W lesie nieopodal klasztoru urządzono, a raczej zbudowano rodzaj ambony tak wysoko, że odpowiadała wysokości piętrowej kamienicy. Tam dopiero był widok podziwiania godny, bo wszystkie drzewa w pobliżu tej improwizowanej ambony od dołu do samych wierzchołków były poobsadzone słuchaczami. [...] Wyszedł na ową ambonę zakonnik mniej jak średnich lat, wysoki, dość szczupły, ale mający głos silny, donośny i rozpoczął tymi słowy:

„Gdybym wziął garstkę tej polskiej ziemi i ścisnął ją, sączyłaby się krew bratnia wytoczona przez wrogów. O! bo ta nasza ukochana polska ziemia, ta matka karmicielka była od wieków najeżdżana, bo nam jej wszyscy zazdroszczą, bo pragną wyrzeć, bo pragną nas zagłodzić, a przynajmniej wynarodowić, bo nie chcą, abyśmy wyznawali tego Boga ukrzyżowanego, bo nam chcą zabronić modlić się do tej Matki





Bożej Królowej Polski. Ale my, bracia kochani, stańmy jak jeden mąż, stańmy i nie dajmy ani jednej piędzi tej ukochanej ziemi polskiej. W jedności i braterstwie damy sobie radę, zgnieciemy tego wroga, który nas uciska, który gwałci sumienia nasze, który chce nas na schizmę nawrócić. Zgnieciemy, mówię, tego wroga. A czy wiecie, kto nim jest? Oto Moskale”. W tym duchu i w tym sensie mówił z godzinę. [...]



## 48. „Komu tu duszno? Kto tu, znudzony Walką, w zwycięstwo nie wierzy?”

[Z poezji Mieczysława Romanowskiego [w:] *Wiersze wybrane oraz Dziewczę z Sącza*, oprac. Paweł Bukowiec, Kraków, Towarzystwo Autorów i Wydawców Prac Naukowych UNIVERSITAS, 2002]

### *Modlitwa*

*(na obchód żałobny za poległych w Warszawie 27 lutego 1861)*

Wejrzyj ku nam z niebios, Panie!  
Z łaską Twą;  
Idziem po Twe zlitowanie  
Z łzą i krwią.  
Co cierpliwość Twoją zbudzi?  
Sprawiedliwość co obudzi?  
Wróg bezbronnych ścina ludzi,  
A Ty gromy w ręku masz,  
Boże nasz!

Patrz, na co się już ośmiela  
Hardy wróg!  
My się modlim, a on strzela  
Do Twych sług!  
Na uczczenie wielkiej doby  
Nie daszże nam już żałoby  
Nieść na ojców sławne groby?  
A Ty żalność naszą znasz,  
Boże nasz!

Ach! piekielnej serca męce  
Koniec zrób!  
Jasny oręż daj nam w ręce  
Albo grób!  
Nadziejamiś błyskał z dali,  
Wśród łez fali i krwi fali



Tyle lat my wiernie stali,  
A Ty wiarę naszą znasz,  
Boże nasz!

W górę dłonie! niech okowy  
Brzękną wraz!  
Okrzyk wrogom ponad głowy:  
„Boże! czas!”  
Czas nam, Boże, strząść kajdany,  
Czas wyleczyć nasze rany,  
Bo już szydzą z nas szatany,  
A rozpaczy moc Ty znasz,  
Boże nasz!

Panie! chylim Ci się w skrusze,  
Wielbim krwią;  
Ty pocieszysz sług Twych dusze  
Zorzą Twą.  
Kornie gniemy w proch kolano,  
Bądź pochwalon krwią rozlaną!  
Wnet mściciele z krwi tej wstaną,  
A Ty grom nam w ręce dasz,  
Boże nasz!

1861

### *Audaces iuvat fortuna*

Komu tu duszno? Kto tu, znużony  
Walką, w zwycięstwo nie wierzy?  
Czy się wyrzekły duchów miliony  
Krwi swych słonecznych szermierzy?  
Czy do poświęceń nie ma nikogo?  
Czy natchnień pękła już struna?  
Precz, małoduszni z twarzą złowrogą! –  
*Audaces iuvat fortuna!*



Żyzna ta ziemia w krew i nieszczęście,  
Kochanka śmierci aniołów.  
Lecz się, jak feniks, w orężów chrzęście  
Do życia budzi z popiołów.  
Krwią się nasz zasiew krzewi i pleni –  
Spod grobowego całuna  
Wstańmy i wlećmy życiem płomieni! –  
*Audaces iuvat fortuna!*

Ho ho! nie straszcie wy nas grobami!  
My znamy czarne ich wnętrza!  
A czym gorętszy piorun nad nami,  
Tym nasza miłość gorętsza.  
Ręka do ręki na uścisk bratni!  
Nam śmierć na polach – nie truna!  
Upadnie pierwszy, stanie ostatni –  
*Audaces iuvat fortuna!*

A czy zwyciężym? Któż ptaków pyta,  
Czyli przelecą przez morza?  
Dla płoczej rzeszy droga ubita,  
Dla mężnych leży moc boża.  
Skłońmy się Bogu i Pannie Świętej  
O oręż, o moc pioruna,  
A kto raz zadrży, trzykroć przeklęty!  
*Audaces iuvat fortuna!*

1860

### ***Hymn polski***

Ojczyźnie naszej, Polsce, bądźmy wierni,  
Pokąd tchu w łonie!  
Stójmy wytrwale, gdy wieńce nam z cierni



Kładą na skronie!  
Nieszczęścia i klęski niech miłość połamie!  
Czy dźwiga nas dola, czy chytrze nam skłamię,  
Ojczyźnie tej życie, krew nasza i ramię,  
I chwała w zgonie!

Tu nam w kolebce dał Bóg światłoienne,  
Tu żywot w znoju.  
Konając, głowy tu pochylił senne  
W chatach lub w boju.  
Tu bracia mrą od ciosów tyrana  
I świadczą, że ta nam od Boga wybrana  
Ojczyzna – ta Polska, codziennie kąpana  
W łez i krwi zdroju.

Tu groby ojców sława opromienia,  
Tu śpią ich kości.  
Tu nam się dobić po dniach utrapienia  
Świętej wolności.  
Tu przetrwać nam klęski i szarpać kajdany,  
Tu rodzą nas Sawy, Pułascy, Rejtany  
I „hetman w sukmanie”, co kochał sukmany –  
Tu żyć w miłości!

O Święta, patrzaj: w twoją krew czerwoną  
Maczamy dłonie!  
Pokąd ty w grobie, potąd żadne łono  
Szczęściem nie spłonie.  
Niech ostrzy wróg miecz, niech w ludach duch stygnie  
Synowska dłoń ciebie z przepaści podźwignie  
I będzie Bóg poczczon, a szatan się wzdrygnie  
I car w koronie.

Stójmyż gotowi, jak straż czuwająca,  
Bo nikt nie powie,  
W który dzień trąba zawezwie nas grzmiąca



Matce nieść zdrowie!

A wonczas, jak piorun, co kruszy i pali,  
W bój lećmy zwyciężać z nadzieją na stali  
Lub gińmy szlachetni, jak ojce konali –  
Polski synowie!

1860

### *Rabin*

Siadł rabin w smutku, pyta ksiąg mądrości,  
Jakimi słowy cieszyć lud strapiony.  
W łono mu co dnia, jak w urnę żałości,  
Zlewają swoje łzy i krew miliony...  
Ach! i nie budzi Pan mścicieli z kości,  
Polsce cierniowej nie zmienia korony!...  
Wstał i na miasto poglądając łzawo: „O! Jeruzalem – jęknął– o! Warszawo!”

A wtem posłowie doń z niemieckiej ziemi  
Wchodzą i głoszą bratnie pozdrowienie:  
„Rabinie! – rzeczą – tu hiobowymi  
Łzami ty płaczesz na krew i zniszczenie,  
Tu wróg mieczami grozi ci ostrymi,  
Sławę zaciera i roztrąca mienie.  
Pójdź do nas! Porzuć synagogi krwawe –  
My damy-ć mienie i spokój, i sławę”.

Słucha ich rabin i rzecze: „Posłowie,  
Na sądzie Pana przeniewiercom biada!  
Jam się tu zrodził, tu służąc Jehowie  
Zginę, gdy zginie braci mych gromada”.  
„Rabinie! – poseł niemiecki odpowie –  
Nie miotaj darów, które-ć kraj nasz składa;  
Zważ: przyjaciółmi nam królowie świetni,  
A przy tej Polsce kto stoi?”  
„Szlachetni”.

1862





## 49. W oczach zaborcy.

[Mikołaj Pawliszczew, *Tygodnie polskiego buntu*, t. 1: *Okres manifestacji 1861–1862*, przekład i oprac. naukowe Apoloniusz Zawilski, Warszawa, Dom Wydawniczy Bellona, 2003, fragment rozdziału *Tydzień III. Od 20 do 27 listopada 1861 roku* (zachowano redakcję autora opracowania, który uzupełnił tekst wydanej w 1887 roku książki Pawliszczewa o fragmenty jej rękopisu, skreślone przez cenzurę carską (kursywą); pominięto przypisy autora opracowania)]

Tydzień III

Od 20 do 27 listopada 1861 roku

*Położenie kraju pod względem politycznym nie uległo zmianie. Na zewnątrz panuje spokój, ale wrogie uczucia do rządu wyrażają się jeszcze otwarcie w śpiewaniu hymnów po kościołach i w zaburzeniach, wzniesionych przez stronnictwo klerykalne.*

W Warszawie nabożeństwa odprawia się *statecznie* na Pradze, w jedynym niezamkniętym kościele. Ale ponieważ i w zamkniętych kościołach księża odprawiają codziennie ciche msze, więc za ich przyzwoleniem wpuszcza się bocznymi drzwiami wybraną publiczność, przede wszystkim kobiety. *Oswojony niemal z tym porządkiem* lud katolicki cierpliwie czeka rozwiązania ze strony księży; księża *czują uciążliwość swego położenia* i starają się poprzez swoje organa prasowe krakowsko-poznańskie uspokoić ludność tym, że papież pamięta o polskiej krzywdzie, na dowód czego powołują się na jego list pasterski do nieżyjącego arcybiskupa Fijałkowskiego z 18 czerwca („Czas” nr 270), świadczący istotnie o jego trosce o polski Kościół. Ludność znajduje się w niepewności, w stanie podobnym do frustracji. [...]

Z okazji 29 listopada tajni agenci dali o sobie znać za pomocą podrzuconego plakatu „Do braci”, *pięknie odlitografowanego na welinowym papierze*, w którym zalecają świętować rocznicę listopadową w ciszy, przy ognisku domowym, *wyjaśniając sobie znaczenie tego dnia i oczekując chwili, kiedy rozlegną się okrzyki „Niech żyje!”*, a w niezamkniętych kościołach zostaną odprawione uroczyste nabożeństwa. Wezwanie to, znane już w Poznaniu („Dziennik” 26 listopada), musiało stanowić ten sam produkt, co potajemne ulotki „Strażnicy”, „Szczerbca” i ponownie ukazującej się „Pobudki” [pism konspiracyjnych wydawanych w Warszawie]. [...] *Gdzie i kto je wydaje, dotychczas nie sposób wykryć; nie ma również możliwości wykrycia autorów plakatów i paszkwili, które czasem rzuca się między publiczność, jak np. w Lublinie, gdzie komisarzowi policji i jego pomocnikowi podrzucono rysunek szubienicy wraz z surową radą, by nie robili donosów na śpiewających hymny w kościele – spóźniony wybryk terroryzmu, panoszącego się do czasu ogłoszenia stanu wojennego.*



*W Lublinie częściej i śmielej rozbrzmiewały zabronione śpiewy z różnych kościołów, nie wyłączając fary. Tam też ukazał się plakat, adresowany do mieszkańców Warszawy, a nakazujący, aby ludzie gorliwie zbierali się w kościołach i śpiewali hymny. W kościele Bernardynów 17 listopada młody ksiądz w czasie kazania zachęcał ludzi do śpiewu, a zwróciwszy się do policjantów, rzekł m.in. „szpicle, kryjcie się po kątach, bo przyszlście, żeby gubić swych braci”. Kiedy ci cofnęli się, podszedł do nich pewien kleryk i poradził, by całkiem opuścili Kościół, mówiąc, że ludzie ponoć boją się szpiegów. Nie potrafili oni wymienić ani księdza, ani kleryka. Przeor klasztoru także nie chciał podać nazwiska wygłaszającego kazanie księdza, kiedy zwrócono się do niego w tej sprawie. Na skutek tego polecono naczelnikowi wojskowemu (21 listopada), aby po ustaleniu nazwiska księdza i kleryka pierwszego wysłał do twierdzy w Zamościu, a drugiego uznał za zdolnego do oddania w rekruty, przy czym i samego przeora zesłał do tejże twierdzy. Równocześnie zwolniono ze służby inspektora policji Marenicza i komisarza Borzeńskiego.*

W Lublinie w śpiewaniu brylowała panna Daniewska, córka inspektora szkoły realnej; nakazano ją aresztować, przy czym potwierdzono zasadę z 21 listopada, by mężczyzn przyłapanych na śpiewaniu uznawać za zdolnych do poboru wojskowego i następnie o tym donosić, a księży aresztować w celu zsyłki w głąb Rosji. W ten sposób zostali w twierdzy w Zamościu osadzeni księża lubelscy: Galiński, Gurczyca i Lickendorf. Śpiewy miały miejsce i w innych miejscowościach guberni lubelskiej, a równie w miastach pozostałych guberni, gdzie cały nadzór spoczywa w ręku burmistrzów. W Lasku np. w guberni warszawskiej burmistrz nie mógł sobie poradzić inaczej, jak zobowiązując organistę, by nie grał na organach, gdy ludzie zaczną śpiewać hymn. Lecz tam, gdzie stacjonują oddziały wojskowe, śpiewających bierze się do aresztu w celu postępowania zgodnie z prawem stanu wojennego. Takich aresztowań jest niewiele. Z aresztowanych za śpiewanie w poprzednim okresie są w Kaliszu dwaj bracia Rychłowscy, synowie patrona społecznego, z których jeden to student Uniwersytetu Moskiewskiego; obaj zostali stawieni przed sąd wojenny. Inni zaś, jak np. w miasteczku Błaszki w guberni warszawskiej, oczekują na rozprawę sądową. W Rakowie w guberni płockiej, należącym do właściciela ziemskiego nazwiskiem Pomernacki, przeor tamtejszego klasztoru Bernardynów, ks. Holandyszkiewicz, zamyślał (wzorem księży warszawskich) zamknąć kościół 22 października, kiedy miejscowy naczelnik wojskowy dowódca rot nie pozwolił mu odprawić zabronionego nabożeństwa żałobnego. Ksiądz został za to osadzony w twierdzy nowogeorgijewskiej (modlińskiej) 19 listopada.

*W tejże twierdzy był więziony proboszcz parafii Gruduska w guberni płockiej, ks. Kamiński, za to, że jeszcze w lipcu (6 tego miesiąca) w czasie odpustu w tamtejszym*



kościół przyjmował kompanie pielgrzymek, przybywających z chorągwiami i rewolucyjnymi emblematami; przeprowadzał każdą z nich do kościoła i intonował buntownicze hymny w celu podburzenia ludzi przeciw rządowi. 7 listopada został zesłany na pobyt w guberni ołonieckiej pod surowy nadzór.

Niezależnie od tego ściga się organizatorów i przywódców procesji oraz nakłaniających do śpiewów, których zapamiętano po ogłoszeniu stanu wojennego. Za wykroczenia stwierdzone w Proszowicach i Słomnikach w guberni radomskiej zostali aresztowani austriaccy poddani: lekarz Rozenkwejt i pani Szymanowicz, w celu odesłania ich po przesłuchaniu za granicę. [...] Za śpiewanie hymnów w Kutnie w guberni warszawskiej, w czasie święcenia postawionej tam figury, osadzono w twierdzy w Modlinie księdza Świętosławskiego. Do wsi Luborzyce i Baran w powiecie miechowskim przyjeżdżał – z powodu choroby miejscowego księdza – pewien ksiądz zakonu reformatów, którego nazwiska dotąd jeszcze nie ustalono, umyślnie, aby odprawiać tam nabożeństwa i wygłaszać podburzające kazania.

[...] Po ukróceniu w kościołach buntowniczych śpiewów, inicjowanych przez księży, a podtrzymywanych w większości przez kobiety, sytuacja będzie jeszcze przez niemały czas wywoływać konieczność stosowania energicznych środków stanu wojennego. W Galicji, gdzie duchowieństwo jest związane z rządem postanowieniami konkordatu, nie aprobeje ono podobnych manifestacji religijno-politycznych. Śpiewanie hymnów ściga się przed sądami powszechnymi, co rodzi niezliczone procesy, które kończą się zasądzeniem winnych na kilkudniowy areszt lub karę pieniężną do 20 tysięcy guldenów bez różnicy płci. Podlegają jednak karze i księża. Pieniądze pochodzące z kar rozdziela się jako zasiłki między uboższych parafian – wątpliwe, czy środek odpowiada celowi. Obrońcy oskarżonych usiłują dowieść, że sama pieśń „Boże coś Polskę” nie zawiera w sobie niczego podburzającego i została napisana w Królestwie Polskim przez Alojzego Felińskiego na pamiątkę koronacji cara Aleksandra Pawłowicza jako wskrzesiciela Polski. Istotnie powstała ona tutaj i w tym czasie, lecz jej tekst jest inny; został on w znacznym stopniu skażony zwrotkami w duchu najbardziej buntowniczym, które dodano w czasie wydarzeń lutowych, jak to widać na podstawie litograficznej broszury „Śpiewy nabożne polskie”. Do czasu ogłoszenia stanu wojennego sprzedawano je publicznie na ulicach w tysiącach egzemplarzy, kolportowano po wszystkich krańcach byłej Rzeczypospolitej. [...]

[Autor raportu był wyższym urzędnikiem rosyjskim, jednym z najbliższych współpracowników feldmarszałka Iwana Paskiewicza – namiestnika carskiego w Królestwie Polskim po stłumieniu powstania listopadowego].



## 50. „Do broni więc, Narodzie Polski, Litwy i Rusi, do broni!”

[*Manifest Rządu do Narodu [w:] Marian Zgórniak, Polska w czasach walk o niepodległość (1815–1864), Wielka Historia Polski, t. 7, Kraków 2001*]

Komitet Centralny jako Tymczasowy Rząd Narodowy

Nikczemny rząd najezdniczy, rozwścieczony oporem męczzonej przezeń ofiary postanowił zadać jej cios stanowczy: porwać kilkadziesiąt tysięcy najdzielniejszych, najgorliwszych jej obrońców, oblec w nienawistny mundur moskiewski i pognać tysiące mil na wieczną nędzę i zatracenie. Polska nie chce, nie może poddać się bezopornie temu sromotnemu gwałtowi, pod karą hańby przed potomnością powinna stawić energiczny opór. Zastępy młodzieży walecznej, młodzieży poświęconej, ożywione gorącą miłością Ojczyzny, niezachwianą wiarą w sprawiedliwość i w pomoc Boga, poprzysięgły rzucić przekłete jarzmo lub zginąć. Za nią więc, Narodzie Polski, za nią!

Po strasznej hańbie niewoli, po niepojętych męczarniach ucisku Komitet Centralny Narodowy, obecnie jedyny legalny Rząd Twój Narodowy, wzywa Cię na pole walki już ostatniej, na pole chwały i zwycięstwa, które Ci da i przez imię Boga na Niebie dać przysięga, bo wie, że Ty, który wczoraj byłeś pokutnikiem i mścicielem, jutro musisz być i będziesz bohaterem i olbrzymem!

Tak, Ty wolność Twoją, niepodległość Twoją zdobędziesz wielkością takiego męstwa, świętością takich ofiar, jakich lud żaden nie napisał jeszcze na dziejowych kartach swoich. Powstającej Ojczyźnie Twojej dasz bez żalu, słabości i wahania wszystką krew, życie i mienie, jakich od Ciebie zapotrzebuje.

W zamian Komitet Centralny Narodowy przyrzeka Ci, że siły dzielności Twojej nie zmarnuje, poświęcenia nie będą stracone, bo ster, który ujmuje, silną dźwignię będzie ręką. Złamię wszystkie przeszkody, roztrąci wszelkie zapory, a każdą nieprzychylność dla świętej sprawy, nawet brak gorliwości, ścigać i karać będzie przed surowym, choć sprawiedliwym trybunałem Ojczyzny.

W pierwszym zaraz dniu jawnego wystąpienia, w pierwszej chwili rozpoczęcia świętej walki, Komitet Centralny Narodowy ogłasza wszystkich synów Polski, bez różnicy wiary i rodu, pochodzenia i stanu, wolnymi i równymi Obywatelami kraju. Ziemia, którą Lud rolniczy posiadał dotąd na prawach czynszu lub pańszczyzny, staje się od tej chwili bezwarunkową jego własnością dziedzictwem wieczystym. Właściciele poszkodowani wynagrodzeni będą z ogólnych funduszy państwa.



Wszyscy zaś komornicy i wyrobnicy, wstępujący w szeregi obrońców kraju, lub w razie zaszczytnej śmierci na polu chwały rodziny ich, otrzymują z dóbr narodowych dział obronionej od wrogów ziemi.

Do broni więc, Narodzie Polski, Litwy i Rusi, do broni!, bo godzina wspólnego wyzwolenia już wybiła, stary miecz nasz wydobyty, święty sztandar Orła, Pogoni i Archaniola rozwinięty.

A teraz odzywamy się do Ciebie, Narodzie Moskiewski: tradycyjnym hasłem naszym jest wolność i braterstwo Ludów, dlatego też przebaczymy Ci nawet mord naszej Ojczyzny, nawet krew Pragi i Oszmiany, gwałty ulic Warszawy i tortury lochów Cytadeli. Przebaczymy Ci, bo i Ty jesteś nędzny i mordowany, smutny i umęczony, trupy dzieci Twoich kołyszają się na szubienicach carskich, prorocy Twoi marzną na śniegach Sybiru. Ale jeżeli w tej stanowczej godzinie nie uczujesz w sobie zgryzoty za przeszłość, świętych pragnień dla przyszłości, jeżeli w zapasach z nami dasz poparcie tyranowi, który zabija nas, a depcze po Tobie – biada Ci!, bo w obliczu Boga i świata całego przeklniemy Cię na hańbę wiecznego poddaństwa i mękę wiecznej niewoli i wyzwiemy na straszny bój zagłady, bój ostatni Europejskiej Cywilizacji z dzikim barbarzyństwem Azji.

Warszawa, 22 stycznia 1863 roku





## 51. „[...] nie znajdziemy nawet myśli, że należy ludzi do wojny przygotować”.

[Józef Piłsudski, *Zarys historii militarnej powstania styczniowego. Wykład drugi, 14 lutego 1912 roku* [w:] *idem, Pisma zbiorowe*, t. 3, Warszawa 1937]

[...] I czas jest, abym dał wam pewną krytykę postępowania ówczesnych działaczy, krytykę – jak powtarzam – możliwie obiektywną, wychodzącą z założenia, że staje się w położeniu tych, którzy wówczas pracowali.

Przede wszystkim zwraca uwagę niedostateczne przygotowanie materiału ludzkiego, którym powstanie rozporządzało. Materiał ten składał się głównie z mieszczuchów, robotników, dość licznej inteligencji, wreszcie z wiejskiego elementu, z oficjalistów prywatnych przy dworach czy zakładach fabrycznych. Główną podstawą było mieszczaństwo, w którym wtedy przeważał element rzemieślniczy. Jeżeli wziąć spiskowych, to główną ich cyfrę stanowili mieszkańcy miast i miasteczek Królestwa. Element ten cały pod względem wojennym nie był do jakiegokolwiek wojny przygotowany, albowiem wówczas przygotowanie wojenne państw było formowane inaczej niż obecnie. Armie ówczesne nie tworzyły się na zasadzie powszechnej służby wojskowej, lecz przez rekrutację, przy tym rekrut w Królestwie szedł do wojska na dziesięć lat. Jego doświadczenie wojskowe najzupełniej nie dawało się przez społeczeństwo zużytkować. Dlatego też mamy tu do czynienia z elementem, do wojny nieprzygotowanym.

Obok tego dłuższy czas względnego zacisza z jednej strony, z drugiej stałe rozbrajanie Polski sprawiły, że ludność z bronią oswojoną nie była. Broń, zwłaszcza dla mieszczaństwa, nawet najprymitywniejsza, jaką była kosa, stanowiły zupełną nowość.

I oto nie spostrzegam w pamiętnikach żadnych działań ze strony głównych kierowników, aby tę ludność do nadchodzącej wojny przygotować. Jeżeli niektórzy wspominają o pewnych próbach musztry, to jednak widocznie było to tak rzadkie, że przeważnie pamiętnikarze opuszczają ten dział roboty. We wspomnieniach wybitnych członków Centralnego Komitetu nie znajdziemy nawet myśli, że należy ludzi do wojny przygotować. Zajęci oni byli pracą koło dalszego zorganizowania spisku, naprawianiem szczerb organizacji, zdarzeniami wewnętrznymi w rodzaju manifestacji, zajęci byli sprawami cywilnymi, zorganizowaniem konspiracji cywilnej, wreszcie byli pochłonięci wypadkami, idącymi w tak żywym tempie – ale o tych rzeczach technicznych, związanych z wojną, prawie nie myślano. Powiadam



„prawie” jedynie przez sumienność, gdyż bodaj tylko u jednego pamiętnikarza jest o tym wzmianka.

Tym przykrzej mnie to uderza, że czytając pamiętniki, opisujące powstanie, napotkałem we wspomnieniu Beliny [Stanisław Belina – pseudonim Wiktora Jaworskiego] z powiatu łęczyckiego na wiadomość, że gdy w maju czy czerwcu 1863 roku, a więc po rozpoczęciu powstania, przyjechał nowy naczelnik, to pierwszym krokiem jego było założenie szkoły podoficerskiej. Czyż nie czas było te szkoły zakładać poprzednio? Czyż nie należało zawczasu głowy zaprzątać tym, co następnie pod strzałami robić musiano? Jeżeli można było urządzić tak świetnie służbę cywilną, komunikacyjną etc., to zdawałoby się, tym łatwiejszym jest zwrócenie uwagi na przygotowania, konieczne do wojny.

Niechybnie każda organizacja konspiracyjna, istniejąca i rozwijająca się w warunkach zaboru rosyjskiego, a więc pod stałym naciskiem prześladowczym rządu, przede wszystkim dbać musi o własne bezpieczeństwo. Zmiana takiej organizacji na jawną nie jest łatwą i wymaga czasu, aby ją przeprowadzić. Ale ten czas potem byłby wygrany, gdyby poprzednio zostały zrobione przygotowania w celu wychowania wojennego ludzi. Obok tego praca nad przygotowaniem wojennym tego elementu niechybnie by się przyczyniła nawet do uzdrowienia stosunków wojskowych. Dałaby pewne zajęcie ludziom, które by ich powstrzymało czasem od różnych wystąpień, jakie wówczas nieraz miały miejsce. Ludzie by wtedy bardziej się liczyli z trudnościami technicznymi, które mogłyby niechybnie się przyczynić do zmniejszenia lekkomyślności, z jaką wojnę wydano. Powołam się tutaj na opinię człowieka, któremu w tym wypadku najwięcej wierzyć można, na słowa [Bronisława] Szwarcego, który nie kłamał dla polityki, czy też dlatego, aby przed żandarmami się wykręcić. Otóż twierdzi on, że niemożliwym jest wszechstronne przygotowanie w takich warunkach. Nic dziwnego, że organizacja ta poważnie chromać musiała.

Drugą sprawą nie mniejszej doniosłości jest kwestia uzbrojenia. Znane i słuszne są napaści na brak broni i przygotowania pod tym względem. Lecz spójrzmy, skąd się ją bierze? Kupuje się w Londynie, Paryżu, Belgii i Włoszech, a więc w krajach, niasąsiadujących z Królestwem, narażając się na najrozmaitsze trudności i przeszkody przy jej przewozie. Na kraje najbliższe nie zwrócono uwagi, a przecież one przede wszystkim powinny być powołane do tego, aby stać się dostarczycielem broni. Stamtąd nie trzeba było transportować broni przez rozliczne granice. [...] To samo, co z bronią, było ze wszystkim absolutnie, co dotyczyło uzbrojenia żołnierza. Nie było przygotowane kompletnie nic. Nie myślano o tym wcale. I jeden z wybitnych mężów tych czasów, [Marian] Langiewicz, słusznie powiada, po obejrzeniu wyznaczonego





mu województwa sandomierskiego, że wydawało mu się, jakoby powstanie miało być kilkugodzinnym polowaniem. Takie były przygotowania.

Podnoszę to jako niezaprzeczoną winę Centralnego Komitetu. Był to brak organizacji wojennej i mężów zaufania w tej dziedzinie – komendantów wojennych na prowincji. Naczelnicy ci wyjechali z Warszawy dopiero w styczniu, na parę tygodni, czasem kilka dni przed wybuchem. Przeważnie nie znają oni terenu. Każdy gubi się na miejscu w milionie szczegółów; każdy potrzebuje czasu, aby się oswoić z nowym położeniem. Tego czasu mu nie dają. Brak owych naczelników wojennych na miejscu jest jednym z najcięższych grzechów, jakie Komitet Centralny w stosunku do sprawy wojennej popełnił. Gdyby ci naczelnicy byli na miejscu choć parę miesięcy, to niechybnie inne byłyby skutki ich pracy. [...]



## 52. „Piechoty miałem około 900 ludzi, z których strzelców było do 300, a reszta kosyniery”.

[*Roman Rogiński powstaniec 1863 roku. Zeznania i wspomnienia, przygotował do druku Stefan Kieniewicz, Warszawa, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, 1983; pominięto przypisy autora opracowania*]

[...] W Janowie byłem 1 1/2 dnia. Przez ten czas porządkowałem siły. Kawalerii miałem do 70 koni i komendę nad nią poruczyłem Radowickiemu z Kobryńskiego (uczniowi szkoły genueskiej, żonatemu, około 27 lat), kawalerię rozdzieliłem na dwa plutony. Jednym plutonem dowodził Antoni Żukowski, a drugim syn obywatela z Brzeskiego. Wachmistrem był Bogusławski, kuzyn Kazimierza.

Piechoty miałem około 900 ludzi, z których strzelców było do 300, a reszta kosyniery. Nad strzelcami główne dowództwo miał Szaniawski, obywatel spod Łomaz, kompaniami dowodzili Baltazar Wolanin i Nowakowski, a oficerami byli: Sadowski Henryk, Paszyński Władysław, Lewicki Józef; w strzelcach był także żołnierz Adamów (witebskiej gubernii), który przyszedł do mnie do Janowa. [...]

W Janowie kazałem burmistrzowi ogłosić *Manifest* Komitetu, zacząłem mundurować strzelców. Dowiedziawszy się, iż wojsko ma opuścić Białę, chciałem atakować to miasto przed wyjściem wojska i przed wymarszem byłem u x. biskupa Szymańskiego prosząc go, aby później przyjechał do Białej dla odbycia nabożeństwa, ale biskup wymówił się chorobą i tylko nas pobłogosławił.

Do Białej przyszliśmy wieczorem. Z miasta mieszkańcy wyszli na nasze spotkanie z pochodniami i Żydzi, mając kokardy przy czapkach czerwone z białymi, krzyczeli „hura!” Wieczorem była iluminacja. Ja stanąłem na kwaterze generała Mamajewa, a ludzi ulokowałem na zamku; straż poruczona była Neckiemu. Na drugi dzień przyszła do mnie deputacja żydowska z prośbą o dozwoleństwo nabożeństwa i żebym był na onym przytomnym, na co zgodziłem się. Byłem w szkole, gdzie Żydzi prosili mnie położyć rękę na Talmudzie i krzyczeli: „Wiwat Rogiński”. Po nabożeństwie Szaniawski przeczytał *Manifest* Komitetu. Za tym poszedłem na nabożeństwo do fary. Nabożeństwo te odbywał x. proboszcz Mleczek, któremu z wieczora zapowiedziałem, żeby było gotowe nabożeństwo. W czasie nabożeństwa x. wikary Kożuchowski czytał *Manifest* Komitetu, a chorągiew z Orłem i z Pogonią, którą dostaliśmy od kobiet z Białej, poświęcał x. Mleczek. Chorągiew ta u Królowej Mostu zabrana została.

Po nabożeństwie byłem u naczelnika powiatu, gdzie zastałem szlachtę, tj. obywateli ziemskich, którzy byli i na nabożeństwie. Było ich około 20, a między



nimi rej wodzący był Buchowiecki ze wsi Kołczyna. Żądałem od nich, aby wybrali 7 członków na rząd, na co oni zgadzali się, lecz nie inaczej, tylko żebym sam ich wybrał i rozkazał być, co miałem urządzić na drugi dzień. Tegoż samego dnia dostałem wiadomość przez chłopą od rządcy z Woskrzenic, jak mówił ów chłop, że wojsko ruskie, 6 rot, 2 armaty, trochę kozaków i 200 saperów pod naczelstwem fligel-adiutanta Nostitza reperują most na rzece Krznie. Wskutek czego wieczorem wystąpiłem około godziny 10 z Białej i w odległości czterech wiorst od Białej, we wsi Białce, zetknąłem się z wojskami.

Wiedząc, że tuż za lasem wojska stoją u szosy biwakiem, dla uniknięcia ognia artylerii, która bez wątpienia była na szosie, posłałem kilku konnych szosą dla przekonania się i kiedy mi donieśli, iż wojsko jest rzeczywiście tuż za lasem, więc poszedłem nie po szosie, a w lewo od szosy boczną drogą wiodącą do Woskrzenic, a zajmwszy krzaki na prawym skrzydle pozycji hrabiego Nostitza w odległości 1 1/2 wiorsty od szosy, wysłałem przez las kilkunastu strzelców, by zajęli mostek leżący na szosie i trwożyli z frontu wojska, wówczas gdy ja z głównymi [siłami] będę atakować nieprzyjaciela ze skrzydła. Aby zaś powstrzymać rezerwy, które mogły nadejść od mostu reperującego się, kazałem Szaniawskiemu z jedną kompanią strzelców i oddziałem kosynierów ruszyć ku mostowi i zająć szosę.

Kiedy strzelcy na mostku u szosy odkryli ogień i całą uwagę na siebie wojsk zwrócili, tak że ogień karabinowy był bezustanny, wówczas z głównymi moimi siłami ruszyłem ku dworowi Białka. Zająwszy dwór i korzystając z ciemnej nocy, zostawiłem rezerwę na podwórzu razem z kawalerią obok dworu i strzelców, podtrzymawszy kosynierami, wysunąłem ku szosie. Strzelcy korzystając z zabudowań karczemnych i miejscowości zajęli rów szosy, co nieprzyjaciela zmusiło do zmiany frontu i zajęcia tyralierami rowu z przeciwnej strony szosy. Strzelcami dowodził Baltazar Wolanin.

Po niejakiem czasie kazałem kosynierom lewego skrzydła wziąć działa, lecz gdy dwa ataki zostały odbite kartaczami, wysunąłem kawalerię i poprowadziłem sam do trzeciego ataku łącznie z kosynierami prawego skrzydła, ale gdy pode mną zabito konia, przed samą szosą powstało zamieszanie i atak nie przyszedł do skutku. Zmuszony więc byłem odprowadzić oddział do dworu Białka i posłałem rozkazy do Szaniawskiego, aby atakował z prawego skrzydła Nostitza, ale Szaniawski, zetknąwszy się z rotą w lesie koło mostu, nie mógł tego dokonać, więc po godzinnym oczekiwaniu odstałem przez las tąż samą drogą do Białej, dokąd przybyłem około 3 z rana, Szaniawski zaś nie przybył. Strata moja była najmniej 60 zabitych i ranionych ze 30, a wielu rozpiezchło się. W czasie zajęcia karczmy zabity został ruski oficer i kilku żołnierzy przez kosynierów.



Z Białej zabrawszy obóz poszedłem do Janowa, dokąd nad wieczorem przyszedł i Szaniawski, któren mi doniósł, że zniszczywszy reperację mostu zajmował las do rana i rejterował przez Woskrzenicę ku Janowu, bo mu powiedziałem, że w razie potrzeby tam odejdę. Szaniawski miał jednego rannego. W Janowie byłem dwa dni i uporządkowawszy oddział i wyprowadziwszy starych do domów, a dowiedziawszy się, iż wojsko następuje z Białej na mnie, na trzeci dzień około południa ruszyłem z Janowa ku Niemirowu. Wojsko zajęło Janów i poszło za mną. [...]

Z Niemirowa udałem się na noc do Wyczółek, dokąd oddział przybył około północy. Przebywszy w Wyczółkach 1 1/2 doby, oczekując obozu, który siedł przez Wysokie, i wiadomości z Siemiatycz, gdzie miał zbierać się oddział, otrzymawszy list od Cichorskiego (Zameczka) i wiadomości, że Lewandowski jest w Siemiatyczach, pociągnąłem ze świtem do Siemiatycz.

[...] Pod Siemiatyczami z partią nadciągnąłem w nocy około 10 godziny, gdy już słyszeć było kanonadę. Stanąłem więc w odległości trzech wiorst od miasta i posłałem Goliana z oddziałem kawalerii dla porozumienia się z dowódcą Cichorskim (Zameczkiem), który pisał do mnie, żebym przybył. Golian wrócił, lecz rozporządzenia nie przywiózł, więc zostałem na biwaku. Rano pojechałem do miasta z oddziałem kawalerii, gdzie dowiedziałem się, iż utrzymali się w mieście i że wojsko odstąpiło od miasta po ataku przedsięwziętym na cmentarz i przyległe zabudowania przy trakcie z Ciechanowca, przy czym miał być ranionym jakiś pułkownik. Rylski opowiadał mi, iż Cichorski sam prowadził kosynierów do ataku na armaty i już był blisko nich, ale z powodu śpiewu „Jeszcze Polska nie zginęła” kolumna została spotkana kartaczami, któren to wystrzał zmusił do cofnięcia się [...].

[Po bitwie pod Siemiatyczami Roman Rogiński (1840–1915) na czele swojego oddziału ruszył przez Puszcę Białowieską w kierunku Prużany, zajętej 13 lutego 1863 roku, a następnie w stronę Pińska. 26 lutego oddział został rozbity w bitwie pod Borkami, około 50 kilometrów na północ od Pińska, sam zaś Rogiński schwytany 3 marca 1863 roku w Turowie nad Prypecią i przewieziony do Cytadeli Warszawskiej, gdzie złożył obszernie zeznania. Skazany na karę śmierci, zamienioną na 20 lat zesłania, został wywieziony na Syberię, skąd wrócił w 1892 roku].



### 53. Ostatnia bitwa wojsk dyktatora Mariana Langiewicza.

[Ludomir Grzybowski, *Opis powstania polskiego w roku 1863 i 1864 w województwie krakowskim*, oprac. Wiesław Caban, Zdzisław Jerzy Adamczyk, Kielce, Wyższa Szkoła Pedagogiczna w Kielcach, 1994 (pominięto przypisy autorów opracowania)]

[...] Nazajutrz od rana rozpoczęła się kanonada bardzo silna, dały się słyszeć armaty, fruwały race i strzały karabinowe nadzwyczaj gęste. Atakowani byliśmy ze wszystkich stron, gdyż zewsząd strzały było słychać. Pozycji jednak ani naszej, ani wojska rosyjskiego określić nie jestem w możności, było to w lesie. Naszemu trzeciemu batalionowi (w którym ja ciągle byłem) kazano przejść z jednego lasu do tego, wytykając nam drogę przez kilkudziesięciomorgową porębę. Kiedyśmy weszli na to odkryte pole, stał dom, zdaje się gajowego, a przy nim cały sztab i Langiewicz. Moskale widocznie ukryci byli w lesie z lewej strony, bo za naszym ukazaniem się na wspomnianej porębie rozpoczęli do nas ogień działowy i karabinowy. Piechota nasza przyspieszyła wprawdzie kroku ku wskazanemu lasowi, a jakkolwiek nie było widać nieprzyjaciela, bo był ukryty za drzewami, jednak odstrzeliwała się w tym kierunku, skąd pociski wychodziły. Nie było tam wprawdzie ani ładu, ani składu, w każdym razie trzymaliśmy się kupy. Ale proszę było widzieć ów światowy sztab, jak to na koniach uciekało [...]. Była, jak mówiłem, poręba, więc bardzo dużo stało pni po ściętych drzewach. Konie o takowe się potykały i nierzadko przewracały.

[...] Rochebrun, dowódca żuawów, widząc taką ucieczkę począł krzyczeć i wymyślać po francusku: „Wstyďte się Polacy, tchórze! Każę do was strzelać”, a widać było, jak był zirytowany, bo nieomal iskry z oczów mu się sypały.

Nareszcie doszliśmy do wskazanego lasu i tu po raz pierwszy zeszliśmy się z Moskalami oko w oko. Czy czekali na nas w owym lesie i nie strzelali, aby rzucić się na nas z bagnetami, czy oni szli w tym kierunku, nie widząc, że się spotkamy, nie wiem, lecz to ostatnie jest prawdopodobniejsze. Bo kiedy poczęli krzyczeć „hura! hura!” i z bagnetami ku nam się rzucili, w tej chwili za nimi zjawili się kosynierzy i również z krzykiem uderzyli na nich, siekąc kosami. Pomieszaliśmy się jak groch z kapustą i jak kto umiał, jak kto mógł, walczył. Moskale przerażeni zaczęli się rozbiegać po lesie. Tylko w środku nas będących siedmnastu z oficerem na czele, nie mając żadnego miejsca do ucieczki, a przy tym kiedy podbiegł kosynier i dziabnął oficera kosą przez głowę powyżej ucha, ten zasłaniając się ręką wołał: „Nie bijcie, pardon, pardon” i wyciągnął pałasz do oddania. Wtedy i tych siedmnastu żołnierzy opuściwszy karabiny na dół wołali: „Pardon”, następnie oddali karabiny, ładownice



z ładunkami bez żadnego oporu, oficer pałasz i rewolwer, i tak rozbrojeni pozostawiali pod eskortą kosynierów.

Bitwa trwała jeszcze dość długo, bo aż ku wieczorowi, ataku już na bagnety nie było wprawdzie, ale wciąż strzelaliśmy do siebie i jakoś Moskale placu nie dotrzymywali.

Nasz trzeci batalion ustawili nad łąką będącą w lesie i wkrótce *vis-d-vis* na drugim końcu tej łączki o jakieś 300 kroków wyszła dość duża gromada ruskiej piechoty. Przyjęliśmy ich rotowym ogniem, oni odpowiedzieli strzałami, lecz wkrótce cofnęli się w las. Nam kazano ich gonić, lecz gdyśmy dobiegli do lasu, ani śladu, gdzie się podziiali.

Nad wieczorem strzały umilkły. Moskale, zdaje się, odstąpili, bo nas nie atakowali, a myśmy poszli na noc do wsi Wełcz, odległej o dwie wiorsty od Buska. Kazano nam rozlokować się po domach; że domów w tej wsi jest kilkadziesiąt, a nas było kilka tysięcy, więc można sobie wyobrazić, jaki wygodny nocleg mieliśmy. Cały dzień niceśmy nie jedli. Noc poprzednią spędziliśmy pod gołym niebem, więc głód i znużenie dokuczały. Nie przebierając, gdzie kto mógł, w izbie czy w sieni, bez żadnego posłania, kładł się i usypiał, byle pod dachem, bo zimno, jak przeważnie w marcu, było dokuczliwe. Kiedyśmy doszli do Wełcza, było już około dziesiątej wieczór. Noc ciemna i deszcz ze śniegiem padał. Widocznie Moskale nie wiedzieli, jak jesteśmy rozlokowani, bo gdyby nadeszli, mogli nas z każdego domu zabierać bez wystrzału, żadnych bowiem ostrożności nie przedsięwzięto, gdyż ani pikiet, ani rekonesansu nie było. Następnego dnia dały się słyszeć nawoływania do wymarszu, więc gromadziliśmy się koło dworu. Langiewicza już nie było i powiedziano nam, że wyjechał wprzód do Opatowca, miasteczka położonego nad samą Wisłą, i że tam na wojsko będzie czekał, że kazał pośpieszać za sobą, a na te kilka godzin w zastępstwie swym pozostawia brygadiera Śmiechowskiego. [...]

[Prezentowany fragment wspomnień dotyczy bitwy pod Grochowiskami stoczonej w drugiej połowie marca 1863 roku. Po tej nierozegranej bitwie zgrupowanie wojsk dyktatora powstania, gen. Mariana Langiewicza, się rozpadło, a on sam został internowany przez Austriaków].





## 54. Cień Murawiowa

[Michał Murawjow, *Wspomnienia*, przekład Zbigniew Podgórzec, opracowanie Paweł P. Wieczorkiewicz, Warszawa, Wydawnictwa Zebra, 1990]

Wchodząc zastałem Cesarza bardzo zdenerwowanego. Przedstawił mi stan rzeczy na Litwie i w Królestwie Polskim, wszystkie swoje obawy, czy uda się utrzymać Litwę przy Rosji, zwłaszcza w przypadku wojny europejskiej, której należało oczekiwać po groźbach ze strony Francji i Anglii. NPan dodał przy tym, iż prosi mnie, abym przejął zarząd Krajem Północno-Zachodnim wraz z dowództwem wszystkich znajdujących się tam wojsk i po dołączeniu dwóch guberni białoruskich do czterech guberni, które składają się na generał-gubernatorstwo wileńskie. Powiedział, że spodziewa się, iż uśmierzę bunt i doprowadzę tam wszystko do należytego porządku; że udziela mi pełnej swobody działania w razie dostrzeżenia potrzeby, a po uśmierzeniu buntu ode mnie zależeć będzie, czy zechcę wrócić, czy pozostać tam generałem-gubernatorem.

[...]. Na propozycję Cesarza odpowiedziałem, że jako Rosjanin byłbym nieuczciwym, gdybym się uchylił od powierzanych mi teraz obowiązków: że każdy Rosjanin obowiązany jest poświęcić się dla dobra ojczyzny, a zatem, zgadzam się wziąć na siebie ciężkie obowiązki generała-gubernatora w tym kraju. Od NPana zależeć będzie nakazanie mi pozostać tam tak długo, jak będzie uważał to za stosowne, jednakże równocześnie muszę prosić o obdarzenie mnie pełnym zaufaniem, gdyż w przeciwnym wypadku nie osiągnie się żadnego skutku. Z radością gotów jestem poświęcić się dla dobra i szczęścia Rosji, lecz chciałbym, aby dane mi były wszelkie środki do wypełnienia nałożonych na mnie obowiązków. Co najważniejsze, trzeba porozumieć się wstępnie co do systemu działań. Przy tym powiedziałem NPanu, że uważam, iż sposób zarządzania Królestwem Polskim zupełnie nie odpowiada obecnym okolicznościom; konieczne jest, aby w Kraju Zachodnim, tak jak i Królestwie, był ten sam system, tj. surowe tłumienie spisków i buntów, podnoszenie godności rosyjskiej narodowości i ducha w wojsku, które oburza się, iż będąc stale narażone na obelżywe traktowanie przez Polaków, nie ma nawet prawa przeciwdziałania ich szaleństwom. Konieczne jest danie stanowczej odprawy państwom zagranicznym, które wszelkimi sposobami będą oczerniać proponowany przeze mnie system srogiego tępienia buntu i ducha polskiego, rewolucyjnego. Konieczne jest też, aby i ministrowie JCMości podzielali ten system i przyświecały im te same idee, gdyż w przeciwnym razie nie może być pomyślnego skutku w działaniach w terenie.



Wszystko to razem wzięte nakazuje mi prosić, aby JC Wysokość jeszcze raz rozważył, czy nie znajdzie innej osoby dla wypełnienia zleconych mi obecnie zadań, której system działania zyskałby więcej przychylności Europy i petersburskich osobistości rządowych. Wiem zawczasu, że system mój nie będzie się podobał, lecz zrezygnować z niego nie mogę i z góry to zapowiadam, znam bowiem dostatecznie naród polski i jestem przekonany, iż ustępstwami i słabością rzecz całą tylko pogorszyć możemy: spokój zaś możemy przywrócić w kraju jedynie środkami srożej sprawiedliwości i prześladowaniem buntu. Przy tym wyraziłem N Panu moje przekonanie, że kraj ten od wieków rosyjski sami spolszczyliśmy; że doświadczenia 1831 roku nie wyszły nam na korzyść. Teraz stanowczymi środkami należy stłumić bunt i wytępić spiski oraz odbudować narodowość rosyjską i prawosławie. [...] Na wszystko to Cesarz odpowiedział podziękowaniem za moje poświęcenie i gotowość wzięcia na siebie tego trudnego zadania: że najzupełniej podziela mój punkt widzenia i proponowany system, i nie odstąpi od niego.

[...]

Uciekłem się do środka – nakładania kar pieniężnych – który okazał się nader skuteczny. Nakazane zostało ściąganie od właścicieli domów, a także majstrów, restauratorów i innych od 10 do 25 rubli kary od każdego człowieka, który przyłączył się od nich do buntu i ściąganie jej bez żadnych względów, aż do sprzedaży całego mienia. W tenże sposób obłożone zostały klasztory i parafialne duchowieństwo rzymskokatolickie: za każdego uchodzącego od nich do powstania płacono po 100 rubli, a przy ponowieniu się ucieczki, karę nakazano podwajać. Za noszenie żałoby rozkazano ściągać po 25 rubli kary, a w razie powtórzenia – karę tę podwajano. Za pomocą tych środków, stosowanych surowo i bezzwłocznie, zlikwidowano wszystkie wspomniane nieporządki i z miasta z rzadka już tylko uciekali do buntowników ludzie bez stałego miejsca pobytu. Księża zaś i mnisi, zapłaciwszy po kilkaset rubli kary, przestali uciekać do band; niemniej jednak pozostając w Wilnie, potajemnie i jawnie współdziałali z nimi i rozdmuchiwali płomień buntu. Sam biskup Krasiński był w tym względzie jednym z najgorliwszych. Wszystkie te środki i wiele innych, których nie wspominam, bo samo ich wyliczenie byłoby uciążliwe, a wiele z nich zostało opisanych i są powszechnie znane, przyniosły korzyść widoczną i uciszyły polskie rewolucyjne manifestacje. Wszystkiego tego było jednakże mało: należało było przystąpić do podjęcia środków jeszcze donioślejszych i do srogiego tłumienia spisku. Wielu zatrzymano w różnych okresach za udział w buncie, wszystkie więzienia były nimi przepełnione, lecz, niestety, po większej części sprawy ich nie były zakończone, a nawet nie zaczęte. Osoby zaś skazane przez sądy wojenne nie były



konfirmowane, ponieważ obawiano się drażnić buntowników srogością.

Pragnąc dowieść Polakom, że rząd nasz się ich nie obawia, zająłem się niezwłocznie rozpatrzeniem wyroków na ważniejszych przestępców. Zatwierdziłem je i kazałem natychmiast wykonać w Wilnie na placu targowym, w samo południe, ogłaszając egzekucję całemu miastu przy odgłosie bębnów. Zacząłem od księży, jako od głównych działaczy buntu; w ciągu tygodnia rozstrzelano dwóch księży. Polacy nie wierzyli, że się na to zdecyduję, ale gdy dostrzegli dokonania w miejsce słów, opanował ich strach. Wiele było w mieście płaczów i krzyków i szereg osób nawet z niego wyjechało. Biskup Krasiński, bardziej niż inni, zląkł się egzekucji księży. Bał się o siebie i o swoją kapitułę, a kiedy go wezwałem, aby cyrkularzem nakazał rzymskokatolickiemu duchowieństwu, żeby przeciwdziało powstaniu, udał pozornie chorego i powierzył komu innemu zarząd konsystorza. Kazałem go dla przykładu wywieźć pod strażą żandarma do Wiatki. Wśród znajdujących się w więzieniu był także ranny były kapitan generalnego sztabu Sierakowski, który dowodził największym oddziałem na Żmudzi, rozbitym przez gen. Haneckiego, dowódcę pułku finlandzkiego, a także szlachcic Kołyszko, naczelnik innego znacznego oddziału. Kazałem przyspieszyć ich sprawy i konfirmowałem ich obu – na powieszenie. Cztery te przykłady podziały silnie na Polaków; zaczęli się upewniać, że nie będę z nimi żartować.

[Bolesław Kołyszko zginął na szubienicy 9, Zygmunt Sierakowski zaś 27 czerwca 1863 roku na placu Łukiskim w Wilnie. Nie wymienieni z nazwiska księża katolicy to ks. Stanisław Iszora i ks. Rajmund Ziemacki. Pierwszy był wikariuszem w powiecie lidzkim, zaangażowanym w patriotyczną działalność poprzedzającą wybuch powstania. Po jego rozpoczęciu odczytał z ambony manifest Rządu Narodowego oraz dekret o uwłaszczeniu chłopów. W maju 1863 roku został skazany na pięć lat zesłania – wbrew oficjalnym zapewnieniom zaborcy, że każdy kto dobrowolnie odda się w jego ręce, nie będzie podlegał karze (ks. Iszora zrobił to, kiedy w odwet za jego działalność władze rosyjskie aresztowały jego zwierzchnika w diecezji). Wieszatiel nakazał powtórny sąd, który skazał ks. Iszorę na rozstrzelanie. Egzekucji dokonano 3 czerwca 1863 roku na placu Łukiskim. Dwa dni później za odczytanie manifestu Rządu Narodowego rozstrzelano tam ks. Rajmunda Ziemackiego, wikarego kościoła św. Rafała w Wilnie, powstańca jeszcze z 1831 roku].



## 55. Z bojów 1863 roku. „Bitwa pod Stefankowem była jedną z najchlubniejszych dla oręża polskiego”.

[*Pamiętnik kapelana księdza Serafina Szulca (w:) Zapomniane wspomnienia, oprac. Eligiusz Kozłowski, Warszawa, Wydawnictwo PAX, 1981*]

[...] [Dionizy] Czachowski pomimo swojej zbytcej i przesadzonej surowości chciał z jeńcami moskiewskimi dobrze postępować i pisał do generała rosyjskiego Uszakowa w Radomiu, że spodziewa się, iż on z polskimi jeńcami i bezbronną ludnością również łagodnie będzie się obchodził, w przeciwnym bowiem razie zmusiłby jego do odwetu. Zdarzyło się potem, jak mówiłem, że w Grabowcu Moskale zamordowali kilku bezbronnych mieszczan. Czachowski oburzony takim postępowaniem napisał z lasu drugi następującej treści list do Uszakowa: „Szanowny kolego! Gdy wojsko polskie opuściło Grabowiec, zajęło go wojsko moskiewskie i dopuściło się tam morderstw, zabijwszy kilku bezbronnych mieszkańców i poraniwszy zgrzybiałego proboszcza. Otóż według Pisma świętego: »ząb za ząb, oko za oko«. Od tej chwili oznajmiam ci pod słowem honoru, że każdego żołnierza moskiewskiego, który się dostanie w moją niewolę, bez pardonu wieszać będę. (Podpisano) Pułkownik Czachowski. Szef sztabu [Władysław] Eminowicz”.

Czachowski słowa dotrzymał, jeńcom nie przepuszczał, a srogie prawo odwetu rozpoczął od Nikiforowa. Nazwisko podobne do tego, który walczył pod [Apolinarym] Kurowskim, lecz osoba inna. Przebiegając w różnych kierunkach Sandomierskie, w bliskości Niekłania, stanęliśmy w lesie obozem, w miejscu tak zwanym Piekło. Kononowicz Władysław, za nami zdążając, pod Grzybową Górą 17 kwietnia z rana około godziny trzeciej wpadł w zasadzkę moskiewską. W tej bitwie oddział Kononowicza odniósł zwycięstwo, może z tego powodu, że Moskwa blisko przypuściła naszych i kosynierzy mogli pójść do ataku. Ks[iądz] Agrypin Konarski spostrzegłszy, że dowódca kosynierów, niejaki major T. schował się za krzaki, objął nad nimi komendę, zagroził do walki, poprowadził naprzód, pomimo że kula urwała mu palec od ręki. Kosynierzy rozstrzygnęli tam walkę, narąbali dużo Moskali i zabili im kapitana.

W tym czasie (18 kwietnia) i [Faustyn] Gryliński miał potyczkę, pod Brodami, około jedenastej godziny, do tysiąca Moskali z trzech stron na niego uderzyło. Po godzinnej bitwie Gryliński szczęśliwie się wycofał zabrawszy w odwrocie furgon moskiewski z bagażami i kilkunastu karabinami.

Po otrzymaniu wiadomości od Grylińskiego wyszedł z rana 22 kwietnia około



godziny czwartej Czachowski z Łopackim na wyprawę, chcąc uderzyć na blisko stojący oddział moskiewski, złożony z dwóch rot piechoty, sotni kozaków i dragonów.

Powstańcy szli w największej cichości szerokim gościńcem w lesie. Zaledwo zbliżyliśmy się ku jego krawędzi przy Stefankowie, na szpicy dał się słyszeć wystrzał. Moskwa wdarła się do lasu i rozpoczął się bój krwawy. Kapitan [Stanisław] Dobrogoyski wpadł w sam środek nieprzyjacielskiej kolumny, powalił z rewolweru sześciu Moskali, a gdy szósty strzał zawiódł, padł ugodzony w piersi karabinową kulą. W ten sposób oddał Bogu ducha ten waleczny oficer, przewany Grzmotem. Za jego przykładem poszedł do ataku ze strzelcami Czesław Tabaczyński i kapitan kosynierów galicyjskiego oddziału, Olszewski. Kosynierzy wdarli się także w środek kolumny moskiewskiej, złamali ją i rozszerzyli wśród niej okropne spustoszenie. Moskwa strwożona taką śmiałością i gwałtownością napadu zaczęła rejterować w zupełnym popłochu, lecz Polacy za nią postępowali i uciekających bili. Z dwóch rot moskiewskich garstka tylko ucieczką wyratowała życie. Wielkim męstwem w tym zażartym boju odznaczył się nasz oddział, oficerowie fachowi śmiało i mądrze prowadzili w ogień swoich żołnierzy. Dowódca Łopacki; Czesław Tabaczyński, kapitan strzelców; Olszewski, kapitan kosynierów, otrzymali zaszczytne blizny; pod rotmistrzem Bertolim zabito konia; Stamirowski ranny lekko w rękę, a kapitan Dobrogoyski, jak mówiłem, zginął jak bohater; pochowano go w Niekłaniu. Szeregowców padło na placu pięciu, a kilku ciężko rannych wkrótce potem umarło. Pomiędzy nimi był dzielny młodzieniec, Niemiec, rodem z Wiednia, niemówiący wcale po polsku. Chociaż obcy nam narodowością, nie obcy był pięknnością ducha; od pierwszej chwili powstania nieustraszenie walczył za wolność pod Kurowskim, następnie pod Langiewiczem, a w końcu w oddziale galicyjskim Łopackiego.

Bitwa pod Stefankowem była jedną z najchlubniejszych dla oręża polskiego i najkorzystniejszych, jakich byłem widzem. Zabrano kilkadziesiąt sztucerów, dwa jaszczyki z amunicją, różne bagaże i mundury. Pobici Moskale byli ci sami, którzy się dopuszczali największych rabunków i morderstw na mieszkańcach Suchedniowa, Bodzentyna i innych sandomierskich miasteczek; byli to sami prawie starzy, dobrze wysłużeni żołnierze. Pieniędzy i rzeczy zrabowanych, nawet czerwonych krakowskich czapek, znaleziono przy nich wiele. Kozakom z kulbak powydobywano srebrne stołowe i wazowe łyżki. Dowodzący nimi kapitan Nikiforow zostawszy ranny w rękę, uciekł do chałupy i tam go baba schowała pod pierzynę, lecz jeden z polskich oficerów spostrzegł go, wyciągnął spod pierza, a gdy go wyprowadzono na podwórze, Czachowski uderzył go batem i kazał mu związać w tył ręce. W ten sposób, boso, poprowadzono go za obozem, a w końcu powieszono wraz z kilku



szpiegami i żołnierzami, z których jeden się oberwał, zdaje się dlatego, że sznur był podcięty przez chcących mu uratować życie powstańców, jako wzywającego imienia Matki Boskiej i mówiącego, że jest rodem z Olkuskiego, wskutek czego, za wstawieniem się moim, darował mu Czachowski życie.

[Dionizy Czachowski, jeden z najwybitniejszych dowódców powstania styczniowego, zginął 6 listopada 1863 r. pod Jaworem Soleckim na Mazowszu (czasem podawane są również pobliskie Wierzchowiska). Wymieniony w tekście, poległy w bitwie pod Stefankowem Stanisław Dobrogoyski „Grzmot” był synem Ignacego, jednego z przywódców Towarzystwa Patriotycznego, skazanym w procesie Waleriana Łukasińskiego. Wraz z nim i Mikołajem Dobrzyckim był ofiarą publicznej degradacji, która nastąpiła 2 października 1824 r. w obozie wojskowym na warszawskich Powązkach (zob. komentarz do tekstu nr 17). Zmarł krótko po niej w twierdzy w Zamościu. Inny ze wspomnianych w tekście powstańców, ks. Agrypin Konarski, wzięty do niewoli przez Rosjan, został powieszony w Cytadeli Warszawskiej 12 czerwca 1863 roku. O wspomnianym mordzie dokonany przez żołnierzy rosyjskich na mieszkańcach Grabowca zob. Justyna Zaczek, *Z historii Grabowca. Rys historyczny*, [www.grabowiec.pl](http://www.grabowiec.pl)].





## 56. „Takie egzekucyjki zdarzały się dość często”.

[Ludomir Grzybowski, *Opis powstania polskiego w roku 1863 i 1864 w województwie krakowskim*, oprac. Wiesław Caban, Zdzisław Jerzy Adamczyk, Kielce, Wyższa Szkoła Pedagogiczna w Kielcach, 1994 (pominięto większość przypisów autorów opracowania)]

[...] Nareszcie skończył się urlop i należało wracać do oddziału. Bogusza oddział przepadł bez wieści i dopiero jadąc w poszukiwanie go, dowiedziałem się, że oddział jego przyłączył się do oddziału Iskry i że mają *locum* we Włoszczowskim. W tamte więc okolice zwróciłem się i spotkałem obydwie oddziały w Olesznie, majątku pana Niemojewskiego. Przywitanie z Boguszem i innymi było bardzo serdeczne. W oddziale Iskry zastałem dużo znajomych, jak Nowickiego, Groba, Ładę, Rydygiera, Boczkowskiego, Barzykowskiego, któren u Langiewicza był porucznikiem, a obecnie adiutantem Iskry, i wielu innych. Po zaprezentowaniu się Iskrze zostałem przez tegoż zaproszony na kolację, która była podana w pałacu, bo tam Iskra kwaterował, a na drugi dzień oddano mi jako oficerowi mianowanemu przez Rząd Narodowy pod komendę pluton kawalerii. Staliśmy w Olesznie parę dni w spokoju. Aż jednej nocy zrobił się nadzwyczajny alarm, krzyki, nawoływanie warty, więc cały oddział zerwał się na nogi i pod broń w przekonaniu, że Moskale napadli. Dyżurny oficer począł biegać po obozie i uspokajać, że nie ma żadnego niebezpieczeństwa, że możemy spokojnie spać, bo to osobista sprawa pułkownika Iskry. Nazajutrz dowiedziałem się, że plenipotent czy zarządzający majątku Oleszno wyjechał z całą rodziną i będzie skarżył Iskrę za nieprzyzwoite i haniebne postępowanie w jego domu [Iskra dopuścił się gwałtu na córce zarządcy majątku – przyp. red.]. Jakoż tego dnia przyszło wezwanie, a raczej polecenie, aby Iskra z całym oddziałem opuścił Oleszno. Wyszliśmy tedy do folwarku Żeleźnica, niezbyt daleko od Oleszna, a że na tym folwarku prócz owczarni, stodoły, stajni i jakiegoś mieszkania dla służby nic więcej nie było, więc Iskra rozesłał rekwizycje o prowianty dla ludzi, jak i o paszę dla koni. Między innymi posłał i do majątku, zdaje mi się, hrabiny Walewskiej mnie, gdzie był zarządzający Lgocki. Miał on gospodynię, taką babę prostą ze wsi, która widocznie go zawojowała. Kiedy przyszło rozporządzenie, aby dostawili do Żeleźnicy kaszy, mąki, słoniny, chleba etc., Lgocki chciał zaraz wysłać, co w spiżarni było, ale baba stanowczo się temu oparła, pozamykała wszystko, jego wykrzyczała i nie dała nic a nic. Iskra odebrawszy o tym raport natychmiast posłał pluton kawalerii, kazał *par force* prowianty zabrać i Lgockiego wraz z gospodynią przywieźć. Stawieni przed Iskrą, Lgocki tłumaczył się, że nie z jego winy prowiantów nie dostawiono, że on chciał



dać, ale gospodyni nie pozwoliła. Zapytana gospodyni, czy rzeczywiście tak było, odpowiedziała: „Ha, ino bo za cóż to miałam dawać, płacił mi kto za to, czy co?”. Stawiała się tak hardo i impertynencko, że na powiedzenie Iskry: „Każę cię powiesić” – odpowiedziała: „O lo Boga, wielkie rzeczy, to bede wisiała” – i rzeczywiście kazał ją Iskra powiesić.

Sądziłem, że gdy będą przystępować do egzekucji, kobiecina zmięknie, tymczasem z całą przytomnością umysłu, bez żadnego zdaje się lęku, odpięła z szyi korale i oddając takowe niedaleko niej stojącemu Lgockiemu powiedziała: „Mos pon”. Przystawiono drabinę do jakiegoś drzewa stojącego na gumnie, kazano jej na takową wejść, co bez żadnego oporu, bez żadnego żalu za życiem uczyniła, następnie kazano jej drugi koniec powroza przywiązać mocno do grubej gałęzi – i to z całym spokojem spełniła. Rzeczywiście godnym było podziwu, żeby kobieta z taką rezygnacją, z takim spokojem, bez okazania najmniejszej obawy szła na śmierć.

Jak skończyła się ta egzekucja, nie wiem, bom uciekł, lecz opowiadali, że gdy przymocowała powróż do drzewa, kazali jej odepchnąć drabinę, na której stała, a ona i to zrobiła i zawisła w powietrzu.

Takie egzekucyjki zdarzały się dość często, a że z zasady byłem przeciwny wszelkim nadużyciom i gwałtom, zastanawiałem się więc nad tym, jak taki człowiek, choć on tam i dowódca oddziału, może bez żadnego skrupułu, prawie bez zastanowienia się, bez jakiejś wspólnej narady, powiedzieć: „powiesić”, a później jeść, pić, bawić się jak gdyby nic, tak jak gdyby muchę zabił.

Pamiętam, razu jednego stał cały oddział Iskry w lasach ociesęckich (to już się liczy Świętokrzyskie), na drodze porozstawiano pikiety. Jakiś dziadowina staruszek szedł drogą, widocznie za jałmużną. Pikieta przyprowadziła go do obozu. Podejrzanie ktoś rzucił, że to może szpieg, po ścisłym jednak badaniu pokazało się, że dziad łązi od wsi do wsi i zbiera, co mu kto da. Mimo to kazano mu siedzieć w obozie i nie ruszać się, pokąd oddział nie odejdzie stąd. Żołnierze, mając w manierkach wódkę, poczęli go częstować, tak że dziad dobrze sobie podpił. Bądź przez niewiedomość, co robi, bądź ze strachu, aby mu „Poloki” co złego nie zrobili, wymknął się z obozu i dostał na tę samą drogę. Pikieta znów go złapała i przyprowadziła do obozu, ze śmiechu zaczęto wołać „to widać prawdziwy szpieg i wynosi się z wiadomościami do Moskali”, a Iskra niewiele myśląc powiada: „To go weźcie i powieście przy drodze”. I prawdopodobnie najniewinniejszego dziadowinę powiesili w przekonaniu, że jakiego heroicznego czynu dokonali.



## 57. „Bić wroga wszędzie i zawsze to najlepsza dyplomacja”

[Z listów dowódcy Sił Zbrojnych Województwa Lubelskiego i Ziemi Ruskich gen. Józefa Wysockiego do dowódcy naczelnego Sił Zbrojnych Województwa Lubelskiego gen. Antoniego Jeziorańskiego, 2 i 22 kwietnia 1863 roku [w:] *Zapomniane wspomnienia*, oprac. Eligiusz Kozłowski, Warszawa, Wydawnictwo PAX, 1981]

Panie Jenerale. Powierzonym Ci został kierunek Sił Zbrojnych jednego z najpatriotyczniejszych województw. Wszędzie we wszystkich klasach znajdziesz ludzi chętnych i poświęcenia, którzy Ci chętnie we wszystkim dopomogą. W krótkim przeto czasie możesz znacznie powiększyć swój oddział. Jedynie brak palnej broni może być przeszkodą do organizacji na większą skalę. Czując jak najmocniej ten niedostatek, zażądałem od Dyrekcji Wojny, ażeby z 6 tys[ięcy], które ma w tych dniach odebrać, przysłała nam połowę, to jest trzy tysiące, i których znowu połowę przeznaczam w województwo lubelskie, a drugą połowę do dalszej mojej dyspozycji. Żeby ta broń doszła swego przeznaczenia, porozumiałem się z Komisarzem Rządowym we Lwowie i z jednym z członków Rządu Lubelskiego. Ten ostatni ma być u Ciebie i rozmówić się z Tobą co do sprowadzenia tej broni na miejsce. Zostawiając zupełnie Twojej własnej przezorności rozkład i użycie sił, proszę Cię jedynie, żebyś szedł za własnym popędem i nie dał się złowić w sidła fałszywej dyplomacji. Bić wroga wszędzie i zawsze to najlepsza dyplomacja i tej jedynie trzymajmy się.

[...]

Z przyjemnością dowiaduję się z Twego raportu z dnia 21 IV, że nareszcie po wielu trudach zebrałeś broń i rekwizyty potrzebne dla Twego oddziału i w tych dniach przekraczasz granicę. Proszę Cię, Generale, zapuszczając się w głąb kraju staraj się po drodze ustanowić poczty przez ludzi chętnych albo, co najlepiej, przez kobiety dla komunikacji i zawiadam mnie, do kogo nad granicą mam przysyłać listy. Ta komunikacja między nami będzie tym ważniejsza, że ja z mojej strony w jak najkrótszym czasie wkroczę w prowincje sąsiednie, może przeto wypadnie potrzeba kombinować nasze dalsze operacje. Twój wysłaniec powie Ci ustnie adres, pod którym będziesz mógł do mnie pisywać (Marian Sokołowski, Hotel Żorża nr 52). Jakkolwiek szczupłe są nasze fundusze i ja wiele potrzebuję dla przygotowania oddziału, z którym sam chcę pójść, jednakże jeżeli Komitet nie da, to ja podzielę się z Tobą i dam Ci 1500 zł ren. z 3000, które przyniósł mi dziś komisarz wojenny od Rządu. Jak odbierzesz deklaracje od oficerów wyższych, przyslij je pod adresem wskazanym, a ja je odeszlę do Wydziału Wojny. Nie zapomnij, Jenerale, ogłaszać wszędzie, gdzie tylko będziesz przechodził i czas pozwoli Ci, odezwę Rządu o uwłaszczeniu chłopów.



Trzeba także starać się wszelkimi sposobami przyciągnąć na naszą stronę lud wiejski pomimo doznanych trudności i dotychczasowej z jego strony niechęci. Dowody, jakie już dałeś Twojej waleczności i znajomości prowadzenia wojny podjazdowej, każą nam spodziewać się, że wkrótce usłyszę o Twoich zwycięstwach, dlatego z niecierpliwością wyglądać będę Twoich raportów z placu boju. Zostaję z szacunkiem i przyjaźnią J[ózef] Wysocki. [...] Dowódca Naczelny Sił Zbrojnych Województwa Lubelskiego i Ziem Ruskich.



## 58. Kapitan Rymwid

[Stefan Żeromski, *Echa leśne* [w:] Stefan Żeromski, *Opowiadania*, Warszawa, Książka i Wiedza, 1981]

[...]

– Z jakiej racji krzyż w tym miejscu – a?

– Jak to krzyż, panie generale... Ludzie postawią, drudzy czapki uchylają – i tak se ta stoi... Już też i spróchniał od dołu, podparło go się tam z boku dwoma „pasierbami”...

– Kto postawił? – nalegał generał.

– Prawdę powiedziawszy... – mruknął niewyraźnie Guńkiewicz, uśmiechając się nieśmiało – prawdę powiedziawszy, to ja ten krzyż postawiłem. Drzewa tu mamy w bród. Wzięło się jodłę zdrową, jędrną, wystała. Obrobił ją do kantu, a nawet tu obecny cieśla, a nasz teraz pan wójt...

– E, nie ma ta o czym, co ta... – opędzał się niechętnie wójt Gała.

– Wpuściło się drzewo w ten piach głęboko, głęboko...

– A dlaczegoż w tym właśnie miejscu?

– Dlatego, proszę łaski pana generała, że w tym miejscu leży człowiek pochowany, tam w tej wydmi.

– Człowiek pochowany... – powtórzył generał. – A pan tego człowieka znałeś może, co?

– Ano... Juścić go znałem, bo na takim leśnictwie jak moje trudno było nie znać... Lasy wokolusieńko milami. Kto już w te lasy wlaźł, to mojego węgła, a nawet mojego łóżka pewno nie ominął.

Generał zwiesił głowę i przez czas dość długi siedział w milczeniu. Wyjął wreszcie z bocznej kieszeni srebrną papierośnicę, otworzył ją niepewnymi palcami.

– A wiesz pan – mówił z zimnym uśmiechem – że ów człowiek, co tam pochowany leży, to mój rodzony bratanek...

Geometra Knopf, który dotąd siedział bez ruchu, zapatrzony w płomień ogniska z takim zacięciem ust, jakby miał przed sobą coś obmierzłego, rzucił na generała gwałtowne spojrzenie:

– Rymwid?! – zawołał. Generał zwrócił się ku niemu:

– To właśnie, Rymwid... A i pan coś o nim wiesz... Knopf wykonał ustami szereg wykrzywień, jakby przed chwilą pił czysty sok cytrynowy, kiwał chudą ręką w rozmaitych kierunkach, mrugał białymi powiekami. Wreszcie wśród najnieznośniejszych dla oka a obłudnych uśmiechów mruknął:



– No tak... Rymwid... Rozumie się...

– Rymwid! – powtórzył generał z zaciętością i szyderstwem. – On, porucznik mojego pułku – Rymwid! „Kapitan”! No, i dograł się...

– Więc to rodzony bratanek... – z trwogą szeptał Guńkiewicz, wybałuszając ogłupiałe oczy.

– Rodzonego brata drugi z rzędu syn, Jan – mówił generał w zadumie. – Brat mój w sewastopolskiej wojnie pod Małachowem Kurhanem sławnie zginął. Generał-major, mikołajewskich czasów człowiek. Za węgierską kampanię nagrodzony stopniem, orderami, majątkiem w penzeńskiej guberni. Na polu bitwy umierając, mnie tych dwóch synów swoich polecił. Jam mu braterskie i żołnierskie słowo dał, że ich na ludzi wychowam, w świat wyprowadzę. No, i dochowałem słowa. I dochowałem... Starszy na Kaukazie służył i tam z cholery umarł w randze sztabskapitana. Piotr, bezzenny. Młodszy, Jan, przy mnie w pułku służył po skończeniu korpusu. Ożenił się młodo z Polką, Płazianką, synka małego miał, kiedy to podle powstanie przyszło. Przyszło to podle powstanie, moi panowie; odkomenderowali... Ja wtedy byłem w randze podpułkownika. Poszliśmy w Opoczyńskie.

Generał zamyślił się głęboko. Knopf skręcił w palcach misternie równego papierosa, wsunął go ostrożnie do cygarniczki i szukał pracowicie węgielka, od którego mógłby zapalić. Generał czekał, zdawało się, na chwilę, kiedy nareszcie zapali, a gdy Knopf zaciągnął się dymem, rzekł:

– No tak. Ten mój bratanek – zdradził. Tylko co rozlokowaliśmy się na leżach, uszedł nocą do bandy. Rano jednego dnia raportuje mi kapitan Szczukin, że tak i tak: Jana nie ma. W kwaterze, gdzieśmy stali, w Sielpi, znaleziono kartę na stole z zawiadomieniem mnie, jako dowódcy naówczas trzech batalionów, „że wierny obowiązкови dla swej ojczyzny” – i tym podobne brednie. Mnie, swego przełożonego i stryja, wzywa, żebym także splamił swój oficerski honor, złamał przysięgę i uciekał za nim do bandy, do lasu. Tak to, moi panowie.

Knopf ćmił swego papierosa uważnie, powoli. Puszczzał matematycznie dokładne kółka dymu i śledził je oczyma. Guńkiewicz nie chciał już pić herbaty. Siedział oszołomiony, patrząc w mówcę jak w tęczę...

– Doszły mi wieści – ciągnął generał – że nasz uciekinier jest szefem sztabu w jednej z band. No, dobrze... Po to – mówi do mnie kapitan Szczukin, dowódca rot, pod którym mój bratanek służył – po to poszedł. W wojsku służba twarda, ciężka, niewdzięczna, a w bandach służba lżejsza. Tam nasz praporszczyk byłby bez trudu i zachodu kapitanem... O co jak o co, mówi, ale o awans w tych wojskach polskich nie trudno.





Knopf skończył swego papierosa i śmiał się z dowcipu kapitan Szczukina. Generał mówił:

– Szliśmy wciąż obławami to za taką partią, to za inną. Co wyjdziem od Końskich w suchedniowskie lasy, to oni ujdą w głąb ku Bodzentynowi. My się wrócimy, to ci za nami. Jeden szczególnie wódz, pułkownik czy kapitan, nazwiskiem „Walter”, najbardziej nas zwodził. Palił nocą szerokie ogniska, niby to obóz, a sam usuwał się od takiego miejsca dosyć daleko i nocował bez ognia. My ciągniemy obławę, otaczamy cichaczem owe ognie dalekie, napadamy wreszcie nocą – pustka. A on tymczasem na uczyniony hałas podchodzi jak rabuś, strzela w naszych żołnierzy pod blask ognisk i umyka w knieje. Miał i chłopów zbałamuconych, którzy nas nocą prowadzili na te fałszywe obozy.

Pisarz spojrział na wójta Gałę spode łba i uśmiechnął się niezdrowym śmiechem. Wójt siedział wyprostowany, z oczami wlepionymi w generała. Tak było wielokrotnie w Samsonowskiem...

– Pod Gozdem... – dorzucił Guńkiewicz.

– A i pod Gozdem...

– Pod Klonowem... – mruknął Knopf.

– Ale przerwała się zabawa – wtrącił generał. – Na raz, na dwa, na trzy wreszcie się sztuka uda, ale nie na zawsze. Zdarzyło się, że szedłem ja na czele kilku rot od Zagnańska ku Wzdolowi – ot, tą drogą na karczmę. Zanocowałem w karczmie, a Szczukina posłałem z rotą na *poiski* tego Waltera. Do bitwy „gałgan” nie idzie, leży tygodniami w bagnie koło Klonowa, w Bukowej Górze – musimy go szukać. Ledwie tej nocy zasnął, budzi mnie adiutant, młody człowiek: strzały gęste w lasach. Ocknąłem się. Las rzeczywiście huczy... Ot, jak teraz. Żal... Serce boli. Posłałem ja drugą rotę na wsparcie Szczukinowi. Nie upłynęło więcej nad dwie godziny, nadciągnęli. Wprowadził ich chłop na obozowisko, ale już teraz prawdziwe. Kiedy ich ogarnięto i uderzono bagnetem, większość wybiła się i pierzchła w las, sporo zginęło na miejscu. Szczukin przyprowadził wziętego w *rukopasznom boju*, krótko mówiąc, nie kogo innego tylko mego bratanka, „Rymwida”. Miałem ja rozkaz nieodwołalny od mego generała brygady – lasy aż po Bodzentyn oczyścić za wszelką cenę – z prawem życia i śmierci. Nie było czasu na wysłanie jeńców do więzienia w Kielcach, a i siły miałem szczupłe. Oficerowie wzburzeni. We mnie, jako w krewnego, surowym, pytającym wzrokiem patrzą.

Kazałem złożyć sąd polowy, i to natychmiast, bo trzeba było bandę ścigać bez zwłoki. Ja prezydujący, kapitan Szczukin i kapitan Fiedotow z prawej strony, porucznik von Tauwetter i feldfebel Jewsiejenko – z lewej strony. Zasiedliśmy natychmiast



w wielkiej izbie tej karczmy. Łojowa świeca paliła się w lichtarzu...

Generał mówił coraz szybciej, niezrozumialej, coraz częściej wtrącał rosyjskie wyrazy, zwroty, zdania. Poprawił się na krześle i ciągnął:

– Przyprowadzili. Sześciu żołnierzy, on w środku. Mały, wychudły, czarny, *oborwaniec*. Włosy *wzjeroszeny*. Ledwie poznać... Spojrzę ja na niego: Jaś, rodzonego brata ulubiony syn... Na kolanach wychodowałem... Jakieś na nim gałgany...

Twarz przez całą szerokość rozerwana bagnetem, sina, zapuchnięta. Jak wprowadzili, tak i stanął przy drzwiach. Czekaj. A ty, sędzio, sądz!

No – tam pytanie urzędowe, formalne: – kto jest? Milczy. Patrzymy w niego wszyscy. Towarzysz dobry, kolega kochany, dusza-człowiek, oficer pierwszorzędny. Twarz jego zrobiła się harda, zastygła, skrzywiona od jakiegoś uśmiechu, co tę twarz miłą, dobrą i miękką wykrzywił, podobnie – ot, jak kowal weźmie i wykrzywi w ogniu raz na zawsze miękkie żelazo w krzywy hak.

Ci żołnierze, co go strzegli, to byli zarazem świadkowie. Zeznają, że go pojмали w lesie, nocą, bijącego się z nimi pierś w pierś, zeznają, że on i jest ten sam, ich własny porucznik, Rozłucki. Sprawa jasna, cóż tu więcej? Głosować...

[...]

Głosowanie. Dwa głosy padły za karą natychmiastową, Szczukina i von Tauwettera, dwa za odesłaniem pod konwojem do Kielc. Mnie tedy przyszło przechylić szalę. No, i przechyliłem... – mówił cicho, kiwając głową.

– Mieli wyprowadzić. Jewsiejenko wniósł, że może ostatnie ma życzenie. Dałem głos. Spojrzał tedy na mnie tymi pieczarami oczu, wlepił je we mnie. Staliśmy wszyscy za stołem. On podszedł blisko. Patrzy mi w oczy, ja w jego. Jakby dwie lufy pistoletowe przystawił... Pamiętam surowe słowa:

– Rozkazuję przed śmiercią, i to jest moja niewzruszona, ostatnia wola, żeby mój mały, sześciolatek syn, Piotr, był wychowany jako Polak, taki sam jak ja. Rozkazuję, żeby go uczyć, choćby to było przeciwne sumieniu wychowawcy, jak jego ojciec zrobił wszystko, aż do samego końca. Rozkazuję mu głosem głuchym, żeby pracował dla swej ojczyzny i żeby, jeśli zajdzie potrzeba, umierał dla niej bez jednego drgnienia strachu, bez jednego westchnienia żalu, tak samo jak ja. No, i wszystko.

Oddał nam cześć po wojskowemu. Wyprowadzili.

Zaczął się budzić dzień. Poszedłem do alkierza, gdzie tej nocy miał spać. Otwarłem okno. Brzask dnia już się zaczynał. Ranek. Po drugiej stronie drogi sześciu żołnierzy szybko wybierało łopatami dół w piasku. Odszedłem w głąb izby. Odwróciłem się twarzą do ściany. Boże mój!...

Było już jasno, kiedym wrócił do okna. Mogłem już widzieć spokojnie. Na kupie



piasku, pod strażą dwunastu żołnierzy z karabinami u nogi, bokiem do mnie zwrócony siedział spokojnie. Zdjęto mu już kurtkę powstańczą. Był w koszuli i tę koszulę miał rozerwaną na piersiach. W rękach ściśniętych trzymał między kolanami fotografię syna, Piotrusia. Głowa zwieszona, włosy spadły na czoło, oczy w tej fotografii utopione.

Zaszedł pluton żołnierzy, należący do jego własnej rotы, zza węgła karczmy. Stał ten pluton naprzeciwko. Von Tauwetter prowadził. Żołnierze – broń u nogi, Stoją. Minęła chwila, druga, trzecia... Czekam. Czekam, żeby Tauwetter dał komendę. Nic, cisza. Nic, cisza. Nie może dać komendy. Tamten siedział wciąż z oczami w swoim obrazku. Miałem złudzenie, że może już, tak siedząc, umarł. Przez chwilę miałem tę ulgę. Czeka. Aż oto podniósł głowę jak ciężar tysiącpudowy. Stał na kupie piasku. Nogi mu się zarobiły w sypkiej ziemi, więc się poprawił raz i drugi. Obejrzał się poza siebie, odgarnął włosy z czoła i spojrzał w żołnierzy. No, chwała Bogu, wróciło nań to wykrzywienie twarzy, ta pogarda, co ją miał w sobie na sądzie. Widziałem, jak powoli obejmowała mu twarz, oczy, czoło. Byłem szczęśliwy, że to tak, że tak właśnie, z dumą... Że Rozłucki... Czułem, jak wielką swoją wolą zmieniał się w nieczułego trupa, jak się przeistoczył w coś innego.

Rzekł:

– *Zdorowo, rebiata!*

– *Zdrowia żelajem waszemu błagorodju!* – zawrzasnęli żołnierze plutonu jak jeden człowiek.

Podszedł Jewsiejenko, żeby mu oczy zawiązać. Odepchnął go oczami. Feldfebel odszedł. Przycisnął tedy do serca ową małą fotografię, zamknął oczy. Uchyliły mu się usta od wyższego pięknego uśmiechu. Zamknąłem i ja oczy... Przypadłem piersiami do ściany. Czekam, czekam, czekam. Nareszcie – t a r r a c h!

Geometra Knopf zdjął czapkę i coś tam suchymi wargami do siebie szeptał. Guńkiewicz grzebał patykiem w popiele ogniska, jakby pragnął pozakopywać sowite, pijackie łzy kapiące z jego oczu.

Zapanowała cisza. Wołały się echa po leśnych górach...

Wtem pisarz gminny zwrócił się do generała z pytaniem:

– Proszę też łaski pana generała, a gdzie na przykład jest teraz ten mały syneczek, ów wtedy sześciolatek Piotruś?

– A tobie to na co wiedzieć, gdzie on? – grubiańsko i twardo odpowiedział generał.

– Ciekawość mię wzięła wiedzieć, czy się też spełniła ostatnia wola i rozkaz onego powstańca?

– Nie twoja to rzecz, i ty o takie rzeczy nie śmiej mnie pytać – słyszysz?



– Ja się też od razu dorozumiałem – odrzekł pisarz, patrząc swymi szelmowskimi oczami, z bezczelną drwiną, prosto w oczy starego generała – ja się też od razu dorozumiałem, że z tej twojej ostatniej woli, mój ty „kapitanie Rymwidzie”, tego się diabeł musiał uśmieć...

[Wymieniony w opowiadaniu syn kapitana „Rymwida” Piotr Rozłucki jest bohaterem powieści Stefana Żeromskiego *Uroda życia*].



## 59. „[...] przenigdy nie zapomnę, że byłem zesłany przez Moskali żywcem do piekła”

[Jan Siwiński, *Katorżnik, czyli pamiętnik sybiraka*, Kraków 1905, przedruk za: *Zesłanie i katorga na Syberii w dziejach Polaków 1815–1914*, oprac. Anna Brus, Elżbieta Kaczyńska, Wiktoria Śliwowska, Warszawa, Wydawnictwo Naukowe PWN, 1992].

### Kliczka

Miejscowość Kliczka leży na samej prawie granicy Mandżurii. Jest to okolica naga, pagórkowata, dzika i smutna. Ludność tubylców jest mieszana i składa się z Buriatów, Tunguzów i osiedleńców.

Więzienie nasze było drewniane, na uboczu i za wsią położone; miało cztery ubikacje dość szczupłe. W niejakiem zaś oddaleniu była kordegarda, to jest odwach dla wojska nas pilnującego, a dalej budynek dla komendanta. Do tego przybytku na mieszkanie i roboty przybyło nas sześćdziesięciu samych Polaków. Do tego to pustkowia i tej ciszy zamarłej gnano nas tysiące mil. Tutaj przebyliśmy dwa lata! Dwa lata łatwo powiedzieć, ale dwa długie lata przemęczyć się, dwa lata być dzień i noc pod zamkiem, dwa lata mieć kibel pod nosem i takowy sobie wnosić i wynosić, dwa lata chodzić dzień w dzień do roboty w kajdanach, o! to przykra rzecz.

[...] My wszyscy, którzy byliśmy w Kliczce, czy stary, czy młody, mełliśmy na żarnach. Tutaj mam obowiązek objaśnić czytającego, jaka jest taktyka moskiewska i jaka chytra przebiegłość co do robót katorżnych więźni. Roboty aresztantów katorżnych są przymusowe. Z uwagi jednak, że roboty te są ciężkie, a nieraz i nad siły zwykłego osobnika, przeto rząd wszystkich więźni, do robót skazanych, przekazuje pierwiej lekarzom rządowym, którzy orzekają, czy dany osobnik zdolny jest fizycznie wykonywać roboty rządowe lub nie; jeżeli zdolny, to mu już nic na świecie nie pomoże, żadna go już władza nie uwolni i robić musi! Jeżeli zaś się pokaże, że ów osobnik niezdolny jest do wykonywania robót *kaziennych* (rządowych), tedy idzie do osobnej *tiurmy*, między innych podobnych inwalidów i tam nie żyje, tylko wegetuje, gdyż ma dostawać tylko czwartą część tej strawy, jaką dostają ci, którzy pracują. Dlatego już lepiej jest, oczywiście kto może, robić i być odżywianym, aniżeli siedzieć beczynn timer i być morzony głodem! My również przebyliśmy szczęśliwie ową rewizję i zostaliśmy uznani za zdolnych do wszelkich robót. Więc, jak to już wyżej powiedziałem, mełliśmy na żarnach. Mełliśmy więc każdy dzień, nie wyłączając żadnych świąt, prócz świąt Wielkanocnych przez dwa dni, Bożego Narodzenia jeden dzień oraz dni galowych, dni carskich imienin, wstąpienia na tron, koronacji,



narodzin itp. W niedzielę zaś lub inne święta robiliśmy tak, jak w dzień zwykły.

Mieliśmy tedy na dobę zemleć po dwa pudy żyta surowego! Dwa pudy równa się naszemu pół korcowi, przeto mieliśmy po pół korca żyta w zwykłych naszych ludowych żarnach ręcznych. [...] W razie niezmielenia przeznaczonego *uroku* (wymiaru) czekała *kalataśzka* o chlebie i wodzie! *Kalataśzka* jest to więzienie w więzieniu, jest to komórka ciasna, ciemna i niska, do której się zamyka krnąbrnego lub nieposłusznego na 24 lub 48 godzin za karę, dając mu na dobę funt chleba i dzbanek wody! [...]

Tak mieląc, przemieliśmy dwa lata w owej Kliczce! [...]

### Kara

Kara jest to kopalnia złota. Tam pracuje rok rocznie około 4000 największych zbrodniarzy, skazanych na całe życie! Miejsowość ta leży nad rzeką Szyłką, między górami, między lasami, w kotlinie głębokiej i dzikiej. Kopalnia sama, czyli *rozrez*, jest to kotlina, przez którą płynie strumyk, na którym zbudowana jest maszyna, czyli płuczkarnia, która wypłukuje i oddziela piasek od złota. *Rozrez*, czyli właściwa kopalnia, jest od *tiurmy*, to jest od owego kryminału, o jedną wiorstę drogi odległą i obejmuje przestrzeń dwuwiorstową.

Robota dzienna na owym *rozrezie* jest następująca. Cała partia aresztantów podzielona jest na grupy, składające się z czwórek, a każda taka czwórka stanowi dla siebie osobną całość. Gdy partia rano wyrusza z kazamat na ów *rozrez*, to każda taka czwórka ma zabrać po drodze z magazynów: 1 łom, tj. drąg żelazny do wyważania kamieni, 2 biki, czyli kilofy do kopania kamieni, 2 łopaty i 2 taczki.

Taka każda czwórka musi na owym *rozrezie* wykopać i wywieźć na maszynę, na ową płuczkarnię, jeden sążeń kubiczny, w przeciwnym bowiem razie otrzymuje chłostę! Tu muszę jednak zaznaczyć, że teren kopalniany nie jest tak łatwy do wykonania tej roboty, ziemia choć piaskowa, ale kamienista, trzeba więc wydobywać kamienie i układać w sagi, i trzeba ów piasek złotodajny wozić na taczkach nieraz pół wiorsty lub czasem i wiorstę drogi do maszyny, a to w miarę tego, jak ta robota od maszyny jest odległa! Całą zaś tę robotę trzeba wykonywać, stojąc w wodzie po kolana! W lecie na tym *rozrezie* słońce pali jak w Afryce, wietrzyk nawet tu nie ma przystępu, bo góry naokół wysokie zamykają wszelki przystęp świeżego powietrza. Tłumy niezliczone różnych owadów gryzą cię i tną do krwi! W zimie zaś od stania w skrzepłej wodzie kostniejesz i dzwonisz zębami od zimna! [...]

A cóż dopiero mówić o tym ustawicznym nękanii i o tych rewizjach, które się powtarzają co dnia, w słoty czy pogodę, mróz czy kurzawę, rewidując owych





zbrodniarzy, powracających wieczór do domu, rewidują ściśle, bo aż do naga trzeba się zwłóczyć, a pomimo tego dzieją się kradzieże i żadna większa samorodka złota nie dojdzie cara, lecz dostanie się żołdatowi za 50 kopiejek, który ma znów swoich odbiorców i dostanie za samorodkę złota 5 rubli, która warta 50 rubli. Biada jednak temu, u którego znaleziono kradzione złoto! taki otrzymuje chłostę od 100 do 1000 różeg.

Pod owe czasy komendantem w Karze był niejaki major Kopienko, Litwin zmoskwiczały, ale pomimo tego niezgorszy w gruncie człowiek; on robił, co mógł, aby nam ulżyć w tej ciężkiej doli, lecz i on nie mógł pomóc nam wiele, jak to zaraz zobaczymy.

W dzień, w którym przybyliśmy do Kary, padał deszcz i myśmy przyszli nad wieczorem zmoczeni do nitki. Posłano nas tam, a nie zapytano się nawet komendanta, czy ma nas gdzie umieścić! Oficer dyżurny przyjął nas i kazał wpakować do starej *tiurmy*, która nie miała ani dachu, ani pieców, ani nar do spania; wody było wszędzie po kostki, i tam mieliśmy mieszkać. Gdyśmy to zobaczyli, cała partia wysforowała się nazad na podwórze i oświadczyła oficerowi, że chociażby nas kazał i pozabijać, to do owej *tiurmy* nie pójdziemy, i że raczej wolimy raz już umrzeć, aniżeli dozwoić się tak męczyć. Oficer kazał wojsku złożyć broń do ataku, a sam posłał kozaka z oznajmieniem do Kopienki, że Polacy się zbuntowali. Jakoż w kilka minut przyjechał major Kopienko i w najokropniejszy zaczął nas besztać sposób, mówiąc, że on ani nas tu nie ściągał, ani nie wyglądał, a skoro – mówi – naczalstwo was tu przysłało do mnie, to nie po to, abym was wziął pod pierzynę, lecz przysłało was tu do roboty jako katorżników, a skoro – mówi – nie mam innego lokalu, to musicie tymczasem zająć ten, jaki jest, aż wam z czasem będę mógł ulżyć i nowy dla was dom wybuduję itp. Na takie *dictum* nie było co mówić, bo mówił prawdę, tylko uszy po sobie położyć i wracać w kałużę i nocować w tej psiarni! Na drugi już dzień pognano nas na *rozrez* do roboty, a że nie byliśmy jeszcze sformowani na czwórki, toteż dano nam inne roboty, więc jedni wywozili kamienie na brzegi i ładowali na fury, inni szlamowali dno owej rzeki, która jest ciągle zamulana piaskiem z owej maszyny płuczającej złoto, a którą wskutek tego trzeba ciągle szlamować. [...]

Kopienko dotrzymał słowa i więzienie nowe wystawić nam kazał i wkrótce opuściliśmy ową stęchłą norę, w której musieliśmy leżeć na ziemi mokrej, a przenieśli się do nowej *tiurmy*. Niedługo jednak opatrność ulitowała się nad nami i wybawiła nas z tej kaźni, z tych czeluści piekielnych!

Gdybym jednak żył sto lat, tysiąc lat, to i tak nigdy, przenigdy nie zapomnę, że byłem zesłany przez Moskali żywcem do piekła. [...]



[Autor pamiętnika, Jan Siwiński (ok. 1845 – po 1905) został zesłany na Syberię za udział w powstaniu styczniowym. Jako obywatel austriacki został zwolniony z katorgi w 1868 roku. Mieszkał w Krakowie].



## 60. Księża – powstańcy 1863 roku w Tuncie

[Stanisław Leonard Matraś, *Ze wspomnień sybiraka*, Chicago 1896, przedruk za: *Zesłanie i katorga na Syberii w dziejach Polaków 1815–1914*, oprac. Anna Brus, Elżbieta Kaczyńska, Wiktoria Śliwowska, Warszawa, Wydawnictwo Naukowe PWN, 1992].

[...] Ponieważ wspomniana wyżej wieś [Tunka] jest bardzo daleko od głównego traktu, w bok Bajkału, zupełnie na ustroniu i nie ma żadnej styczności ni też komunikacji z innymi sybirskimi gminami, w których bardzo wielu mieszkało więźniów politycznych Polaków, więc chytry i przebiegły rząd rosyjski, chcąc usunąć wszystkich księży spośród osób cywilnych, więźniów politycznych i przerwać z nimi wszelkie stosunki i komunikację, a nawet listową korespondencję, przeznaczył wieś Tunkę na stałe mieszkanie dla samych tylko księży zesłanych do Syberii na osiedlenie, tak do krasnojarskiej, jako też i do irkuckiej guberni.

Otóż z powodu tego zgromadzono wszystkich księży do wsi Tunki w przeciągu jednego miesiąca marca, gdzie oddano ich pod opiekę i zarząd oficera konnego irkuckiego kozaczego pułku, p. Płotnikowa i dwóchset kozaków, zamieszkających stale w tejże wsi. Księżom płacono po trzy ruble miesięcznie na wikt, garderobę, bieliznę, obuwie, światło opału, czyli jednym słowem mówiąc: na życie i okrycie.

[...] [Płotnikow] Najprzód usposobił wszystkich mieszkańców wsi Tunki jak najgorzej względem mających przybyć do tej wsi księży Polaków, bo powiadał przy każdym spotkaniu się z nimi, że wszyscy Polacy są ludożercy, którzy mordują i zabijają niewinne dzieci, kobiety, a nawet starców i jedzą ich mięso. [...] W drugiej połowie miesiąca marca 1866 roku i ja przyjechałem do wsi Tunki, w której zastałem już 23 księży. [...] Wkrótce po moim przybyciu do Tunki zachorowało niebezpiecznie na tyfus, i to prawie w jednym tygodniu, aż dwunastu księży. Na nasze szczęście w tej małej liczbie księży był jeden doktor, ks. Ludwik Czajewicz, kanonik honorowy i były regens konsystorza warszawskiego, który biegał po całych dniach i nocach od jednego do drugiego kolegi i leczył wszystkich dwunastu, jak tylko mógł. [...]

Wskutek tej zabójczej choroby pierwszy z księży zamieszkających we wsi Tuncie, zmarł dnia 1-go kwietnia 1866 roku. Był to ksiądz Fr[anciszek] Żukowski, proboszcz z augustowskiej diecezji, liczący około 45 lat życia. Przerażeni tym smutnym wypadkiem, podaliśmy bezzwłocznie prośbę, zaopatrzoną dwudziestu i trzema podpisami, do samego generał-gubernatora p. Korsakowa, przedstawiając mu, że we wsi Tuncie nie możemy dłużej mieszkać w żaden sposób, a to z tego powodu, że klimat w niej jest niezdrowy i zabójczy dla nas wszystkich Europejczyków, że z liczby 24



księży, obecnie zamieszkałych we wsi Tunce jest chorych na tyfus aż dwunastu, czyli połowa i w końcu prosiliśmy go usilnie, aby raczył wejść w nasze krytyczne położenie i przeznaczyć dla nas księży na pomieszkanie jaką inną wieś, położoną bliżej miasta Irkucka, do której na wypadek choroby moglibyśmy sobie sprowadzić zawodowego lekarza z Irkucka i odpowiednie do choroby medykamenty.

Generał-gubernator, pan Korsakow, raczył przyjąć i przeczytać naszą zbiorową prośbę, ale nie uwzględnił jej wcale, tylko odpowiedział nam na nią mniej więcej w tych słowach, że w Tunce jest najzdrowszy i najłagodniejszy klimat, jakiego nie ma w całej Syberii; że w tamtejszych okolicach, a szczególnie we wsi Turanie, odległej od wsi Tunki o 50 wiorst drogi, jako też w Szynkach, a nawet w samej Tunce są mineralne wody (kąpiele), do których każdego prawie roku wyjeżdżają chorzy na kurację z miasta Irkucka, więc i księża mogą się tam sami leczyć bez pomocy doktora.

W końcu dodał i to, że on właśnie sam wybrał tę wieś i przedstawił carowi, aby raczył przeznaczyć ją na stałe pomieszkanie dla zesłanych księży, więc co sam car postanowił, on zmienić tego nie może.

Po otrzymaniu takiej nieprzychylnej na naszą prośbę odpowiedzi, zdaliśmy się na wolę Bożą i byliśmy pewni, że wszyscy 23 wkrótce złożymy swe kości na wieczny spoczynek we wsi Tunce, i do tego jeszcze na schizmatyckim cmentarzu; tymczasem nad spodziewanie nasze, ksiądz doktor Czajewicz, oddając się z całym zapalem i poświęceniem na usługę kolegów chorych, wyleczył wszystkich jedenastu księży z tyfusu, chociaż nie miał do tego odpowiednich lekarstw, prócz jednych baniek i lancetu, które przywiózł z sobą z krasnojarskiej guberni, gdzie mieszkał blisko dwa lata.

Ponieważ rząd rosyjski zabronił nam surowo uczyć sybirskie dzieci czytania i pisanie, i nie pozwalał zajmować najmniejszego obowiązku przy gminnych pisarzach, więc wskutek takiego nieludzkiego zakazu zmuszeni byliśmy żyć we wsi Tunce z jednej tylko rządowej pensji, którą nam wypłacano każdego miesiąca. [...] Dopóki moskiewski rząd nie podwyższył nam miesięcznej pensji na sześć rubli, to mieszkaliśmy po kilku w jednym domu, który dawano nam bezpłatnie. Odzież, bieliznę i obuwie mieliśmy poprzerabiane z aresztanckiej wyprawy, którą dostaliśmy w podróży do Syberii; sami dźwigaliśmy drzewo z lasu na własnych ramionach; sami nosiliśmy sobie wodę z rzeki Irkuta lub Tunki dwoma drewnianymi wiadrami lub też wielkim cebrem, zawieszonym na drążku; sami piekliśmy sobie chleb, gotowali obiady, stawiali samowary; sami praliśmy i naprawiali swoją ubogą bieliznę i odzież, zamiatali stancję itd. [...]



W Tunce trafiliśmy na taki nieszczęśliwy rok, w którym zmarzło wszystkie zboże w polu na pniu jeszcze stojące, a mąka z niego była żółta jak cytryna i nie miała w sobie żadnej klejkości.

Otóż wskutek tej klęski, która zdarza się dosyć często w Syberii, mieliśmy z samego początku wielką trudność i biedę z wypiekaniem sobie chleba, bo żaden z nas nie miał najmniejszego wyobrażenia o tym, jak się rozczynia mąkę, jak się miesza ciasto i wypieka z niego chleb. Od miejscowych naszych sąsiadek Sybiraczek nie mogliśmy się tego dowiedzieć i nauczyć, gdyż te przestrzeżone i nastraszone przez kozackiego oficera Płotnikowa, że zabijają dzieci, kobiety, a nawet starych ludzi i jedzą ich ciało, bały się nas ogromnie, i jak tylko która Sybiraczka spostrzegła księdza Polaka zbliżającego się ku jej domowi, to zamykała zaraz wszystkie okna i drzwi od sieni i stacji [...]

Rano na śniadanie piliśmy zwykle herbatę z *prykuską*, a zamiast pszennych bułek lub chleba, jedliśmy gotowane ziemniaki w łupinach; na obiad jedliśmy jedną tylko supkę mięsną lub postną, omaszczoną masłem, i po małym kawałeczku chleba żytniego, wypieczonego ze zmarzniętej mąki, i do tego wcale nieprzesiewanej przez sito, tylko razem z otrębami; na kolację znowu piliśmy herbatę i jedliśmy przy niej gotowane ziemniaki, a jeżeli czasami zdarzyło się nam złowić na wędę kilka większych rybek w rzece Irkucie i usmażyć je w maśle, to wtedy uważaliśmy się za szczęśliwych. Taki jednostajny tryb życia naszego we wsi Tunce trwał do tego czasu, dopóki rząd rosyjski nie podwyższył nam miesięcznej pensji na sześć rubli.

[...] Wskutek takiego mizernego i nędznego wikt, wszyscy zaczęliśmy znacznie słabnąć na siłach i często chorować. W kilka miesięcy po przybyciu naszym do Tunki podaliśmy drugą prośbę do generał-gubernatora p. Korsakowa, prosząc go, aby rząd gubernialny irkucki podwyższył nam miesięczną pensję przynajmniej na sześć rubli, gdyż w żaden sposób nie możemy wyżyć i okryć się z tych jednych 3 rubli, jakie dotąd pobieramy.

[Autor wspomnień, ks. Stanisław L. Matraś (1836–1917) został skazany przez władze rosyjskie na zesłanie za odebranie przysięgi od powstańców w styczniu 1863 roku. Po 12 latach zesłania uzyskał amnestię. Od 1881 roku mieszkał w Załóżcach (pow. Brody w ówczesnym zaborze austriackim)].



## 61. „Syberyjski Legion wolnych Polaków”

[Michał Janik, *Dzieje Polaków na Syberii*, reprint wydania Krakowskiej Spółki Wydawniczej (Kraków 1928), Wrocław, Wydawnictwo Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego we Wrocławiu – Biblioteka Zesłańca, 1991]

[...] W pierwszej połowie lipca [1866] wszyscy przeznaczeni [do budowy drogi] byli już za Bajkałem. Pierwsze dni zeszły na rozpinaniu namiotów. Praca miała się odbywać na przestrzeni 200 wiorst od Kułtuku do stacji Lichanowej. Dla pilnowania zesłańców, których było ściśle 723, przeznaczono 133 żołnierzy i kozaków w grupach od 12–40 osób. Komendę objął pułk. Czerniajew, zarząd robót inż. podpułk. Szac, członek rady głównej zarządu Syberji wschodniej. Zesłańcy pracowali od godz. 5-tej rano do 6-tej wieczorem. Szlachta była oddzielona od nieszlachty, co wywoływało niechęci i skargi, że szlachta ten rozdział spowodowała, tem więcej, że nieszlachtę gorzej karmiono, bo dawano im tylko herbatę kirpiczną (cegiełkową) i kaszę na wół z plewami. Szlachta obozowała w Myszysze [...]. Inne partje obozowały w Kułtuku, Murinie, a kilkunastu w Lichanowej. Starostami w Kułtuku byli Kwiatkowski i Szaramowicz. Agitacja była tam bardzo żywa. Mamy przed sobą dwie drogi – mówił Szaramowicz – albo zdechnąć jak bydło wśród ciężkiej pracy, albo spróbować uwolnić się; jeśli nawet zginiemy, to z orężem w rękę, walcząc o swą wolność. Prawie jawnie kuto tam ostrza do pik, kosy i noże. Czekano tylko okazji. Znaleźli się niestety denuncjanci: Wodziński i Piasecki. Na ich donos oficer von Kern przybył na miejsce i rozbił partję kułtuską, co wprawdzie ruchu nie powstrzymało, ale uczyniło go nieszkodliwym dla Moskwy.

Ponieważ wypadki układały się coraz bardziej niekorzystnie, Celiński, który był właśnie w Murinie, dał hasło do podjęcia zbiorowego wysiłku [...] wysłał odezwę-rokaz do starostów Szaramowicza i Kwiatkowskiego treści następującej: „Musimy dokonać szybko, cośmy postanowili. Czekać dalej nie można. Ja pierwszy zaczę powstanie. Tymczasem Arcimowicz niech idzie z oddziałem na północ wzdłuż brzegów Bajkału. Rozkaz ściśle wypełnić. Odpowiedź niepotrzebna. Celiński”. Ci chcąc nie chcąc usłuchali, aby nie opuścić Celińskiego...

Szaramowicz wezwał towarzyszy do działania. Ale teraz wahano się, choć przed manifestem byli niecierpliwi. Zamieszanie i krzyki były tak wielkie, że wzbudziło to podejrzenie kozaków, którzy chwycili za broń. Wtedy Szaramowicz rozbroił ich z garścią swoich zwolenników i wyruszył na spotkanie Arcimowicza, który otrzymał odpowiednie rozkazy od Kwiatkowskiego. Obydwa oddziały spotkały się o 2 wiorsty





przed Murinem. Wedle rozkazu Celińskiego, posuwali się dalej wzdłuż brzegów Bajkału, zabierając po drodze na stacjach pocztowych broń i konie, które rozdzielono pomiędzy 80 powstańców, tworząc w ten sposób garstkę kawalerji. Dowództwo nad nią objął Leopold Eljaszewicz. Szaramowicz wysłał go naprzód jako awangardę z rozkazem spiesznego marszu w kierunku Miszychy. Tam kazał na siebie oczekiwać, aż nadejdzie ze swoją piechotą. Odległość między Murinem a Miszychą wynosiła 90 wiorst. Jezdni napotkali po drodze dwa wozy pocztowe jadące do Murinu, a na nich Szaca, esaulę Proszutińskiego i „zauriadsotnika” Popowa. Na żądanie Eljaszewicza oddali broń bez protestu i zostali wzięci do niewoli. To samo stało się po kilku wiorstach z pułk. Czerniajewem. Gdy dojechali do stacji Miszyrinskiej na 6 wiorst od Miszychy, zostawili tam jeńców pod strażą, wzięwszy naprzód od Czerniajewa i Szaca 250 rubli i dawszy im na to kwity z podpisem: „Syberyjski Legion wolnych Polaków”.

Tymczasem irkucki gubernjalny naczelnik wojenny został uwiadomiony sztafetą przez chorążego Ważewa o powstaniu Polaków. Oprócz tego do naczelnika sztabu irkuckiego przybyli dwaj woźnice, którzy uciekli od Polaków. Od nich dowiedziano się, że Polacy zamierzają ruszyć do Posolska. Już 26 czerwca Rosjanie wysłali oddziały piechoty i konnych kozaków, do których przyłączyło się 150 Burjatów. Dowodzili tymi ludźmi: maj. Rik, por. Porochow i „wojskowej starszyna” Lisowski. Gdyby kozacy przecięli drogę od Posolska, powstanie musiałoby upaść, bo Polacy byliby otoczeni. To też wojska z Irkucka ruszyły na pocztowych koniach, a przez Bajkał na specjalnie zafrachtowanych parowcach. Z Selengiriska wysłano nadto do Posolska dwa działa konnej artylerji pod eskortą 600 kozaków, a oprócz tego konne oddziały kozackie, aby ściagały Polaków, gdyby zaczęli wychodzić z gór bajkalskich w kierunku drogi na Wierchno-Udyńsk, do Tunki i innych miejscowości. Czyta została również uwiadomiona.

Powstańcy nie wiedzieli o tem wszystkim i przygotowywali się w Miszysze do przyszłej walki. Eljaszewicz złożył publiczny raport Celińskiemu i dodał, że Szaramowicz prosi, ażeby zaczekać na jego przyjście. Ale Celiński, przypuszczając, że w Irkucku wiedzą już o powstaniu i że Posolsk wkrótce będzie zajęty, aby powstańcom odciąć drogę, przystąpił do organizowania będących na miejscu oddziałów i postanowił ruszyć co prędzej do Posolska, ażeby przeszkodzić wylądowaniu Moskali. Do oddziału Eljaszewicza dodał 20 jeźdźców z Raynertem i Wrońskim. Eljaszewicz otrzymał rozkaz natychmiast zająć Posolsk. Sam Celiński został w Miszysze, aby uformować oddział z pozostałych, po czem miał zamiar, złączwszy się z Szaramowiczem, podążyć do Eljaszewicza. Przeszedł jeden dzień,



a o pochodzie Szaramowicza nie było wieści. Nie mógł dłużej czekać, bo byli przeciwnicy powstania. Dlatego ruszył z oddziałem 60 ludzi, zostawiwszy w Miszysze bardzo znaczny oddział przeciwników powstania, i zatrzymał się w odległości kilku wiorst w oczekiwaniu Szaramowicza. Pozostali w Miszysze zrobili spis swoich, wybrali trzech delegatów i wysłali ich do Czerniajewa i Szaca. Ci przyjęli papier z niedowierzaniem...

Eljaszewicz posuwał się do Posolska, ale natknął się niespodziewanie na oddział por. von Kerna. Nastąpiła strzelanina. Kilku powstańców raniono. Dowiedziawszy się o przybyciu Rika, powstańcy zabrali swoich rannych, podpalili stację z Kernem i zawrócili z drogi. Rik ścigał ich i wziął w lesie 15 ludzi do niewoli. Eljaszewicz z resztą oddziału wrócił na poprzednie miejsce, gdzie zastał Celińskiego w ponurym nastroju, gdyż od Szaramowicza nie było wiadomości. Razem z Eljaszewiczem miał około 100 ludzi. Wezwał na naradę Eljaszewicza, Raynerta i Pankowskiego. Uchwalono, że trzeba wrócić do Miszychy, oczekiwać tam Szaramowicza i przygotowywać się do boju. Nazajutrz rano pokazał się oddział Szaramowicza, liczący niespełna 200 źle uzbrojonych ludzi. Ponieważ o poważnej walce nie można było marzyć, Celiński radził wrócić do niezajętego przez Rosjan Kułtuku, aby dojść jak najprędzej do granicy chińskiej odległej o 150 wiorst. Eljaszewicz i Pankowski odrzucili ten plan, sądzili bowiem, że Rosjanie obsadzili i południową stronę jeziora, więc walka byłaby jeszcze trudniejsza. Wtedy Celiński j. zrzekł się dowództwa, nie wystąpił jednak z oddziału, ale nie wtrącał się już więcej w plany towarzyszy. Szaramowicz objął dowództwo, podzielił siły na pięć plutonów: dwa konne pod Eljaszewiczem i Kotkowskim, trzy piesze pod Pankowskim, Kwiatkowskim i Kiedrońskim. Każdy nowy pluton miał ruszyć natychmiast do Posolska. Jeżeli napotka oddział rosyjski, nie powinien ustępować, ale czekać następnych plutonów i rozkazów Szaramowicza.

Teraz zaczęła się tragedia. Od przodu groził Rik, z tyłu nadążał Lisowski. Straconego czasu nie można było powetować. Pierwszy pluton naraził się na bitwę, w której z naszej strony padli: Janik, Nagiel, Żmijowski i Anastazy Iwanowski. Z tych, co uszli przed bitwą, uformowano cztery oddziały, które cofnęły się w lasy i podążyły w różnych kierunkach. Jeden oddział poszedł z Celińskim, drugi z Kotkowskim, trzeci z Zielińskim, czwarty – wraz z tymi, którzy mieli udział w bitwie – z Szaramowiczem. Wszystkie usiłowały dotrzeć do granicy narażone na głód i pościg Rosjan i Burjatów. O ratunku nie było jednak mowy. Zieliński został schwytany 21 lipca, Szaramowicz 1 sierpnia, Celiński 3 sierpnia, Kotkowski koło 15 sierpnia. Kotkowski i Zieliński zaszli najdalej. Zieliński dotarł do samej granicy, ale tam Mongołowie, udając przyjaciół, zdradzili go i zabrali do niewoli. Jedno



ze źródeł pisze, że najdalej zaszedł Walczewski (z powstania litewskiego), nie podaje jednak, czy w pojedynkę, czy z drobnym oddziałkiem. Wszystkich zabitych w bitwie i pościgu mieli nasi 29, z ran umarło 2, uciekło 2, ujętych zostało 688, w czym należy liczyć tych, którzy nie wzięli udziału w powstaniu. Skarbowi rosyjskiemu zabrano 39 tysięcy rubli. Po stronie rosyjskiej padł 1 oficer Porochow, 1 podoficer, 1 kozak, 1 włościanin, a 2 włościan powieszono za zdradę.

Jen. Duhamel, naczelny dowódca wojsk w Syberji wschodniej, wyznaczył sąd, który trwał dwa miesiące. Proces odbywał się w Irkucku. [...] Jako główni sprawcy stawali: Gustaw Szaramowicz, Kazimierz Arcimowicz, Leopold Eljaszewicz, Narcyz Celiński, Jakób Raynert, Edward Wroński (naprawdę Skonieczny ze Śląska, gimnazjasta wrocławski), Władysław Kotkowski, Ignacy Wilczewski, Dzierżanowski. Oskarżeni bronili się skromnie i przeważnie z godnością. Szaramowicz powiedział: „Macie siłę! Nie żądam od was litości! Wiem, co mnie czeka. Chcę tylko, abyście nas uczciwie traktowali, a nie tak postępowali, jak w ojczyźnie naszej rodacy wasi postępowali i postępują. Więcej nie żądam”. Przyznał się też, że sam namawiał swoich współtowarzyszy do ucieczki do Chin i że nędza, głód, upokorzenie, tęsknota za krajem, zmusiły go do tego rozpaczliwego kroku. Zaprzeczał jednak istnieniu wszelkiej przypisywanej przez prokuratora organizacji... Jakoż sąd irkucki nie wykrył sprawców sprzysiężenia.

Dnia 21 listopada 1866 r. zapadł wyrok. Siedmiu z pierwszej kategorii skazano na rozstrzelanie: Szaramowicza, Eljaszewicza, Arcimowicza, Celińskiego, Wrońskiego, Kotkowskiego i Raynerta.

Ze 194 z drugiej kategorii co dziesiątego skazano na rozstrzelanie, resztę na 100 pletni i dożywotnią katorgę w kopalniach ołowiu; z trzeciej kategorii 82 na pędzenie przez różgi i dożywotnią kopalnię, z czwartej 133 pod ścisły nadzór i rok kajdan; 4 oddano sądom zwyczajnym, a resztę uwolniono. Korsakow złagodził wyrok, skazując 4 na rozstrzelanie, drugą kategorię na wieczną katorgę, trzecią na 12 lat katorgi, czwartą na rok kajdan i ścisły nadzór rodzajem próby. Korsakow telegrafował do Petersburga o złagodzenie wszystkich wyroków śmierci, ale odpowiedź „postąpić według własnego rozumienia” przyszła dopiero w miesiąc po egzekucji!... Z siedmiu skazanych na rozstrzelanie trzech ocalało życie: Eljaszewicz, Arcimowicz i Wroński-Skonieczny. [...]

[Egzekucji czterech dowódców powstania zabajkalskiego dokonano 15 listopada 1866 roku w Irkucku. W przeddzień egzekucji Gustaw Szaramowicz pisał do swojego ojca: „Ojcze mój i przyjacielu! Jutro umieram, ale 32 lata żyłem uczciwie. Przyczyną



uczciwości mojej Ty, przyczyną śmierci mojej – ja. Posłano nas daleko; nam chciało się iść jeszcze dalej, ja byłem naczelnikiem: broń była w robocie; do starych klęsk dodała się nowa; rząd to nazwał buntem – i jutro będę rozstrzelany [...]. Kraj mój, Ty i Matka – oto ostatnia myśl moja”. W chwili egzekucji Szaramowicz wyrzucił czapkę do góry i krzyknął *Jeszcze Polska nie zginęła*, a pozostali powtórzyli za nim *Nie zginęła*. Arcimowicz, Celiński i Kotkowski zginęli natychmiast od oddanej salwy, do ciężko rannego Szaramowicza oddano jeszcze jedną salwę z najbliższej odległości, a jeden z żołnierzy przebił go piką. Wieść o zrywie zesłańców polskich nad Bajkałem i śmierci czterech dowódców dotarła do kraju i spotkała się z dużym oddźwiękiem, o czym świadczyły m.in. głosy prasowe i wiersz Kornela Ujejskiego *Na zgon rozstrzelanych w Irkucku*, który zamieszczamy poniżej].



## 62. „Salwo męczeńska! Bądź dla tych zbudzeniem, Których sumienia głos syren utula”

[Kornel Ujejski, *Na zgon rozstrzelanych w Irkucku* [w:] *Wybór poezji i prozy*, oprac. Krystyna Poklewska, wyd. 3 zmienione, Wrocław–Warszawa–Kraków, Zakład Narodowy imienia Ossolińskich – Wydawnictwo, 1992]

„Lepsza nam kula, niżli takie życie!”  
Rzekli, powstałi, rozbroili zbirów;  
A gdy broń mieli, to w pierwszym zachwycie  
Błysnęła ku nim ziemia łez i kirów.  
Potem pustynia, skąd nie ma wychodu,  
Bój, gdzie szczęśliwsi giną – męki głodu,  
I znowu dawne pęta. Sąd otwarty...  
Dla katów spisy żeru... Czy słyszycie? –  
Padł strzał – i drugi – i trzeci – i czwarty!

Salwo męczeńska! Bądź dla tych zbudzeniem,  
Których sumienia głos syren utula,  
A tym, co naród chcą zbawiać spodleniem,  
Powiedz: Niż takie życie – lepsza kula!  
Powiedz: Na sprzedaż nie wolno nikomu  
Wynosić słupów ze wspólnego domu,  
By w ciasnym szczęściu na chwilę utonąć.  
Niżli obcego ciała stać się cieniem,  
Lepiej jak gwiazda w własnym ogniu spłonąć!

[Pierwszy wers wiersza to cytat ze słów Gustawa Szaramowicza].



### 63. „Jagmin pierwszy stanął na rosyjskim okopie i zatknął na nim sztandar z Białym Orłem...”

[*Szturm na pozycje rosyjskie pod dowództwem majora Jagmina. Z książki Jerzego Grobickiego, Bojowym szlakiem pradziadów. Wspomnienia o żołnierzach polskich na emigracji w latach 1831–1878, Londyn, Katolicki Ośrodek Wydawniczy „Veritas”, 1956*]

[...] W szeregach zaczęto szemrać: – Cóż to, będziemy się przyglądać bitwie, kiedy Turcy się biją? Dlaczego stoimy tu bezczynnie?

– Spokój w szeregach! – wołali oficerowie, ale Jagmin, oceniając sytuację tak, jak należało, i przypuszczając, że w rozgardiaszu bitwy zapomniano w korpusie o drobnym oddziale, postanowił z własnej inicjatywy ruszyć do natarcia za batalionem redyfów tureckich. Wszak rozkaz otrzymany brzmiał, że ma wziąć udział w bitwie, a tego nie można było zrobić stojąc w tyle na miejscu bezczynnie.

– Bagnet na broń! – zakomenderował i Legion podobnie jak Turcy, w zwartej masie dwóch kolumn kompanijnych, ruszył naprzód.

Przed nimi batalion turecki przywitany z okopów rosyjskich na bliską odległość silnym ogniem piechoty, zaczął się chwiać i mimo nawoływania swoich oficerów i osobistego przykładu dowódcy batalionu, poszczególni żołnierze początkowo powoli, następnie zaś coraz prędzej zaczęli przelatywać w dół, obok wspinających się pod górę Polaków.

– Coś tam przed nami nie w porządku!... – krzyknął do Jagmina kapitan Towarnicki, dowódca pierwszej kompanii. – Czy nie zatrzymać lepiej oddziału?

– Za nic w świecie! – odkrzyknął Jagmin.

– Właśnie musimy ich teraz wesprzeć od tyłu i pociągnąć za sobą!

I pięli się dalej pod górę, owiani coraz gęstszym dymem i zapachem spalonego prochu, co chwila potykając się o trupy tureckich żołnierzy. W pewnej chwili Jagmin, idący na czele z chorążym Ruszczycem, znalazł się na skraju niedużego płaskowzgórza, łagodnie wznoszącego się ku bliskiej już pozycji rosyjskiej. Na dolnym skraju tej płaszczyzny leżeli teraz Turcy w gęstym szeregu, odpowiadając ogniem na strzały rosyjskiej piechoty. Ich rozpęd szturmowy załamał się w tym miejscu i dowódcy nie potrafili poderwać batalionu do ostatecznego uderzenia. Jagmin, jako stary żołnierz, zorientował się natychmiast w położeniu i bez namysłu chwytając z rąk Ruszczyca sztandar oddziału, z gołą szablą w dłoni, nie zatrzymując się prawie, krzyknął do żołnierzy Legionu:

– Za mną chłopcy! Na bagnety! Niech żyje Polska! – a zwracając się do Turków





zawołał – Ilderim dziodziuklar! [Naprzód, dzieci].

Na małe płaskowzgórze wyłoniła się z krzykiem zwarta masa dwóch kompanii Legionu Polskiego z pochylonymi bagnetami i pociągając za sobą poszczególnych Turków, parła na okopy moskiewskie. To nagłe uderzenie zaskoczyło widocznie rosyjskich żołnierzy, którzy bezładnym ogniem odpowiedzieli na okrzyk bojowy nacierających. W polskich szeregach kilku ludzi jęknęło, kilku osunęło się na ziemię, lecz reszta parła naprzód, mając przed sobą postać starego dowódcy, który z rozwianą brodą, dzierżąc w jednej dłoni sztandar oddziału, a w drugiej dobytą szablę, biegł na okopy rosyjskie. Gdy byli już na kilkanaście kroków od Moskali, ogień ich nagle ustał, a z okopu zaczęli wyskakiwać rosyjscy żołnierze w białych koszulach i białych kepi na głowach, którzy gęsto rzucając broń, biegli w dół, po przeciwległym zboczu wzgórza, uciekając przed najeżonym lasem polskich bagnetów.

Jagmin pierwszy stanął na rosyjskim okopie i zatknął na nim sztandar z Białym Orłem...

Pozycja była zdobyta. Z piersi legionistów zdyszanych i spoconych wyrwał się potężny okrzyk, który mrowiem przebiegł po plecach uciekających Moskali: „Niech żyje Polska!”.

Zaczęto trąbić na zbiórkę. Sierzanci w plutonach robili apel obecnych i spisywali straty. Do rozpromienionego Jagmina podbiegł niemniej od niego zziębnięty i spocony dowódca tureckiego batalionu, dziękując w gorących słowach za niespodziewaną pomoc. Wszystkich oczy błyszczały radością i podnieceniem z powodu odniesionego, pierwszego zwycięstwa. Od strony dowództwa korpusu co koń wyskoczy gnało w kierunku zdobytej pozycji kilku adiutantów. Legion miał jednego zabitego i trzech rannych.

Wtem na przeciwległym wzgórzu, gdzie zaczęły się zbierać rozbitki rosyjskiej piechoty wyrzuconej ze zdobytej przez Polaków pozycji, zabłysło kolejno osiem ogni i w tejże chwili świst nadlatujących pocisków armatnich rozdarł powietrze. Nad stojącą w masie kolumną Legionu Polskiego z hukiem i trzaskiem wykwił nagle w powietrzu biały obłoczek dymu i cały oddział obsypany został niezliczoną ilością kul szrapnelowych... Powstał niesamowity krzyk i zamieszanie. Oddział częściowo padł na ziemię, częściowo zaś rozleciał się na wszystkie strony. Gdy za chwilę pozostali przy życiu i lekko ranni zebrali się znowu przy sztandarze z Białym Orłem, wokoło na zakrwawionej ziemi leżało czternastu zabitych i ponad trzydziestu rannych. Wśród zabitych znajdowali się major Jagmin i chorąży Ruszczyć. Legion Polski jako jednostka bojowa przestał istnieć...



[Oddział mjr. Józefa Jagmina (ok. 1810–1877) był ostatnim, który wziął udział w dziewiętnastowiecznych zmaganiach niepodległościowych Polaków z Rosją. Został utworzony w Turcji, a jego dowódca, mjr Jagmin, był uczestnikiem powstania listopadowego, walki o niepodległość Węgier w latach 1848–1849 i powstania styczniowego. Kiedy w 1877 roku wybuchła wojna rosyjsko-turecka, objął dowództwo nieco ponad stuosobowego Legionu polskiego, pod własnym sztandarem z białym orłem, półksiężycem i gwiazdą w czerwonym polu. W pierwszej bitwie pod Kizilar 23 sierpnia 1877 roku, której dotyczy prezentowany tekst, Legion poniósł znaczne straty i został wycofany na zaplecze frontu. Mjr Jagmin nie poległ jednak w tej bitwie, lecz został ranny. Zmarł osiem dni później].



## 64. „W XIX wieku niepodległości nie odzyskaliśmy, bośmy się o nią faktycznie nie dobijali”.

[Jerzy Łojek, *Szanse powstania listopadowego. Rozważania historyczne*, wyd. 2, Warszawa, Instytut Wydawniczy PAX, 1980]

W świetle badań nad potencjałem ludnościowym i ekonomicznym ziem dawnej Rzeczypospolitej w XIX wieku wydaje się coraz bardziej oczywiste, że polski wysiłek niepodległościowy był – wbrew sugestiom znacznej części historiografii – niewielki, a w zestawieniu z rzeczywistymi możliwościami materialnymi raczej nikły. Prawda, że trudno jest ocenić realną możliwość czynu niepodległościowego bez przymierzenia zasobów ludzkich i materialnych do stanu świadomości politycznej poszczególnych warstw społeczeństwa, a stan świadomości społecznej i politycznej należy zawsze do najmniej wymiernych i najtrudniejszych do zbadania zjawisk historycznych. Jest jednakże pewne, że typowy „model” powstania polskiego w XIX wieku to wybuch wywołany przez stosunkowo nieliczną grupą spiskową z następującym nieuchronnie przechwyceniem kierownictwa walki przez środowiska zainteresowane w stępieniu radykalizmu politycznego powstania i prowadzeniu walki jedynie jako demonstracji politycznej dla wywołania interwencji mocarstw zachodnioeuropejskich. Programy walki o pełne wyzwolenie narodowe własnymi siłami były z reguły tylko utopiami, powstającymi w środowiskach pozbawionych realnego wpływu na wypadki. Albowiem odzyskanie niepodległości drogą „totalnej” walki narodowej musiałoby pociągnąć za sobą daleko idący przewrót społeczno-polityczny w nowym państwie polskim. Wydaje się pewne, że państwo polskie utworzone w wyniku zwycięskiej wojny z Mikołajem I stałoby się rychło demokracją parlamentarną o postępowym programie społecznym, likwidującą przywileje środowisk dotychczas w kraju dominujących. Nie lęk dworów sąsiedzkich przed rozprzestrzenieniem się polskich idei rewolucyjnych na ich dominia stanowił główną przeszkodę w realizacji szans powstania listopadowego. Bardziej niż dworom zaborczym powstanie groziło grupom uprzywilejowanym Królestwa epoki „konstytucyjnej”. Tu właśnie widzieć należy rzeczywiste źródło klęski polskiej wojny narodowej 1831 roku.

Wskazane i konieczne wydaje się stworzenie pojęcia polskiego ruchu antyniepodległościowego w XIX wieku jako antytezy i dopełnienia ruchu niepodległościowego. Działania antyniepodległościowe wyrażały się nie tylko w lojalizmie wobec władz zaborczych, ugodowości czy intensywnym zwalczaniu wszelkich prób powstańczych. Ciekawym zjawiskiem był swoisty kult martyrologiczny



powstań, który osiągnął swoje apogeum po 1864 roku, ale jest zauważalny już w latach 1831–1862. Nie negując szczerych intencji patriotycznych większości rzeczników i promotorów tego klimatu, trzeba wszelako zauważać jego skutki społeczne i psycho-polityczne: tworzenie na podstawie silnych emocji narodowych przekonania o niemożności osiągnięcia celów narodu przez jakiegokolwiek działania burzące dotychczasowy ład społeczno-polityczny, porządek uprzywilejowań i hierarchię wpływów na losy kraju. [...]

Z analizy sytuacji międzynarodowej w Europie w okresach szczególnie sprzyjających sprawie polskiej (1806–1807, 1828–1829, 1854–1855) wynika, że istniały ówczas poważne szanse odzyskania przez Polskę niepodległości – pod warunkiem dostatecznego własnego wysiłku społeczeństwa polskiego. Powstanie listopadowe wybuchło po pewnym przygaśnięciu sprzyjającej koniunktury międzynarodowej, ale miało wszelkie szanse sukcesu – tezę tę po latach z całym przekonaniem podtrzymuję. Klęska polskich ruchów niepodległościowych w XIX wieku wynikała nie z tzw. obiektywnej konieczności, lecz ze zdominowania polskich programów narodowych przez siły, w których interesie leżało utrzymanie zależności kraju od mocarstw rozbiorowych, Rosji carskiej w pierwszym rządzie.

W swoim własnym przekonaniu i w opinii innych narodów Europy Polacy zyskali opinię narodu wyjątkowo skłonnego do irredenty, nieustannie zrywającego się do powstań, skłonnego do walki nieugiętej i konsekwentnej. W publicystyce polskiej przekonanie to było z jednej strony powodem dumy, z drugiej niepokoju, zgorszenia i potępień. A jest to przecież sąd bezpodstawny, oparty na mylnym uogólnieniu na całość polskich klas oświeconych XIX wieku postawy i ideologii nieznaczej mniejszości. W XIX wieku niepodległości nie odzyskaliśmy, bośmy się o nią faktycznie nie dobijali, a jeżeli, to w sposób nadzwyczaj słaby i niekonsekwentny. Gdyby społeczeństwo polskie rzuciło w XIX wieku do walki o niepodległość wszystkie swoje zasoby, gdyby gotowe było walczyć o niezależne państwo bezkompromisowo i do ostatka, to by tę upragnioną niepodległość rychło odzyskało. Społeczeństwo – to oczywiście skrót myślowy. Odpowiedzialność historyczna spada bowiem na te warstwy, grupy i środowiska, które miały realny wpływ na opinię publiczną, które miały w swych rękach dyspozycję zasobami narodu.

Mówimy zazwyczaj dla uproszczenia „społeczeństwo”, ale badać trzeba nade wszystko intencje, postawy, opinie i sposoby działania ludzi występujących w ciągu stulecia w roli „reprezentantów narodu”. Trzeba umieć zaglądać za kulisy, dostrzegać istotny sens polityczny rozmaitych propagandowych deklaracji, często z pozoru „patriotycznych”, rozumieć sens hamowania walki, powstrzymywania działań



narodu. Z przykrością trzeba zauważyć, iż w epoce powstań rzeczywisty patriotyzm – a więc dążenie do całkowitej niepodległości, do odbudowy Rzeczypospolitej – wśród grup i środowisk narzucających społeczeństwu swoje kierownictwo był znaczną rzadkością. W rzeczywistości dominował lojalizm, pogodzenie się z aktualną rzeczywistością, uznanie panowania trzech dworów i trzech dynastii w Polsce nie tylko za nieuchronne, ale nawet za pożądane. Kultywowano, co prawda, tradycje przeszłości. Ale w przyszłości nie widziano Polski niepodległej. Idee niepodległości były utrzymywane i rozwijane przez nikłą mniejszość. Gdy w sprzyjającej sytuacji 1918 roku niepodległość stała się faktem, wielu było chętnych do współuczestniczenia w zasłudze jej odzyskania. W rzeczywistości społeczeństwo skorzystało z pracy i czynów nikłej mniejszości kilku kolejnych pokoleń.

Problem polskiej niewydolności niepodległościowej w XIX wieku nie leży bynajmniej w dziedzinie dysproporcji środków materialnych naszych i mocarstw rozbiorowych, w położeniu geopolitycznym kraju (choć nie są to sprawy bez znaczenia), ale przede wszystkim w dziedzinie poglądów, emocji, nastrojów i wiedzy społeczeństwa, w sferze opinii publicznej i świadomości politycznej.

